

MIESIĘCZNIK

2(65) LUTY 1988 CENA 100 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839





Dariusz Chojnacki ma 25 lat, studiuje socjologię na UAM w Poznaniu. Jego pierwsze grafiki powstały w latach 1982-84 dla poznańskiego klubu „Orbita”. Później przysły próby z kolorem, a ich wynikiem była stała obwołuta do fanzinu „Kwazar”. Obecnie współpracuje z wydawnictwem „Alfa”, dla którego wykonał kilka projektów okładek.

Prezentowane obrazy powstały w roku ubiegłym.

DARIUSZ CHOJNACKI



16

Peten sarkazmu humor, wartka akcja, błyskotliwe dialogi – oto walory opowiadania Karla Michaela Armera „Przez wszechświat gnam, szubiduba”, które najprawdopodobniej sprawiły, że znalazło się ono wśród najlepszych utworów europejskiej SF, zestawionych w wydanej w USA antologii „The Best of European SF”. Proponując to właśnie opowiadanie naszym Czytelnikom przypominamy, że drukowaliśmy już trzy inne opowiadania Armera („Fantastyka” nr 6/86, 11/86, 11/87).

Opowiadania i nowele

Mark Clifton
Co ja zrobiłem?

4

Lubomír Macháček
Pomocnik domowy

13

Karl Michael Armer
Przez wszechświat gnam,
szubiduba

16

„Siedział sobie po drugiej stronie biurka, a ja nawet nie miałem pojęcia jakie ma zamiary. Nie wiedziałem, jakie są motywy jego postępowania. Nic nie wiedziałem – bo i skąd? Skoro przez całe życie poznajemy naszych bliźnich, to ile czasu potrzeba na to, by poznać istotę z gwiazd?”

„Odpytywałem Pepika w przerwach hokejowego meczu. Bardzo mu się to nie podobało, ale nad nami stała Zdena i za każdym razem, kiedy tylko mnie nie usłuchał, dawała mu w łeb.”

„Chłopcy siedzieli rozwaleni w fotelach, gadając coś bez ładu i składu, jeden przez drugiego. Rzecz jasna, same głupoty. Ale na pokładzie tego statku kosmicznego to nic nowego: chrząli się tak już od pięciuset lat. Można się przyzwyczaić.”

Powieść

Norman Spinrad
Jeździec na pochodni

21

Nagrodzona Jupiterem w 1975 r. mikropowieść amerykańskiego autora znanego już naszym Czytelnikom (patrz „Fantastyka” nr 8/87).

Z polskiej fantastyki

Piotr N. A. Gociak
Wielka ucieczka
Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”

45

Katarzyna Kuligowska
Sprawa honoru

46

Maciej Parowski
Mildgor

48

„Schowaliśmy za murem moich humanistycznych poglądów walczyłem ze wszystkimi grzechami ludzkości...”

„Nie zwiódł mnie spokojny ton jego głosu, odskoczyłem uderzając plecami o ścianę. Nóż Atłabo przekroił ze świstem powietrze.”

„– Obcokrajowcy won stąd – wrzasnąłem po niemiecku, patrząc prosto w jego wyblakłe oczy – Gnida z Księżyca nie będzie przeszkadzać, kiedy dwaj szwajcarscy obywatele zechcą ze sobą porozmawiać w swoim kraju!”

Krytyka

Słownik polskich
autorów fantastyki

55

Adam Hollanek
A jednak romantyzm

56

Recenzje

58

Maciej Parowski (ur. 1946) – dziennikarz, prozaik, krytyk filmowy, kierownik działu literatury polskiej w naszym miesięczniku. Na str. 48 fragment jego nowej powieści „Mildgor”.

„...niesamowita atrakcyjność opakowań, przesłani fantastycznych stała się zarówno nadzieją, jak i nieszczęściem fantastyki...” – referat przygotowany na sympozjum naukowe „SF w kulturze współczesnej”, zorganizowane przez Zakład Estetyki Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Zakład Nauk Społecznych Politechniki Rzeszowskiej.

„Fiasko” Stanisława Lema uważa się za jego powrót do typowej SF. Przedstawiamy recenzję Leszka Bugajskiego oraz fragmenty omówień drukowanych za granicą.

Spotkanie z pisarzem

Konrad Fiałkowski

60

„...jestem z innej grupy profesjonalnej, tej od nauki, a nie tej od literatury...”

Nauka i SF

Arka Noego 1988

62

Kosmiczna kolonia Ziemi „Biosfera II” powstaje na arizonskiej pustyni! – Maciej Iłowiecki o przygotowaniach do zasiedlenia Księżyca.

Film i fantastyka

Horror znaczy straszyć

III

„Diabelski nieboszczyk 2” (reżyseria Sam Raimi) według naszej re-

Podobnie jak w zeszłym roku, również w tym, o tej samej jesiennej porze, zaproszono mnie do Polskiego Radia, którego Program Czwarty sporo czasu antenowego poświęca nauce i science fiction i zaproponowano udział w jury konkursu na słuchowisko fantastyczno-naukowe i popularnonaukowe. Oczywiście chodziło o osad nadesłanych, w ilości około trzech czwartych tysiąca, słuchowisk – form nielawnych, jeśli zważyć, że na kilkunastu stronach maszynopisu trzeba zmieścić dramat, który przykułby uwagę słuchaczy, nie zaś widzów. To rzeczywiście sztuka.

Większość utworów była na szczęście sprawnie napisana, choć bardzo niewiele stało na odpowiednim poziomie dramaturgicznym i literackim. Konkursy organizowane przez radio już od wielu lat dołączyły do wykształcić kadre osób najczęściej amatorów, którzy jednak, obsyłając z roku na rok konkurs, zdobyli już pewne kwalifikacje pisarskie i nieźle nawet sobie radzą. Najlepsze rzeczy piszą bowiem właśnie ci, co często stają w szranki z innymi rywalami do publikatorskich laurów. I tutaj się rodzi zasadnicze pytanie, zadawane sobie także przez nas, zespół „Fantastyki” – czy potrzeba takich konkursów i jaką one rolę pełnią, komu i czemu służą.

Odpowiedź wcale nie należy do prostych i znalazłoby się natychmiast wielu przeciwników imprezy, wybrzydzących na dominującą z konieczności amatorszczyznę, dyletancyzm itd. itd., a przecież, jak mówił niegdyś Boy Żeleński, którego maksymy szybko przylegały do życia polocznego i wchodziły w obieg – „dyletancyzm zabija Polskę”. To prawda, że nie jedynie w sztuce i nie jedynie w środkach masowego przekazu mnóstwo u nas zabójczego dyletancyzmu, że mnóstwo osób po prostu partaczy robotę, zabierając się nie do swoich spraw, udając fachowców – naukowców, pieśniarzy, aktorów, mechaników, inżynierów – listę tę dałoby się długo ciągnąć. Z drugiej jednak strony mnóstwo argumentów za amatorszczyzną, czyli – jakby powiedzieli co złośliwsi – i za dyletancyzmem. Rzadko się przecież zdarza, żeby jakiegokolwiek hobby uprawiało się zawodowo i zawodowstwo bywa, w tak pojętym zainteresowaniu jakąś dziedziną – niepotrzebne. Znacznie bardziej drażni nas przecież upadek naszego piśmiennictwa – co tu dużo mówić – w pełni zawodowego, niż to, że nędz-



nie czy po amatorsku grają drużyny miłośników tego sportu.

Z hobbystów, z amatorów, składa się większość publiczności literackiej, kibiców sportowych, miłośników malarstwa, majsterkowania, modelarstwa, fantastyki we wszelkich jej postaciach. Ostatecznie z amatorów – miłośników rekrutują się również późniejsi, często znamienici, zawodowcy, a znamienici kilku wybitnych uczonych – że wymienię tu choćby nieodżałowanej pamięci przyrodnika najwyższej klasy – prof. Władysława Szafera, który twierdził, że spojrzenie amatora i jego opinia nie raz i nie dwa naprowadza zawodowych naukowców na właściwe drogi, to samo kiedyś powiedział mi jeden z najświetniejszych polskich astronomów, profesor Eugeniusz Rybka, który swoją wspaniałą karierę światową rozpoczynał od poezji Owidiusza, opisujących ciała niebieskie i od pełnej ciekawości obserwacji czyśto hobbystycznej zjawisk niebieskich. Z tym dyletancyzmem więc różnie bywa i przez przyznał sympatii i pomyłki z amatorszczyzny należy oceniać także i konkursy literackie dla amatorów pozbawione wszelkiej klauzuli zawodowstwa.

Tak jest, szczególnie w sztuce i to nie tylko w tej najbardziej współczesnej nieraz zacierały się i zacierają różnice między artystem zawodowym a artystą naiwnym. Są to zresztą na ogół rzeczy dość oczywiste – nasza książka „Trzecia brama”, zestawiona z utworami laureatów konkursu pierwszego w „Fantastyce” i opublikowana przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie,

ukazała w sposób dość przeliczny trendy współczesnej fantastyki, modę panującą w tej dziedzinie i wyonila kilka talentów, mających szansę ugruntowania swojej obecności na łamach czasopism i kartach książek. Dawno już zresztą zauważył badacz zjawisk literackich, profesor Bystron, że nawet grafomani, czyli maniacy pisarstwa, za wszelką cenę i wszelkimi srodkami pchający się na ańsz mogą być zaczynem czy ważnymi udziałowcami środowisk i wydarzeń pisarskich.

Niewątpliwie konkurs organizowany przez IV Program Polskiego Radia należałoby pod tym kątem ocenić i ze wszech miar pochwalić, szczególnie ze popularyzatorów nauki brakuje, o czym niejednokrotnie mówiono i pisano, a tutaj trzeba przekazywać nie najłatwiejsze treści w możliwie najbardziej atrakcyjnej, a nawet i literacko zgrabnej formie. Jest więc ten konkurs z jednej strony sondazem zainteresowań radiosłuchaczy, kilkumilionowej ich rzeszy – to rzecz niebagatelna! – z drugiej zaś strony jest także swego rodzaju szkołą, kształcąca umiejętności wypowiedzi, wykładu, zręczności pisarskiej.

Zwraca jednak uwagę kilka zjawisk, godnych artykulacji. Przede wszystkim zmniejsza się liczba popularyzatorów treści humanistycznych – czy też, mówiąc precyzyjniej, spraw i treści zawartych w takich naukach, jak socjologia czy historia, bardzo mało utworów zajmuje się postaciami godnymi studiów i publikacji. Równocześnie nasłępuje jak gdyby ucieczka od tematów związanych bezpośrednio z naukami ścisłymi, nie manifestują się także dostatecznie zainteresowania tematyką ekologiczną, zajmującą przecież tak poczesne miejsce we współczesnej fantastyce, wyczerpują się pomysły fantastyczne, będące przecież głównym czynnikiem twórczym literatury science fiction. Jury miało więc dość trudne zadanie, aby wyłonić trzech laureatów nagród i trzy osoby wyróżnione. A ponieważ staramy się w naszym piśmie ukazywać różne formy i treści fantastyki, postanowiliśmy poprosić kierowników IV Programu PR o pozwolenie na druk kilku nagrodzonych prac i wkrótce je zaprezentujemy, prosząc o opinie Czytelników.

Do następnego orbitowania, niestety jeszcze chyba w ziemie.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1

Adam Hollanek

MESECSNIK LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy techn., graf., literatury polskiej), 25-80-51 (z-ca red. nac., sekretariat, działy zagr., krytyki)

Redaktor naczelny: Adam Hollanek

Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczyński (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Doroła Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nac.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dariusz J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemiakiewicz

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowa Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wkleśtodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch” Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Nakład 200 000 egz.
Zam 120/88 U-69

Lądowanie LX

S trasznie dziwaczne i zaskakujące są niekiedy propozycje Czytelników, podaje je pod dyskusję, proszę się w niej nie oszczędzać, zwłaszcza gdy chodzi o sprawy dość istotne. Dla większości osób istotne zaś są pieniądze; wydawanie ich na ulubione lektury. Oto opinie na ten temat: sprzeczne, a czasem wręcz skrajne, budzące nieraz w nas, redaktorach, odruch obronny.

Jesteście za tani

To certowanie się z cenami „Fantastyki” i innych poczytnych pism powoduje niepotrzebne zjawiska. Po prostu „Fantastyka” jest już w tej chwili zbyt tania, a przecież gdybyście dodali trochę tekstów i zwiększyli nakład i objętość, to śmiało można by brać za nią dwa razy tyle co kosztuje obecnie. Dzisiaj dla najmłodszego nawet miłośnika SF wydanie dwóch czy trzech setek to wydanie groszy, a czy wy chcecie być piśmierzem za grosze, czy to się wam kalkuluje, czy to zachęca do walki o poziom...

Janusz Rokicki z Warszawy

Popatrzcie kochani ile osób kupuje „Fantastykę” po podwójnej czy nawet potrójnej cenie na bazarach, czy w ramach tej Waszej zbyt rzadko drukowanej rubryki „komu – komu” i to są uczniowie i studenci, nie żadni bogacze, zrozumcie wreszcie: mnóstwo osób przestało kupować takie piśma jak „Kultura”, jak „Życie Literackie”, nie każdy gustuje w „Przeglądzie Kulturalnym”, w „Literaturze”, czy „Miesięczniku Literackim”. Nikomu jakoś nie strzelilo do łba, żeby robić literackie czasopismo dla wszystkich, czy dla prawie wszystkich, takie jak „Fantastyka”, dlatego po prostu macie powodzenie, dlatego te ceny na różnych placach i przy różnych kupnackach z drugiej ręki. Windujcie ceny, niech zgnie drugi rynek. Wolę wam płacić niż pośrednikom...

Jan Grocerak z Gdańska

Elitarność zarzęta w tym kraju kulturę i będzie ją zarzynać nadal, a wy się nie ciescie zbyt, bo tylko dlatego macie powodzenie, że umiecie polować na tę popularność, wy jedyni, którzy śmiecie podpisywać swe pismo literackie, a przecież przeznaczonym dla tłumy. Uważajcie, żeby nie przekroczyć granic, nie oddalić się od tego, co ludzie lubią, albowiem wtedy was przestaną lubić i będzie kłopot.

Julia Restyńska z Katowic

Bez tajemnic

Konieczne jest wprowadzenie prawa ograniczającego tajemność twórczą, gdyż bez tego marna jest przyszłość urzeczywistnienia wielu wynalazków i spełnienia fantastycznych pomysłów. Rozczarowanie, gorycz, brak zaufania do ludzi nauki i niedostatecznego postępu, to między innymi skutek panoszenia się międzynarodowej manii utajniania twórczości różnego rodzaju. W takiej sytuacji obywateli szczęśliwszego życia mogą się nigdy nie spełnić.

Imre Stawilski z Łodzi

Przyszłość czas tłumaczenia różnych biatych plam, które utrudniają stosunki międzyludzkie, budzą niepokój i brak zaufania. Mnie się wydaje, że dotyczy to nie tylko

lecz także, w nie mniejszym stopniu, współzycia w jednym narodzie, w pojedynczych grupach społecznych. W naszych szkołach nikt jednak nie wyjaśnia naszej historii, nie tłumaczy nam dlaczego mieliśmy takie trudne lata po wojnie, tak samo o tym się nie mówi, jak i na naszych lekcjach nie podaje się właściwie żadnych prognoz przyszłościowych, szkoła uczy tylko formuł i formulek, co tydzień organizuje sprawdziany z wykutych faktów i dat, ale myśleć o przyszłości, teraźniejszości i przeszłości nikomu się nawet gadać, a nie tylko uczyć nie chce. Zdaje wkrótce maturę i czuję się do niej nie najgorzej przygotowany, ale matura oznacza dojrzałość nie tylko do dobrego, prawidłowego wypisywania wzorów i rozwiązywania zadań, moi starsi koledzy mówili mi, że z dojrzałości życiowej, dojrzałości intelektualnej nikt nikogo nie pyta. Fantastyci, pomóżcie!

Jacek Druh z Poznania

Śmiesz mnie podzielić na młodzież i dorosłych – podział, którego granica przebiega rzekomo w okolicy trzydziestego roku życia. Oczywiście ktoś na tym podziale korzysta, zarabia forsy, przechwytuje władzę, ale czy naprawdę jest jakakolwiek różnica między trzydziesto- i czterdziestolatkiem, dwudziesto- i pięćdziesięciolatkiem. Te podziały mają coś z dawnej tacińskiej zasady „divide et impera”, „dziel i rządź”. Najmniej służą dzielonym i rządzonym. Dlatego pytam czy warto dzielić także i „Fantastykę” na „Małą” i „Komiks”, czy nie lepiej byłoby za większe pieniądze dać w jednym wydaniu wszystko dla wszystkich – to znaczy przy większej objętości i bogatszym rozrzuć tematycznym. „Fantastyka” jest jedna, po co ją dzielić?

Robert z kolegami z Poznania

Nie wzywać do plagiatów

Ten „Wiedźmin”, którego tak wychwalacie (także i niektórzy czytelnicy) jest w gruncie rzeczy plagiatem, cały opiera się na legendzie i to legendzie już opracowanej literacko, a więc nie można tu mówić o jakimś praźródle, tylko o dalszej, wcale przy tym nie gruntownej przeróbce materiału. I niech mi tutaj nikt nie mówi, że Szekspir tak robił, że Mickiewicz, że Słowacki, że nasz Chopin w muzyce czy także Szymanowski. Boję się, że Wasz mało krytyczny stosunek do plagiatu zachęci wielu mniej roztargniętych i mniej utalentowanych grafolomanów do przepisywania z innych autorów i po kilku przeróbkach podawania takiego „dzieła” za swoje i co wy na to? Dostaniecie za swoje, gdy przyjdzie Wam wyczytywać i rozróżniać dziesiątki i setki grafolomańskich kalkomanii.

Jan Struś (pseudonim?) z Warszawy

Wkrótce fantastyka zarówno krajowej, jak i zagranicznej zabraknie oryginalnych tematów, i co wówczas, co się będzie pisało, ściągawki? Te wydawcy i zapewne także i redaktorzy „Fantastyki” odrzucą, a zostaną im – wielkie nic, i to będzie początek końca literatury SF, którą trudno nie tylko pisać, ale w ogóle wyobrazić sobie bez prawdziwych, chwytających za gardło, pomysłów...

Gerard Konczyński z Berlina Zachodniego

No i co Państwo na takie dictum, czekam na opinie, na sprzeczkę, na wrywanie wzajemnie włosów.

Redaktor

Czy już zaprenumerowałeś nasz dodatek kwartalny „KOMIKS FANTASTYKA”!?

Pierwsze numery: ● Parowski, Rodek, POLCH: „Bez oddechu” (Funky Koval I)

● Duchateau, ROSIŃSKI: „Yans – więzień wieczności”

● Parowski, Rodek, POLCH: „Sam przeciw wszystkim” (Funky Koval II)

● Duchateau, ROSIŃSKI: „Yans – przybysz z przyszłości”

W przygotowaniu: Następne zeszyty (kolorowe!) przygód Yansa i Funky’ego Kovala ★ Nowe postaci komiksowe: Rork i... Inni ★ Bogato ilustrowany numer publicystyczny, zawierający krótkie komiksy polskie i zagraniczne, a także eseje, felietony, wywiady.

Pamiętaj! Tylko prenumerata zapewni Ci systematyczne otrzymywanie „Komiksu-Fantastyki”. Jeśli jeszcze jej nie opłaciłeś, zrób to jak najszybciej. Przypominamy też, że w kioskach „Ruchu” są przyjmowane zlecenia na odkładanie prasy do teraz...

Co JA ZROBIŁEM?

(What Have I Done?)

Tak, to musiałem być ja. Głupotą byłoby upierać się, że ten ciężar powinien spaść raczej na jakiegoś wielkiego meża stanu, przywódcę czy znanego naukowca. Z całą skromnością, na jaką mnie stać, uważam, że jestem jednym z nielicznych, którzy potrafiliby odpowiednio wcześniej wyczuć niebezpieczeństwo i zapobiec nieszczęściu. Mam pewien specjalny talent. To właśnie jemu wszystko zawdzięczam. Mianowicie znam się na ludziach.

Kiedy zobaczyłem go pierwszy raz, płaciłem właśnie w sklepiku za papierosy. Facet stał przy stelażu z czasopismami. Sądząc z wyrazu jego twarzy, nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Z drugiej strony podobną minę ma wielu ludzi nie mogących się zdecydować na jedną, ściśle określoną rzecz.

Zaniepokoił mnie tylko fakt, że nie mogłem go rozpoznać.

Są tacy, którzy mogą porównywać się ze mną, jeżeli chodzi o liczbę przypadków, z jakimi mieli do czynienia, ale to właśnie ja zwróciłem uwagę na tego faceta. Przez trzydzieści lat słuchałem ludzi, rozmawiałem z ludźmi, radziłem ludziom – w sumie sporo ponad dwustu tysiącom. Nie były to takie sobie rutynowe pogaduszki. Każdemu z nich miałem do zaoferowania wrażliwość, współczucie i inteligentne zainteresowanie.

Moją obsesją była chęć jak najlepszego poznania ludzi. Nie tak, jak to czyni zachodnia nauka, tworząc narzędzia i wzory służące do mierzenia z drobiazgową dokładnością zewnętrznych powłok żywych robotów, ignorując jednocześnie tkwiącego pod tą powłoką człowieka. Ani nie tak, jak to czynią różne wschodnie filozofie, chcące poznać człowieka na podstawie obrazu, jaki na ułamek sekundy wywoła we mgle jego oddech.

Staralem się korzystać z obydwu tych szkół. Musze stwierdzić, że nie bez sukcesów.

Doświadczony geograf potrafi rzucić okiem na fragment odręcznie narysowanej, konturowej mapy i błyskawicznie umiejscowić przedstawiony na niej obszar kuli ziemskiej, orientując się według charakterystycznego zakreślenia rzeki, swoiście ukształtowanej linii brzegowej jeziora czy wygięcia łańcucha górskiego. Swoją wiarygodność potwierdzi następnie opowiadając z najdrobniejszych szczegółami, co można, a czego nie można tam znaleźć.

Dla mnie, po zapoznaniu się z około pięćdziesięcioma tysiącami przypadków, w których musiałem postawić diagnozę, a następnie obserwować i sprawdzić jej słuszność, takimi charakterystycznymi cechami stały się skrzywienie ust, ruch dłoń-

ni, pochylenie pleców. Moimi dokonaniem zainteresował się jeden z uniwersytetów. Według ich badań, wyniki moich obserwacji potwierdziły się w 92 % przypadków. Działo się to piętnaście lat temu. Przypuszczam, że przez ten czas mogłem się jeszcze poprawić.

Mimo to przyglądając się młodemu mężczyźnie stojącemu przy stelażu z czasopismami, nie mogłem nic odczytać. Nic a nic.

Gdyby była to taka sobie, zwyczajna twarz, od-ruchowo zaklasyfikowałbym ją do takiej kategorii, po czym natychmiast bym ją zapomniał. Widuję takich tysiące. Ale ta twarz nie mogła zostać sklasyfikowana i zapomniana, ponieważ nie było w niej nic.

Chciałem już napisać, że to w ogóle nie była twarz, ale to nieprawda. Każda ludzka istota ma jakąś twarz.

Jeżeli chodzi o sylwetkę to mężczyzna był niewysoki, dosyć barczysty, proporcjonalnie zbudowany. Miał krótko przystryżone, jasne włosy, niebieskie oczy, jasną karnację skóry. Klasyczny typ nordycki, można by powiedzieć – ale nie byłoby to zgodne z prawdą.

Zapłaciłem za papierosy i spojrzałem jeszcze raz w jego stronę, mając nadzieję na uchwycenie w jego rysach czegoś, co mogłoby mi cokolwiek o nim powiedzieć. Nic z tego. Zostawiłem go przy czasopismach, sam zaś wyszedłem na ulicę i skreśliłem za najbliższy róg. Sama ulica, wystawy sklepów, policjant na rogu, ciepłe, słoneczne promienie – wszystko było tak znajome, że nie zwracałem na to żadnej uwagi. Wszedłem po schodach na piętro, do mego biura znajdującego się w budynku stykającym się jedną ścianą z tym, w którym mieścił się sklep.

Poczekalnia mojej agencji zatrudnienia była pusta. Nie zależy mi specjalnie na dzikich tłumach, bo wtedy nie mam możliwości porozmawiania dłużej z interesantami i pogłębiania mojej wiedzy.

Margie, recepcjonistka, była zajęta sporządzaniem jakiegoś sprawozdania, więc tylko skinęła mi głową, gdy przechodziłem koło jej biurka. Margie jest dobra, pracowitą dziewczyną, nie mogącą zrozumieć, dlaczego marnuje tyle czasu zajmując się różnymi pijakami, ćpunami i rozmaitymi innymi psychopatami, po których od razu widać, że nie wzbogacą szczupłego konta firmy żadnymi wpłatami.

Usiadłem za biurkiem i powiedziałem na głos:
– Ten facet jest fałszywy! Nie ma najmniejszych wątpliwości. Po prostu fałszywy!

Usłyszałem mój własny głos, zastanowiłem się przez chwilę, czy aby nie zaczynam wariować. Co to znaczy „fałszywy”? Wzruszyłem ramionami. Po prostu trafiłem wreszcie na kogoś, z kim nie potrafiłem sobie poradzić. To wszystko.

Wtedy dopiero do mnie dotarło, jak niezwykle byłoby to przeżycie. Nie doświadczyłem go już od przeszło dwudziestu lat. Wyobraźcie sobie rozkosz, jaką po tylu latach może dać zmierzenie się z czymś, co wydaje się niemożliwie do osiągnięcia!

Wypadłem z biura i popędziłem na dół do sklepu. Hallahan, ten gliniarz z rogu, przyglądał się ze zdziwieniem, jak kłusuję ulicą. Pomachałem mu ręką na znak, że wszystko w porządku. Zsunął czapkę z czoła i podrapał się za uchem, po czym potrząsnął głową, przesunął czapkę na jej poprzednie miejsce i zagwizdał wściekle na jakiś samochód prowadzony przez kobietę.

Wbiegłem do sklepu. Faceta, rzecz jasna, już tam nie było. Rozejrzałem się dookoła, mając nadzieję że dojrzę go kryjącego się za którymś stelażem, ale nic z tego. Zniknął.

Ociągając się ruszyłem w drogę powrotną do biura. Usiłowałem przypomnieć sobie tę twarz, by spróbować coś z niej jednak odczytać. Logika mówiła mi to samo. Gdyby było można, nie istniałby żaden problem. Twarz była po prostu pusta, pozbawiona śladu jakichkolwiek ludzkich uczuć bądź emocji.

Nie, to chodziło o coś jeszcze. Była pozbawiona... pozbawiona... człowieczeństwa!

Zawróciłem do sklepu, rozglądając się uważnie w nadziei, że gdzieś go zauważę. Hallahan znowu spojrzał w moim kierunku, ale teraz tylko krzywo się uśmiechał. Podejrzewam, że w sąsiedztwie uważają mnie za dziwaka. Zadaje ludziom najniezwyklejsze pytania, z punktu widzenia laika, rzecz jasna. Mimo to usłyszałem już od kilku klientów, że gdy pytali gliniarza, jak trafić do najbliższej agencji zatrudnienia, zawsze byli kierowani właśnie do mnie.

Po raz kolejny wspiałem się po schodach i wszedłem do poczekalni. Margie spojrzała na mnie podejrzliwie, ale powiedziała tylko:

– Ma pan klienta. Czeka w gabinecie.

Odniosłem wrażenie, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale tylko wzruszyła ramionami. Albo zadrżała. Od razu wiedziałem, że coś musi być nie tak, skoro nie kazała mu usiąść w poczekalni.

Otworzyłem drzwi do mego gabinetu i doznałem ogromnego, niewyobrażalnego uczucia ulgi. To był on. Właściwie nie było nic niezwykłego w tym, że właśnie tu się znalazł. Prowadzę agencję zatrudnienia. Ludzie przychodzą do mnie po pomoc w znalezieniu pracy, dlaczego więc nie on?

Wśród umiejętności, jakie posiadam, poczesne miejsce zajmuje zdolność nieujawniania żadnych uczuć. Ten osobnik nie miał prawa choćby przez moment podejrzewać, jak wielką rozkosz sprawi mi wysłuchanie jego historii. Gdybym spotkał go na ulicy, mógłbym co najwyżej zadać standardowe pytanie o godzinę, albo czy ma zapalki, ewentualnie czy nie wie, którą do ratusza. Tutaj natomiast mogłem go wypytować, ile dusza zapagnie.

Wysłuchałem, co miał o sobie do powiedzenia, a potem przystąpiłem do zadawania rutynowych pytań. Wszystko było w niesamowitym wręcz porządku.

Służył w wojsku, skończył astronomię na uni-

bez najmniejszego nawet wyobrażenia o tym, co właściwie chciałby robić, jednym słowem bez niczego, czym mógłby zainteresować ewentualnego pracodawcę. Typowe.

W dodatku pozbawiony jakichkolwiek uczuć czy emocji. To już mniej typowe. Zwykle są rozdrażnieni i oburzeni, że nikt nie czeka na nich z otwartymi ramionami. Zdecydowałem się na stary schemat naprowadzający klienta na coś choćby odrobinę praktycznego.

– Astronomia? – spytałem. – To znaczy, że jest pan dobry w matematyce. Zdolności matematyczne można często wykorzystać choćby w pracy związanej ze statystyką.

Miałem nadzieję, że może w ten sposób posune się choćby o krok naprzód.

Okazało się, że wcale nie jest taki dobry.

– Jeszcze nie przystosowałem mojej matematyki do... – urwał.

Po raz pierwszy dał po sobie poznać, że reaguje na to, co się dzieje dookoła niego. Zawahał się. Do tej pory można go było wziąć za grecki posąg – szcero ko otwarte, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu o-czy, doskonałe, zbyt doskonałe rysy, nie wykrzywione czy zmienione echem żadnej myśli.

– Po prostu nie jestem w tym zbyt dobry, to wszystko – dokończył po chwili.

Westchnąłem w duchu. To także nie było nic nowego. Wypuszczają ich teraz z uczelni byle szybko. Czasem przez kilka dni wśród moich klientów nie trafiał się nikt, kto potrafiłby robić coś sensownego. Tak więc, w pewnym sensie i to było normalne.

Nienormalne natomiast było to, że najwyraźniej wyczuwał, iż to, co mówi, nie brzmi najlepiej. Zwykle tacy młodzieńcy nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że jednak powinni coś potrafić. Sprawiał wrażenie zażenowanego faktem, że można skończyć astronomię nie znając zbyt dobrze matematyki. No cóż, wcale bym się nie zdziwił, gdyby można ją było skończyć nie wiedząc nawet, ile jest planet w Układzie Słonecznym.

Najwyraźniej zaczął się też niepokoić. Było to również dosyć niezwykle, bowiem do tej pory wydawało mi się, że znam wszystkie możliwe kombinacje naprężeń i napięć mięśni ciała, jego zaś zdernerwowanie objawiało się tak, jakby był skomplikowaną marionetką prowadzoną przez lalkarza-amatora. I jeszcze te oczy. Ciągłe bez żadnego wyrazu.

Zapytałem o to, o tamto. Podsunałem jedną myśl, drugą... Spośród wszystkich fałszywych masek i sztucznych póz, z jakimi miałem do czynienia, ta była najbardziej nienaturalna. Spotykam się nie raz z czymś takim u facetów, którzy siedzieli długo w więzieniu i wychodząc z niego fabrykują sobie przeszłość. Ale to nigdy nie ma aż takich rozmiarów.

I jeszcze jedno. Zazwyczaj tak jest, że gdy klient zorientuje się, że jego mydlenie oczu na nic się nie zdaje, znika, korzystając z pierwszego lepszego pretekstu. A ten nie. Wyglądało to tak, jakby... bo ja wiem... sprawdzał, na ile wiarygodne jest to, co ma mi do powiedzenia.

Skierowałem rozmowę na astronomię, o której, jak mi się wydawało, mam jakieś takie pojęcie. Okazało się, że albo tylko mi się wydawało, albo to on jest w tym zupełnie zielony. Jego astronomia nie miała z moją nic, ale to nic wspólnego.

I wtedy właśnie wygadał się. Mówił coś o Układzie Słonecznym i zaczął następne zdanie od

Natychmiast przerwał.

- Ach, prawda. Przecież jest tylko dziewięć.

Może to była ignorancja, ale nie przypuszczam. Raczej wiedział o istnieniu planety, której nie udało się jeszcze odkryć naszym uczynom.

Uśmiechnąłem się. Otworzyłem szufladę i wyjąłem z niej kilka magazynów SF.

- Czytał pan to kiedyś? - zapytałem.

- Przejrzałem kilka w sklepie, parę minut temu.

- Dzięki nim bardzo rozszerzyłem moje horyzonty - powiedziałem. - Tak bardzo, że mógłbym nawet uwierzyć, że gdzieś w kosmosie istnieje system planetarny zamieszkały przez inteligentne istoty.

Zapaliłem papierosa i czekałem na jego reakcję. Jeśli nawet się myliłem, to zawsze będę mógł obrócić to w żart.

Jego oczy się zmieniły. Nie przypominały już oczu greckiego posagu. Nie były już błękitne. Były czarne bezdenna, nieskończoną czernią, tak głęboką i zimną jak sam kosmos.

- Na czym polegał mój błąd? - zapytał, wykrzykując wargi w uśmiechu, który wcale nie był uśmiechem.

No tak, teraz już wiedziałem. Rzeczywiście trafiłem na coś niezwykłego, nie ma dwóch zdań. Siedział sobie po drugiej stronie biurka, a ja nawet nie miałem pojęcia, jakie ma zamiary. Nie wiedziałem, jakie są motywy jego postępowania. Nic nie wiedziałem - bo i skąd? Skoro przez całe życie poznajemy naszych bliźnich, to ile czasu potrzeba na to, by poznać istotę z gwiazd?

Wiele bym dał za to, by móc zachować się tak, jak ci bohaterowie space oper, którzy w podobnych okolicznościach uśmiechają się uprzejmie i mówią: „Powiadasz, że jesteś z Arktura? Popatrz, popatrz, jaki ten Wszechświat mały!” A potem obejmują się wpół i idą na drinka do najbliższego baru.

Przemknęła mi histeryczna myśl, że nie wiem nawet, czy ten typek lubi piwo, czy nie. Nie będę opisywał walki, jaką stoczyłem z moim organizmem, a szczególnie mięśniami, by nie dać niczego po sobie poznać. W każdym razie udało mi się nie spaść z krzesła i zachować uprzejmy wyraz twarzy. Procentowało duże doświadczenie w stosunkach z ludźmi.

- Nie mogłem nic w panu wyczuć - odpowiedziałem. - Kompletnie nic, tylko pustkę.

Faktycznie wyglądał tak jakoś pusto. Tyle że oczy miał już znowu błękitne. Wołałem to, niż taką czerń.

W takiej sytuacji powinny cisnąć się na usta miliony pytań, ale ja miałem cały czas uczucie, że siedzę w towarzystwie odbezpieczonej bomby. Nie wiedząc, co może spowodować jej wybuch. Mogłem się zdobyć tylko na coś doskonale trywialnego.

- Jak długo jest pan na Ziemi? - spytałem. Coś takiego, jak: „Cześć, Joe! Kiedy wróciłeś do miasta?”

- Od kilku waszych tygodni - odpowiedział. - Ale dziś jestem po raz pierwszy wśród ludzi.

- A gdzie pan był do tego czasu?

- Uczyłem się.

Jego odpowiedzi stawały się coraz krótsze i znowu coś dziwnego działo się z jego mięśniami.

- Gdzie pan się uczył? - naciskałem.

Wstał z miejsca i wyciągnął do mnie rękę, wszystko jak najbardziej sprawnie.

- Muszę już iść - oświadczył. - Oczywiście, moja

podanie o prace przestaje być aktualne. Musimy się jeszcze wiele nauczyć.

Uniosłem w górę brwi.

- Uważa pan, że oł, tak sobie o wszystkim zapomnę? O czymś takim?

Uśmiechnął się ponownie swoim dziwnym uśmiechem.

- Zdaje się, że na tej planecie istnieje zwyczaj zgłaszania wszelkich problemów policji. Może pan to zrobić.

Nie mogłem się zdecydować, czy powiedział to powodowany ironią, czy zwykłą logiką.

Nie wiedziałem, co mógłbym jeszcze powiedzieć. Wyszedł, a ja stałem bez ruchu przy biurku i patrzyłem, jak zamykają się za nim drzwi.

Co miałem robić? Iść za nim?

Poszedłem.

Nie jestem wywiadowcą, ale czytałem wystarczająco wiele powieści detektywistycznych, by wiedzieć, jak należy śledzić kogoś, samemu pozostając niezauważonym. Po pewnym czasie dotarliśmy do cichej, spokojnej dzielnicy domków jednorodzinnych. Stałem za palmą, udając, że zapalam papierosa, a on wszedł właśnie do jednego z tych domów. Widziałem, jak przez chwilę walczy z drzwiami, otwiera je i wchodzi do środka. Drzwi zamknęły się.

Odczekałem dłuższą chwilę, wszedłem po schodach i zadzwoniłem. Otworzyła mi siwowłosa matrona, najwidoczniej oderwana od zajęć w kuchni, bo wycierała dłonie w fartuch.

- Niczego dziś nie kupuję - oświadczyła, nie zdążywszy jeszcze do końca otworzyć drzwi.

Niemniej spoglądała na mnie z ciekawością, czekając, co mam do zaoferowania.

Przywołałem na twarz najlepszy z moich uśmiechów, przeznaczonych dla starszych pań.

- A ja niczego nie sprzedaje - odparłem, wręczając jej moją wizytówkę. Przyjrzała jej się ze zdziwieniem, po czym podniosła wzrok.

- Chciałbym się widzieć z Josephem Hoffmannem - powiedziałem grzecznie.

- Obawiam się, że pomylił pan adresy.

Byłem już gotów wsadzić stopę między drzwi, ale okazało się to niepotrzebne.

- Był u mnie w biurze kilkanaście minut temu - wyjaśniłem. - Wychodząc zostawił mi swój adres. Oferta pracy dla niego nadeszła tuż po jego wyjściu, a ponieważ i tak szedłem w tym kierunku, pomyślałem sobie, że wpadnę i powiem mu o tym osobiście. To dosyć pilne - dodałem. Parę razy rzeczywiście zdarzały mi się takie sytuacje, ale teraz nawet ja sam nie bardzo mogłem uwierzyć w to, co mówię.

- Nikt tu nie mieszka oprócz mnie i mojego męża - upierała się gospodyni. - A on już dawno jest na emeryturze.

Nie obchodziło mnie to, co robi jej mąż. Mógł nawet wisieć głową w dół na drzewie. Potrzebowałem tego młodego typka.

- Ale widziałem, jak ten młody mężczyzna tu wchodził - nie dawałem za wygraną. - Właśnie wyszedłem zza rogu i nie zdążyłem go dogonić.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

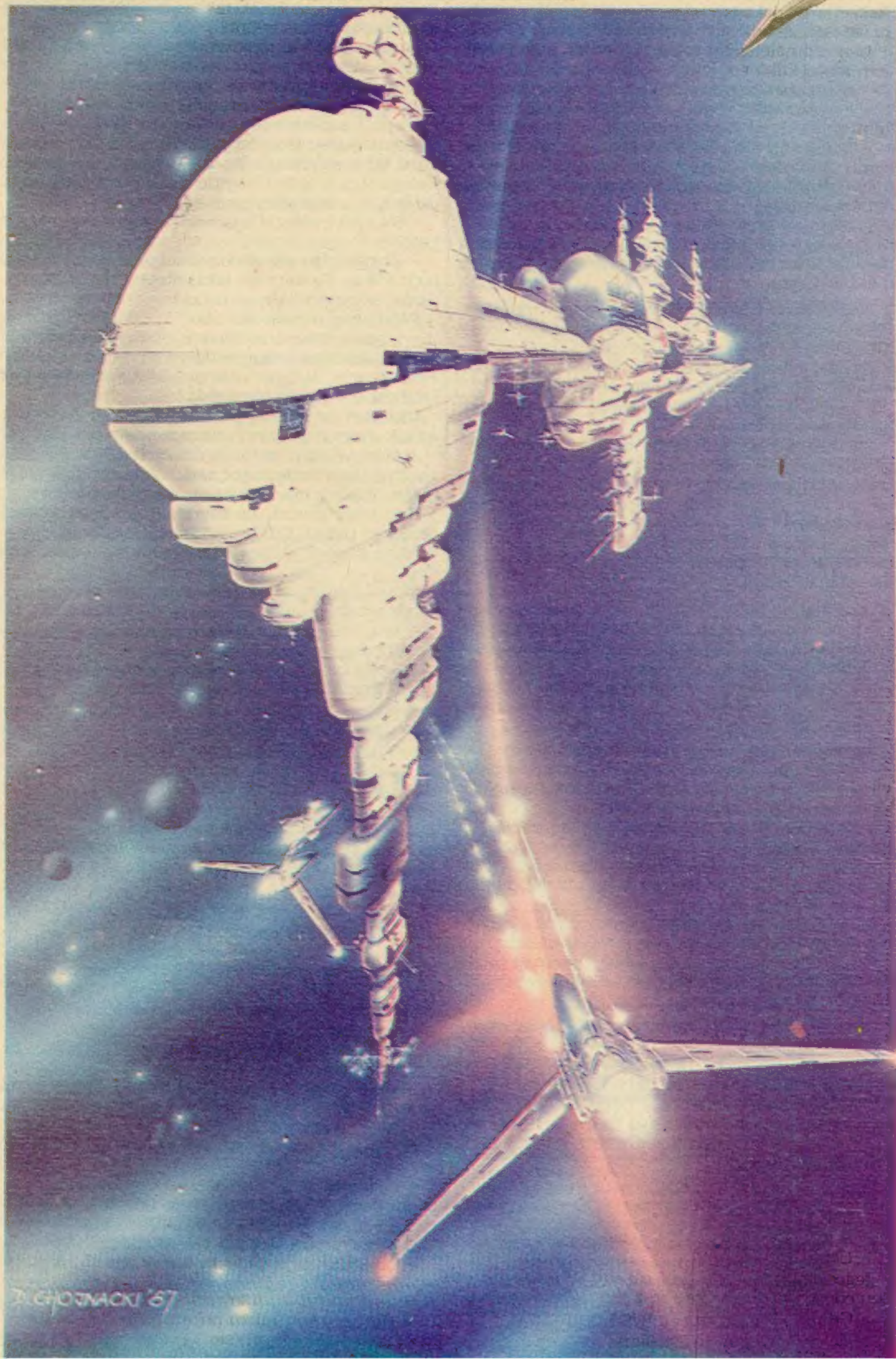
- Nie wiem, do czego pan zmierza - odparła z zaciśniętymi wargami - ale ja i tak niczego nie kupię. Ani nie podpiszę. Nie chcę nawet z panem rozmawiać. - Wyglądało na to, że naprawdę wierzy w to, co mówi.

Przeprosiłem ją mamrocząc coś o pomyłce, którą, zdaje się, musiałem popełnić.

- Tak właśnie mi się wydaje - powiedziała kwaśno i z godnością zamknęła drzwi. Mogę dać głowę za to, że była to godność nieudawana.

DARIUSZ CHOJNACKI

GALERIA



Prowadząc w odpowiedni sposób biuro pośrednictwa pracy można zyskać wielu przyjaciół. Przez kolejnych kilka dni ta nieszczęsna starsza pani musiała mieć wrażenie, że zwała się na nią plaga szarańczy.

Najpierw zjawił się człowiek od naprawy telefonów w celu zlokalizowania stwierdzonego rzekomo uszkodzenia. Potem człowiek z gazowni sprawdzał plomby na liczniku. Potem człowiek z elektrowni szukał zwarcia w sieci. Modliłem się tylko o to, by jej mąż nie okazał się na przykład byłym elektrykiem, bo błyskawicznie zdemaskowałby te maskarady. Na koniec przyszedł człowiek z Urzędu Statystycznego, by skorygować pewne dane z ostatniego spisu.

Dom został przeszukany cegła po cegle, od piwnicy począwszy, na strychu skończywszy. Kobieta mówiła prawdę: nie mieszkał w nim nikt oprócz niej i jej męża.

Pogrążony we frustracji czekałem trzy miesiące. Wydeptałem dziury w chodnikach, szukając wszędzie młodego faceta. Bezskutecznie.

I nagle, pewnego dnia otworzyły się drzwi mego gabinetu i Margie wprowadziła młodego mężczyznę. Za jego plecami chwytala się za serce i trzepotała opętańczo rzesami.

Był typowo wysoki, ciemnowłosy, przystojny, uśmiechnięty i o błyszczących, żywych oczach. Jego osobowość uderzyła mnie z siłą kowalskiego młota. Tacy faceci nigdy nie przychodzą do biur zatrudnienia, bo po prostu tego nie potrzebują. Każdy pracodawca zatrudni go po trzech minutach rozmowy, a potem będzie zachodził w głowę, dlaczego to zrobił.

Nazywał się Einar Johnson i pochodził z Norwegii. Jeżeli myślał, że jestem naiwniakiem, którego łatwo da się otumanić, to od razu wyprowadziłem go z błędu.

- Poprzednim razem nazywał się pan Joseph Hoffman - powiedziałem. - I pod względem antropologicznym był pan raczej Nordykiem.

Ogniki w jego oczach momentalnie zgasły, zaś na twarzy pojawiła się irytacja. Spora irytacja, powiedziałbym nawet. W dodatku sprawiająca wrażenie jak najbardziej autentycznej.

- W porządku. Na czym teraz wpadłem? - zapytał niecierpliwie.

- Wyjaśnienie tego zajęłoby mi bardzo dużo czasu. Może najpierw wysłucham tego, co ma mi pan do powiedzenia.

Może to dziwne, ale czułem się zupełnie swobodnie. Zdawałem sobie sprawę, że pod tą pozornie ludzką powłoką kryje się obce, niezrozumiałe stworzenie, ale kamuflaż był tak doskonały, że pozwalała o tym zapomnieć.

Przez dłuższą chwilę mierzył mnie spojrzeniem, a potem powiedział:

- Według naszych przewidywań, istniała nie więcej niż jedna szansa na milion, że zostanę rozpoznany. Przyznaje, że mój poprzednik niezbyt nam się udał, ale od tego czasu sporo się nauczyliśmy i wszystko to zostało zebrane w osobowości, którą teraz noszę.

Przerwał, by obdarzyć mnie promiennym uśmiechem. Gdyby rzeczywiście przyszedł po pracę, już by ją miał.

- Przewędrowałem całą południową Kalifornię - podjął. - Pracowałem przez jakiś czas jako sprzedawca. Chodziłem na zabawy i przyjęcia. Upijałem się i trzeźwiałem. Nikt, powtarzam, nikt nie powziął najmniejszego podejrzenia.

- Nie byli zbyt spostrzegawczy, prawda? - zapytałem z ironią w głosie.

- Ale pan jest - odparł. - Dlatego właśnie zjawiałem się tu, by przejść ostatni test. Chciałbym wiedzieć, na czym polegał mój błąd.

- Przychodzą tutaj różni osobnicy - zacząłem. - Facet, który rejestruje się w różnych biurach jako bezrobotny, by żyć z zasiłków. Nieszczęśnik, którego przygania tutaj żona strasząc go, że jeśli nie pójdzie wreszcie do pracy, to ona zrezygnuje ze swojej. Tajniak, weszący w poszukiwaniu nielegalnych kantorów bookmacherskich. Najróżniejsi. - Słuchał z zainteresowaniem. Skrzywiłem się. - Są demaskowani w ciągu najdalej dwóch minut. Pana też to spotkało, ale pan nie należy do żadnej z kategorii, z którymi zwykle mam do czynienia. A poza tym... czekałem na pana.

- Na czym polegał mój błąd? - powtórzył z uporem.

- Zbyt wielka siła osobowości. Ludzie po prostu tacy nie są. Czułem się tak, jakbym, bo ja wiem... dostał czymś ciężkim po głowie.

Westchnął niewesoło.

- Obawiałem się, że tak czy inaczej uda się panu mnie rozpoznać. Skontaktowałem się z domem. Przekazano mi, bym w razie zdemaskowania polecił panu nawiązanie z nami współpracy.

Uniosłem w górę brwi. Nie wiedziałem, czy jest aż tak mocny, żeby mi cokolwiek polecać.

- Mam włączyć pana do naszych działań w charakterze kontrolującego i nadzorującego nasz ostateczny trening tak, by nikt nie mógł nas rozpoznać. Jest to nieodzowne dla realizacji naszego podstawowego planu. Gdyby to miało się nie udać, będziemy musieli wprowadzić w życie plan zastępczy.

Mówił jak nauczyciel, ale czar jego osobowości ciągle promieniował jak lampa podczerwona.

- Musi mi pan powiedzieć znacznie więcej niż do tej pory - odezwałem się.

Rzucił szybkie spojrzenie na drzwi gabinetu.

- Nikt nie będzie nam przeszkadzał - zapewniłem go. - To, co klienci mają do powiedzenia otczone jest ścisłą tajemnicą.

-Pochodzę z jednej z planet Arktura - powiedział.

Na mojej twarzy musiał pojawić się uśmiech, bo zaraz zapytał:

- Uważa pan, że to zabawne?

- Ależ skąd - zaprzeczyłem gwałtownie. A więc jednak nie potrafi czytać w moich myślach. Najwidoczniej byliśmy dla nich równie obcy jak oni dla nas. - Uśmiechnąłem się dlatego, że za pierwszym razem, kiedy pan się tu zjawił, pomyślałem sobie, że jest pan równie nieodgadniony, jak istota na przykład z Arktura. A teraz okazuje się, że jednak miałem rację. Najwidoczniej jestem jeszcze lepszy niż przypuszczałem.

Teraz on z kolei uśmiechnął się ze zdawkową uprzejmością.

Moja ojczysta planeta jest bardzo podobna do waszej - podjął. - Z jednym wyjątkiem: jest dużo bardziej zatłoczona.

Po plecach rozeszły mi się nieprzyjemne mrówki.

- Zbadaliśmy waszą planetę i postanowiliśmy ją skolonizować. - Było to po prostu stwierdzenie faktu, bez cienia wahania czy wątpliwości.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

- I spodziewacie się, że wam w tym pomożę?

Odpowiedział mi mądrym, nieruchomym spojrzeniem.

- A czemu by nie?

- Chociażby dlatego, że istnieje coś takiego jak lojalność wobec własnego gatunku. Jeszcze kilka

pokoleń i nam też będzie za ciasno. Nie zmieścimy się razem na Ziemi.

- Och, to nie problem - odparł ze wzruszeniem ramion. - Dla nas starczy miejsca na bardzo długo. Rozmnażamy się dosyć wolno.

- A my nie powiedziałem z naciskiem. Cały czas miałem niejasne wrażenie, że ta rozmowa powinna się toczyć między nim a jakimś wielkim mężem stanu, nie mną.

- Pan mnie chyba nie zrozumiał - zaczął znowu cierpliwym tonem. - Was tutaj nie będzie. Nie ma żadnego powodu, dla którego mielibyśmy oszczędzić wasz gatunek. Po prostu wymrziecie i to wszystko.

- Zaraz, zaraz - wpadłem mu w słowo. - Ja wcale nie chcę, żebyśmy umierali.

Spojrzał na mnie jak na nieznośnego bachora, który uparcie odmawia położenia się spac.

- Dlaczego? - zapytał.

I tym mnie załatwił. To bardzo dobre pytanie, pod warunkiem, że zada się je w odpowiednim miejscu. Spróbujcie przedstawić sensowną argumentację na rzecz tego, by pozostawić ludzi przy życiu. Ja spróbowałem.

- Ludzkość przeszła niełatwą drogę - zacząłem.

- Za nasz rozwój musieliśmy nieraz płacić straszliwą cenę. Jeżeli teraz zabierze się nam przyszłość, na którą można z nadzieją oczekiwać, to znajdziemy się w położeniu kogoś, kto zapłacił bardzo dużo za coś, o czym nie ma najmniejszego pojęcia - co to jest i do czego służy.

Nic lepszego nie potrafiłem wymyśleć. Przytaczanie argumentów o sprawiedliwości, miłosierdziu i litości nie miało żadnego sensu. Nie miałby pojęcia, o czym mówię. I raczej nie wyglądało na to, żeby mógł się tego przedko nauczyć.

Nie czekałem długo na odpowiedź.

- A jeżeli nikt nie będzie wiedział o naszym istnieniu, my zaś stopniowo i niepostrzeżenie przejmujemy od was tę planetę, to kto będzie miał cierpieć z tego powodu, że ludzkość nie ma już przed sobą żadnej przyszłości? - Wstał nagle, podobnie jak poprzednim razem i powiedział lodowatym tonem: - Możemy, rzecz jasna, zrealizować nasz drugi plan i zniszczyć ludzkość bez żadnych negocjacji. Nie mamy w zwyczaju zadawać żadnej formy życia niepotrzebnych cierpień, ale możemy to zrobić, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jeżeli nie zgodzi się pan na współpracę z nami, to jest jasne, że prędzej czy później zostaniemy zdemaskowani. A wtedy nie będziemy już mieli żadnego wyboru.

Uśmiechnął się, ogłuszając mnie niemal siłą swego osobistego wdzięku.

- Zdaje sobie sprawę, że musi pan się nad tym zastanowić. Jeszcze tu wróć.

Już w drzwiach odwrócił się do mnie jeszcze raz.

- I proszę nie niepokoić więcej tej biednej, starej kobiecinki. Drzwi jej domu są tylko jednym z wielu połączeń, jakie utworzyliśmy. Ona nie ma pojęcia o naszym istnieniu, tylko czasem dziwi się, dlaczego nie działa jej zatrask. A my wcale nie musimy korzystać akurat z jej domu. Sam pan zresztą widzi...

I zniknął.

Otworzyłem drzwi. Margie, umalowana i promieniująca kobiecością, czekała w pogotowiu za biurkiem. Kiedy gość się nie pojawił, wstała i zaszła do mojego gabinetu.

- Gdzie on się podział? - zapytała ze zdumieniem.

- Otrząsnij się, dziewczyno - powiedziałem. - Jesteś tak rozmarzona, że nawet nie zauważyłaś, jak wychodził.

- Cos tu jest nie tak - mruknęła.

Miała rację. A ja miałem jak najbardziej realny, monstrualnych rozmiarów problem.

Co miałem robić? Mogłem zgłosić się do miejscowych władz i wyładować w zakładzie zamkniętym jako niepoczytalny. Mogłem zgłosić się do jakiegoś instytutu czy ośrodka badawczego i wyładować w zakładzie zamkniętym jako niepoczytalny. Mogłem zawiadomić FBI i wyładować w zakładzie zamkniętym jako niepoczytalny. Nie, ta linia rozumowania stawała się zdecydowanie zbyt monotonna.

Uczyniłem jedyną rzecz, która moim zdaniem mogła pomóc! Spisałem całą historię i wysłałem do mego ulubionego pisma science fiction. Prosiłem o pomoc i radę tam, gdzie mogłem z pewnością liczyć na szybką reakcję i, co najważniejsze, na zrozumienie.

Rękopis wrócił tak szybko, jakby był połączony z moim biurkiem niewidzialną, ciągnącą się przez cały kontynent gumową taśmą. Obejrzałem dokładnie, z dwóch stron, krótką odpowiedź redakcji uzasadniającą odrzucenie rękopisu, ale nigdzie nie mogłem znaleźć żadnych słów dodających otuchy i radzących, co robić. Ba, nie było tam nawet zachęty, żeby spróbować jeszcze raz.

Wtedy pierwszy raz w życiu przekonałem się, co to znaczy być samotnym - całkowicie, zupełnie samotnym.

Właściwie trudno było się dziwić. Mogłem sobie wyobrazić redaktora, odrzucającego z niesmakiem mój rękopis. „No tak, i znowu jakaś obca rasa chce podbić Ziemię. Gdybym to wydrukował, już jutro byłbym bez pracy”. Jak ten ksiądz, który zobaczywszy wypisane na ścianie świństwo mruknął tylko pod nosem: „I do tego z błędami”.

Przypomniała mi się bajka o chłopcu, który o jeden raz za dużo krzyknął: „Wilki! Wilki!” Byłem sam. Sam musiałem rozwiązać ten problem. Nie było wątpliwości, że miałem do wyboru dwa rozwiązania: pierwszym była natychmiastowa eks-terminacja. Rasa, która potrafi tak bezpośrednio przenosić się z jednego systemu planetarnego do drugiego, dysponuje z pewnością środkami, które pozwoliłyby jej tego dokonać. Drugim było wyćpienie, co prawda stopniowe, ale równie pewne. Gdybym odmówił współpracy, postawiłbym się w sytuacji siedziego, skazującego cały rodzaj ludzki na śmierć. Gdybym się zgodził, zostałbym arcy-zdrajcą, a skutki byłyby takie same.

Mijały dni, a ja cierpiałem męki niezdecydowania. Wreszcie, jak to się zwykle robi w takich sytuacjach, postanowiłem grać na zwłokę. Udaając, że zgadzam się z nimi współpracować, mogę odkryć sposób, w jaki można będzie ich pokonać.

Kiedy już to postanowiłem, moje myśli zaczęły w szalonej gonitwie analizować najróżniejsze możliwości. Gdybym został instruktorem uczącym ich,

Mark CLIFTON

Ur. 1906, zm. 1963. Amerykański autor i biznesmen. Zajmował się m.in. zestawianiem wielkiej liczby danych personalnych w poszukiwaniu prawdziwości i możliwości przewidywania dalszej kariery ludzi. Bez trudu odnajdźmy odbicie tych doświadczeń zawodowych w zamieszczonym tu opowiadaniu.

Clifton debiutował w roku 1952. Większość jego powieści i opowiadań uклада się w dwie serie: utwory o Superkomputerze Bossy i utwory połączone postacią Ralpha Kennedy'ego, przedstawiające z satyrycznym zacięciem rozbuchaną biurokrację federalną. Nagroda Hugo (1955) za powieść „They'd Rather be Right”. W Polsce przedstawiony dotychczas tylko jednym opowiadaniem w „Krokach w nieznanne”.



jak mają zachowywać się wśród ludzi, miałbym ich w garści. Wyposażyłbym ich w takie cechy i nauczył takich zachowań, które sprawiłyby, że ludzie zniszczyliby ich w oka mgnienia.

A ja znalazłem ludzi. Może to i nawet dobrze, że trafiło akurat na mnie.

Zadrżałem na myśl, że ta istota mogła spotkać kogoś o mniejszym ode mnie doświadczeniu. Najprawdopodobniej na Ziemi nie byłoby już ani jednego człowieka.

Tak, tak, ten stary i zużyty pomysł o bezimennym bohaterze ratującym całą ludzkość przed śmiertelnym niebezpieczeństwem może jeszcze znaleźć swoje odbicie w rzeczywistości.

Byłem gotów. Arkturianin mógł wracać. I wrócił.

Porządnie tym razem przestraszona Margie otrzymała płatny urlop, ja zaś opuściłem biuro w towarzystwie Einara Johnsona. Miał masę pieniędzy i nie widział nic złego w ich wydawaniu. Dla kogoś, kto potrafi przenieść się w dowolnej chwili do bankowego skarbcza, pieniądze naprawdę nie są żadnym problemem.

Oczami wyobraźni widziałem nieszczęsnych urzędników, tłumaczących się przed kontrolerami, ale to już nie był mój problem.

Zamknąłem za sobą drzwi biura i powiesiłem na nich wywieszke z informacją, że jestem chory i nie wiem, kiedy wrócę do pracy.

Zeszliśmy na parking, wsiedliśmy do mego samochodu i w tej samej chwili znalazłem się na zacienionym patio w Beverly Hills. Tak po prostu. Żadnych sensacji z utratą przytomności czy przewracaniem żołądka na lewą stronę. Nic z tych rzeczy. Po prostu tak: samochód – patio.

Chciałbym móc opisać Arkturian jako istoty o ohydnych, wijących się mackach i obrzydliwych paszczach, ale nie mogę. W ogóle nie mogę ich opisać, bo ich nie widziałem.

Widziałem natomiast około trzydziestu ludzi spacerujących po patio, pływających w basenie, wchodzących i wychodzących z domu. Miejsce było idealnie dobrane. Nieproszeni goście nie odwiedzają posiadłości w Beverly Hills.

Miejscowi przyzwyczaili się już na tyle do obecności całej chmury gwiazd, że przestali się właściwie czemukolwiek przyglądać albo dziwić, zaś ciekawscy turyści mogli co najwyżej dostrzec zakrecający podjazd, drzewa, trawę i może kawałek dachu. Jeśli mieli z tego choć odrobinę satysfakcji, to tym lepiej dla nich.

Jednak nawet gdyby rozeszła się wieść, że po posiadłości włóczy się gromada dziwacznych osobników, nikt by się tym nie zainteresował. Mieszkańcy takich posiadłości nie różnią się specjalnie od zbieraniny, którą można zobaczyć na ulicach Hollywood.

Tyle tylko, że ci akurat się różnili. Mogliby zrobić fortunę występując jako trupa naturalnej wielkości marionetek. Teraz wiedziałem, dlaczego pozbawiony życia Nordyk, którego dane mi było nie tak dawno spotkać, został uznany za tak doskonałego, by móc przebywać między ludźmi. W porównaniu z tą gromadą był tryskającym energią i pełnym czaru disc-jockeyem.

Tyle właśnie zobaczyłem. Ludzkie ciała wykonujące ludzkie ruchy bez choćby śladu ludzkich uczuć czy emocji. Zadanie wyglądało na trudniejsze, niż w pierwszej chwili przypuszczałem. Ale skoro uznali ten właśnie sposób za najwłaściwszy i najszybciej prowadzący do celu, to ich sprawa.

Ktoś ciekawski zasypałby ich dziesiątkami pytań – skąd mają ten dom, skąd wzięli ludzkie ciała,

gdzie nauczyli się mówić po angielsku – ale ja nie byłem ciekawski. Miałem ważniejsze sprawy na głowie. Skoro mieli i potrafili to wszystko, to znaczy, że byli do tego zdolni i już.

Nie będę się rozpisywał o tygodniach, które nastąpiły potem. Nie mam pojęcia, jak może wyglądać cywilizacja na ich ojczystej planecie. Cała pajecca sieć naukowej psychologii nie wystarczy, by ukazać choćby skrawek wnętrza człowieka. Podobnie jakiegokolwiek opisy ich cywilizacji nic by nam o nich nie powiedziały. Wiedzieć coś o człowieku a znać go to dwie zupełnie odrębne rzeczy.

Na przykład wszystkie te warunkujące nasze zachowanie reakcje mózgu, które nazywamy potocznie uczuciami, są im zupełnie nieznane. Ideały, takie jak prawda, honor, sprawiedliwość, doskonałość – także. Nie ma u nich nawet podziału na płcie, stąd też nie są w stanie zrozumieć, co to jest miłość. Ze wszystkich filmów i spektakli, które oglądali w telewizji rozumieli mniej, niż my z zachowania kolumny mrówek, maszerujących przez ścieżkę.

Czy próby opisu takiej cywilizacji mogą zakończyć się sukcesem? Człowiek nie może osiągnąć spełnienia nie marząc najpierw o czymś. Oni najwyraźniej mogli, bo przecież dotarli tutaj.

Kiedy wreszcie przekonałem się, że nie ma sensu i potrzeby kontaktowania ze sobą tych dwóch cywilizacji, odczułem przypływ wielkiej radości i ulgi. Moje zadanie stało się tym samym znacznie łatwiejsze. Wiedziałem, jak ich zniszczyć. I miałem podstawy przypuszczać, że nie będą potrafili uniknąć pułapki, którą na nich zastawię.

A nie będą potrafili właśnie dlatego, że mają ludzkie ciała. Może stworzyli je sobie z powietrza, ale w ich żyłach płynęła krew, czuli ból, zimno i gorąco, otrzymywali zwykłą porcję produkowanych przez gruczoły hormonów.

Otóż to, hormony. Dowiedzą się, co to emocje i uczucia. Byłem przecież mistrzem w manipulowaniu i jednym, i drugim. Marzeniem człowieka było osiągnięcie wielkich, nieśmiertelnych ideałów. Niemal cała literatura dotyczy w gruncie rzeczy właśnie tego tematu. Zawsze i wszędzie mówiło się i pisało o tym, jacy powinniśmy być, prawie nigdy i nigdzie o tym, jacy jesteśmy.

W ramach prowadzonej przeze mnie nauki zaaplikowałem im spory wybór arcydzieł światowej literatury, malarstwa, rzeźby, muzyki – tych galezi sztuki, w których najlepiej widać ciągłe dążenie do ideału. Nauczyłem ich, co to znaczy „marzyć”.

Wiedząc, co to jest i ulegając działaniu produkowanych bezustannie hormonów, nauczyli się czuć. Tym większym podziwem zacząłem obdarzać Einara, bo przecież wtedy, kiedy tak mnie oszłomił siłą swojej osobowości, jeszcze nie czuł.

Z marionetek stali się nowo narodzonymi dziećmi. Dziećmi obdarzonymi dorosłymi ciałami, ze wszystkimi konsekwencjami wynikającymi z tego faktu.

Chciałem uczuć – i miałem uczucia. Nie ograniczone żadnymi hamulcami, nie skrepowane żadnymi zakazami. Czasem, najzwyczajniej w świecie bałem się i musiałem korzystać z całej mojej wiedzy o manipulowaniu emocjami. Kiedy indziej znowu zachowywali się za bardzo po hollywoodzku, nawet jak na Hollywood. Starłem się utrzymać ich w granicach szeroko pojętych norm.

Jedno muszę im przyznać: uczyli się. I to szybko. Najpierw marionetki, potem dzieci, hałaśliwi chłopcy i dziewczęta, młodzież o zmiennych nastrojach i zachowaniu, którego nie można było

meżczyźni i kobiety. Metamorfoza dokonywała się na moich oczach.

Zrobiłem jeszcze więcej.

Uczyniłem z nich takich, jakimi chciał być każdy z nas: mądrych, szlachetnych, uczuciowych. Mój skromny IQ 145 stał się granicą, poniżej której była już tylko głupota. Najwspanialsze z marzeń o wielkości człowieka okazały się niczym wobec tego, co oni osiągnęli i co jeszcze mogli osiągnąć.

Realizacja mego planu odbywała się bez za-
kłóceń.

W pełni ukształtowani przypominali bogów. Wpajając nowe, wyrzucałem jednocześnie stare. Odkryłem, że mamy jednak z nimi coś wspólnego: podstawą ich działania była logika, ale wyniesiona na takie wyżyny, o których mnie nigdy się nawet nie śniło. Mimo to udało mi się znaleźć coś, co można było uznać za wspólny punkt odniesienia.

W pewnej chwili zrozumieli, że jeśli pozwolą, by w ich świadomości funkcjonowała ICH własna, obca motywacja, to zawsze towarzyszyć im będzie aura inności, stanowiąca zagrożenie dla realizacji ich celów. Zanepokoilem się, kiedy mi o tym powiedzieli, podejrzewając, że teraz z kolei oni próbują zastawić na mnie pułapkę. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że przecież nie nauczyłem ich fałszu i obłudy.

Uznawali za całkowicie logiczne i słuszne, że muszą mi się zupełnie podporządkować. Gdybym to ja znalazł się na ich planecie i starał się do nich upodobnić, również musiałbym robić wszystko, co by mi polecił tamtejszy instruktor. Zdawali sobie sprawę, że po prostu nie mają innego wyjścia.

Z początku nie widzieli nic dziwnego w tym, że pomagam im w zniszczeniu mego własnego gatunku. Według nich Arkturianie byli najlepiej przystosowani do tego, by przetrwać, więc tak właśnie powinno się stać. O ludziach nie można było tego powiedzieć, dlatego musieli zginąć.

Nauczyłem ich co to współczucie. I wreszcie, kiedy zaczęli dojrzywać jako ludzie i gdy ich chłodny intelekt został przytępiony przez ludzkie uczucia, zrozumieli, na czym polega mój dylemat.

Było w tym sporo ironii. Od ludzi nie mogłem oczekiwać zrozumienia. Najeźdźcy obdarzyli mnie zrozumieniem i współczuciem. Pojęli, że mój zdradziecki czyn miał na celu zyskanie jeszcze kilku lat dla ludzi.

Ale ich arkturiańska logika była jeszcze zbyt silna. Ronili wraz ze mną gorzkie łzy, lecz nie mogło być mowy o zmianie planu. Plan był ustalony, oni zaś stanowili jedynie zespół instrumentów niezbędnych dla jego sprawnego przeprowadzenia.

A jednak, wykorzystując ich współczucie, udało mi się go zmienić. A oto rozmowa, w której wyszło na jaw, że taka modyfikacja zaistniała.

Einar Johnson, który jako robiący największe postępy właściwie się ze mną nie rozstawał, powiedział do mnie pewnego dnia:

- Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy już ludźmi. Sam powiedziałeś, że tak jest, więc musi to być prawdą - dodał z uśmiechem. - Zaczynamy zdawać sobie sprawę, jak wielki i wspaniały jest człowiek. - Kiedy to mówił, promieniował powagą i dostojeństwem. - Ci, którzy pozostali na naszej planecie nie dysponując ani ludzkimi ciałami, ani ową równowagą między inteligencją a uczuciami, którą ty nazywasz duszą, nie będą w stanie docenić i zrozumieć ogromnego skoku, którego dokonaliśmy. Nigdy nie staniemy się tym, czym byliśmy, bo zbyt wiele przyszłoby nam utracić.

nię logiką. Muszą polegać na tym, co im przekażemy, o ile, rzecz jasna, nie wiązałoby się to z koniecznością zrezygnowania z planu, jaki mamy zrealizować. Poinformowaliśmy ich o wszystkim, czego się nauczyliśmy. We Wszechświecie jest dosyć miejsca i dla nas, i dla was.

Nie będzie migracji z naszej planety na waszą. Pozostaniemy wśród was, będziemy się rozmnażać i żyć tak godnie, jak nas tego nauczyłeś. Może kiedyś naszym udziałem stanie się ta wielkość, którą teraz możemy podziwiać u ludzi.

Pomożemy wam znaleźć wasze przeznaczenie wśród gwiazd, tak jak my je znaleźliśmy.

Schyliłem głowę i rozplakałem się. A jednak zwyciężyłem.

Minęły cztery miesiące. Wróciłem do siebie. Hallahan zostawił kierowców ich własnemu losowi i zszedł ze skrzyżowania, by powitać mnie pytaniem:

- Gdzie pan się podziewał?

- Chorowałem - odparłem.

- Widać to po panu. Niech pan na siebie uważa. Co... Co za dureń tam się wpakował! - popędził na swoje miejsce, dmuchając co sił w gwizdek.

Wszedłem po schodach na górę. Tak, zdecydowanie wymagają remontu. Cały czas wysyłałem Margie pieniądze, żeby płaciła za czynsz i telefon. Zdjąłem z drzwi wywieszkę i wszedłem do środka.

Poczekalnia miała ten typowy, zakurzony wygląd, jaki przybierają wszystkie pomieszczenia, w których od dawna nikogo nie było. Dozorca w ogóle nie otwierał okien, toteż powietrze było stęchłe i nieświeże. Z przyzwyczajenia oczekiwałem, że zobaczę Margie siedzącą za jej biurkiem, ale było to zupełnie nierealne. Jeżeli dziewczyna i tak dostaje pensję, a jednocześnie nie ma kompletnie nic do roboty, to jedynym miejscem, gdzie można ją na pewno spotkać, jest plaża.

Moje krzesło pokryte było warstwą kurzu, ale usiadłem na nim nie zadając sobie nawet trudu, by go zgarnąć. Ukryłem twarz w dłoniach i wpatrywałem się w ludzką duszę.

Wszystko zależało właśnie od tej umiejętności. Znałem ludzi. Znałem ich bardzo dobrze, kto wie, może nawet najlepiej ze wszystkich.

Zajrzałem w przeszłość i zobaczyłem, jak człowiek pali, krzyżuje i drze na strzepy to, co szlachetne, dobre i wspaniałe.

A przecież jedyna szansa ocalenia ludzkości leżała w tym, by udało mi się wpoić tym trzydziestu istotom właśnie to, co wspaniałe, dobre i szlachetne. By udało mi się przekonać ich, że wszyscy ludzie są właśnie tacy. Tylko wtedy mogliby uznać nas za równych sobie.

Zajrzałem w przyszłość i zobaczyłem, jak giną jeden po drugim. Nie dałem im żadnej możliwości obrony. Są całkowicie nie przygotowani na spotkanie z człowiekiem takim, jaki jest w istocie. Nie będą potrafili tego pojąć.

To bowiem, co człowiek najbardziej podziwia - dobro, szlachetność, piękno - jest jednocześnie tym, czego nie potrafi ścierpieć, gdy już to odnajdzie.

Są bezbronni, gdyż nie zdają sobie z tego sprawy. Zginą, pokonani wściekłością, zawiścią i żądzą niszczenia, tak bowiem zawsze reaguje człowiek, gdy stanie twarzą w twarz ze swoimi ideałami.

Chowam twarz w dłoni

Co ja zrobiłem?...

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

POMOCNIK DOMOWY

(Domáci pomocník)

Nikommu dziś nie jest lekko, każdy musi starać się osiągnąć jak najlepsze wyniki. Ja też. Gnam na pełnych obrotach od startu do mety. Czasami czuję się przemęczony, najchętniej rzuciłbym wszystko w diabły, ale później zaciskam zęby i wytrzymuję. Rozumiem, takie są czasy. Eksplozja racjonalistycznego myślenia w naszej świadomości, rewolucja naukowo-techniczna rozwija się w najlepsze, zbrojenia w kosmosie. Kiedy wczoraj wyglądałem przez okno, usłyszałem jak Kwasniczkowa, ta plotkarka z przeciwka, mówi, że ludzie już nie wiedzą, jaką jeszcze głupotę mają wymyślić. Dopóki miała pieczyki w głowie, wszystko było w porządku, a teraz podobno musi codziennie myć kolektory słoneczne, ponieważ osiada na nich smog. Nie jestem wrogiem postępu, skądże znowu, ostatecznie jestem jego dzieckiem. Kwasniczkowa ma rację, chwilami nie mamy czasu nawet się obejrzeć za siebie, zatrzymać na chwilę. Ale jest to i samousprawiedliwienie. Rzecz w tym, że tylko przebiegamy wzrokiem nagłówki: „Zamach na papieża!”, „Latający talerz wylądował u rzeźnika!”, „Masakra w Disneylandzie!” I tak dalej.

Dużo czytałem i studiowałem, bo kto tego obecnie nie robi, nie ma szans. Przede wszystkim chodziło mi jednak o to, by pomóc Zdenie.

– Czekasz na mnie? – zapytała, ledwo weszła do domu. Leżałem z twarzą przykrytą gazetą. Kiedy zdjęła ją ze mnie, zawołałem:

Pati!

Ciągle tylko czytasz. Słuchaj, co się stało w tym Disneylandzie?

Zdena rzuciła siatkę z zakupami na stół tak gwałtownie, że aż obrus się pozwił i nie zdejmując płaszcza usiadła na krześle.

– Jakiś głupek usiłował dokonać zamachu na roboty. Przede wszystkim chciał załatwić te, które przypominały mu ludzi. No i kilka osób oberwało...

– Dlaczego to zrobił?

– W dziewiętnastym wieku również rozbijano maszyny – odrzekłem, chociaż przypuszczałem, że kryje się za tym coś innego. Zdena nic nie powiedziała, zdjęła płaszcz i wyszła na korytarz. Stała chwilę przed lustrem, zapewne sprawdzając czy nie wygląda jak robot. Kiedy wróciła przede wszystkim wyjęła z siatki chleb i podsunęła mi go pod nos. Cudownie pachniał. Usłyszałem, jak jej w palcach zachrupała skórka. Nie mogłem się oprzeć i odgryzłem kawałek.

Ciepły chleb jest zawsze dobry, pomyślałem. Zdena zaczęła miłe zapowiadać, że w niedziele sama upiecze chleb. Później powymyślała wszystkie rzeczy z torebki i wsadziła je do lodówki.

Chleb był naprawdę dobry, Zdena dała mi jeszcze kawałek skórki. Ale ona sama mi się dzisiaj nie podobała. Sprawiała wrażenie, że ją coś gnębi. Sama przyznała, że jest zmęczona i musi sobie zrobić kawę, bo inaczej uśnie. Gdybym ja umiał przyrządzać kawę po turecku, na pewno bym ją dla niej zrobił. Zdena należała do kobiet, które są wiecznie aktywne, a jeżeli na chwilę spoczną, mają uczucie, że im coś uciekło. Długo nie mogłem się do tego

przyzwyczaić, ale starałem się ją zrozumieć. Pracowała w księgowości. Wiadomo, dwa razy w miesiącu nerwy, godziny nadliczbowe, praca w nocy. A ile funkcji społecznych! Działała chyba w trzech komisjach: w Towarzystwie Ochrony przed Herbicydami, w Stowarzyszeniu Osob Niepływających, w klubie „Akcja Brontosaurus” była nawet sekretarką. Poradziłem jej, że powinna mieć jeszcze jedno dziecko. Zdena się upiła. Pijana baba wygląda gorzej niż pijany chłop. Zaczęła na mnie krzyczeć, że kobietom nigdy nie było lekko – czego nie zrobiły same, tego nie miały. A w ogóle, gdy wstępował w nią bojowy duch...wówczas trochę się jej bałem. Dzisiaj niepokoiłem się raczej o nią.

– Coś cię dreczy?

– Wy, mężczyźni, ciągle tylko coś kombinujecie. Ide do dentysty – kobieta. Mam anginę, bada mnie kobieta. U rzeźnika za ładą – kobieta. Tramwaj prowadzi kobieta. Dobrze, że chociaż mamy ginekologa-mężczyznę.

– Czy nie przesadzasz? – powiedziałem. – Czy ja ci już nie wystarczam?

Coś musiało ją okropnie zirytować

– A w szkole również kobieta – dodała. – Co z tych dzieci wyrośnie! Histerycy i już!

– Uspokój się, uspokój – mówiłem łagodnie.

Zdena ugryzła kawałek chleba, lyknęła trochę kawy, a potem otarła rekawem łzy. W łzach jest kobietom do twarzy, pod tym względem są niezrównane.

– Jakież źle wieści?

– No wiesz, Pepik, to było do przewidzenia.

– Będzie miał czwórkę ze sprawowania?

– Ależ nie – zamilkła. Znałem te jej gierki. Trzymała mnie w napięciu, wiedziała, jaki jestem ciekawski. Potem wsunęła mi palce we włosy:

– Ty moja mądra główko, ty mój cybernecie, też powinieneś się już ostrzyć.

Zdenerwowała się Pepikiem, a mówiła o strzyżeniu. Może uspokajała ją brzczenie maszynki, bo zazwyczaj strzygła mnie, kiedy była zdenerwowana. Nie było mowy o fryzjerze, skądże znowu, ten by cię urządził, a zresztą to droga zabawa. Pewnego razu nawet zrobiła mi ondulacje. Potem mnie przytuliła i nawijała sobie loczki na palec. To był piękny wieczór.

– Bedzie miał dwójkę z historii – oznajmiał.
No, to jesteśmy w domu. Pepik chodził do piątej klasy. Wprawdzie nie był żadnym geniuszem, ale tabliczka mnożenia szła mu bez trudu, a i gramatykę też jakoś opowiadał. Ale do historii nie miał cierpliwości. Najpierw Zdena sądziła, że ma jakieś nieporozumienia z nauczycielką. Myliła się, chłopiec stanął w obronie nauczycielki. Posadziliśmy go między sobą i wzięliśmy w krzyżowy ogień pytań.

Pepika wyrwano dziś do odpowiedzi z historii. Wczoraj przerabialiśmy razem kulturę starożytnego Wschodu: Mezopotamia, Fenicja, Palestyna i Kreta. Odpytywałem Pepika w przerwach hokejowego meczu. Bardzo mu się to nie podobało, ale nad nami stała Zdena i za każdym razem, kiedy tylko mnie nie usłuchał, dawała mu w łeb. Ja go z zasady nie biłem, zresztą dzieci nie wolno bić po głowie. Całkiem dobrze wszystko umiał, nawet się dziwiłem, że potrafił tak długo przesiadywać nad mapą starożytnego Wschodu.

– Miał sobie poprawić stopień i proszę, co zrobił.

– Ale w jaki sposób miał sobie przyswoić taką masę informacji. Nawet mnie często boli od tego głowa.

Pepik wprawdzie zapamiętał, co to są gliniane tabliczki, ale że zapisywano na nich bajki, eposy i przysłowia, tego jakoś nie potrafił powiedzieć.

– Ale przecież ona wcale nie pytała go, co to są bajki, eposy i przysłowia, ale zupełnie o coś innego. No, jak widać pokpiłście wczoraj udrabianie lekcji.

– Poza eposami i przysłowiami umiał wszystko – upierałem się przy swoim.

Jeszcze przed chwilą bałem się o nią, ale zauważyłem, że Zdena znowu zerka na moje włosy.

– Interesujecie się hokejem, ale o tym, że Hetyci stworzyli silne imperium, które największy rozmach osiągnęło w połowie drugiego tysiąclecia, o tym nie wiecie. Pepik dostał dwójkę z minusem właśnie za to. Co sobie teraz o nas pomyśli Kwasniczowska?

– Na miłość boską, zapomniail, ile razy mam ci to tłumaczyć.

– Ale skład drużyny narodowej zna na pamięć.

– Czy w ogóle jest w stanie zrozumieć to, o czym jest mowa w podręczniku?

– No wiesz – obraziła się Zdena.

– Wybacz, niewłaściwie się wyraziłem, nie chciałem cie dotknąć – zaszczebiotałem jak wróbelek i ze skrucą poprosiłem ją o kawę. Kiedy robiła kawę dla siebie zawsze pamiętała i o mnie. Tym razem było inaczej. Krótko mówiąc – nie był to szczęśliwy dzień.

No więc, jak tam było w szkole? – zaatakowałem Pepika, gdy tylko się pojawił. Pepik zrzucił torbik z pleców na dywan, aż zadudniło. Zdena siedziała za stołem, ręce miała złożone na podolku. Pewnie zastanawiała się, czy chwycić za różgę czy nie. Pepik wyczuł atmosferę, powiedział grzecznie dzień dobry i od razu na progu mieszkania zdjął buty i założył kapcie. Ba, nawet podszedł do mamy i pocałował ją.

– Jaruszka powiedziała, że będę mógł sobie stopień poprawić.

– Która Jaruszka? A...wychowawczyni w waszej klasie. – Zdena chwyciła się za głowę. – A czego ty właściwie nie wiedziałeś? Tyle mi tego naopowiadała.

– Już nie pamiętam – szczerze odpowiedział chłopiec.

– Nie pamiętasz, czego nie umiałeś? – zapytała z wyrazem.

– A ty twierdziłaś, że Pepik jest zdolny – zwróciła się do mnie.

– Mamusi, co to jest bajka, epos i przysłowie? I kim był Bedřich Hrozný?

– Jak by ci to wyjaśnić...Przysłowia są mądrością narodów...A co to jest właściwie przysłowie? – spojrzała na mnie.

Milczałem uparcie.

– Kim był Bedřich Hrozný?

Napiętą ciszę przerwał na szczęście chłopiec.

– Mamusi, Jaruszka miała dzisiaj fantastyczną torbę...byli na niej Niebiescy Siuksowie, ta kapela, no wiesz?

– Niebiescy Siuksowie! Czemu sprawiasz mi tyle zmartwień, Pepiku? – powiedziała i wzięła chłopca na kolana. – Bedřich Hrozný to był przecież ten czeski uczyony, który rozszyfrował język Hetytów, no, czy to tak trudno sobie zapamiętać? Musisz mi obiecać, że będziesz się uczyć. Obiecujesz mi?

Pepik w milczeniu skinął głową, nic innego mu nie pozostawało. W ostatnim czasie zamykał się w ubikacji i czytał „Dikobraz”. Dowcipy pamiętał, ale o tym, że matematycy w Mezopotamii stworzyli system sześćdziesiąt, używany do mierzenia czasu i stopni w kole, nie wiedział.

Tym razem Pepik nie zamknął się w ubikacji, pokornie udał się do swego pokoju z podręcznikiem w ręku. Słyszałem, jak Zdena porządkuje mu rzeczy i wyciera mokra szmatą blat stołu. Potem usłyszałem jeszcze, jak trzasnęły drzwi i cienki, drżący głosik Pepika powtarzający, że Persowie przejęli wiedzę od najstarszych państw i że za ich pośrednictwem z jej osiągnięciami zaznajomiły się również narody żyjące nad Morzem Śródziemnym.

Kiedy Zdena wróciła do kuchni, zaczęła gotować kolację.

– Robię ją, żeby się uspokoić – odparła. – Myślałam, że dzisiaj ugotuję kaszę manną, ale zrobię wam kaszę jaglaną bez śliwek.

Tym nie mogła mnie zdenerwować. Wiem, że każda mama ma o swoim dziecku jak najlepszą opinię. Pepik wykułby i Fenicjan, ale co by z tego pozostało po tygodniu, nie miałem odwagi prorokować. Rację miała tylko pod tym względem, że wczoraj rzeczywiście więcej czasu poświęciliśmy hokejowi niż Fenicjanom. Hokej podbił nasze serca. Ależ to była walka!

– Wybacz – tłumaczyła mi po chwili – ale sprawy szkolne są pod twoją kontrolą, a ja mam tyle innych rzeczy na głowie, po prostu nie mam już na to wszystkie siły. – Potem wyjęła z pudełka kaszę jaglaną. Niestety, to nie były tylko pogrożki. Udawałem pokorę. Było mi jej żal, ale bez przesady. Zdena była zupełnie ładną kobietą i kiedy tak sobie o tym pomyślałem, doszedłem do wniosku, że nie trafilem źle. Przecież zawsze się starałem, żeby wszystko było jak najlepiej. Nastal już czas, by wyjaśnić sobie niektóre okoliczności.

– Czy mogę coś powiedzieć?

– Tylko niczego nie próbuj mi udowodnić. Interesują mnie tylko wyniki.

– Trudności związane z opanowaniem materiału należy oceniać z grubsza z dwóch punktów widzenia: ilości i jakości. Byłoby ciekawie zbadać ilość informacji, którą dzieci w piątej klasie muszą sobie przyswoić i to nie tylko na godzinach historii.

– Powiedz to nauczycielce.

– Jaruszcze? Ona na pewno o tym wie...Rozpatrując sprawę od strony jakości, bierze się pod uwagę właściwości materiału, które decydują o jego złożoności. Weźmy na przykład pod uwagę syntaktyczną uciążliwość tekstu albo trudności pojęciowe.

Zdena podniosła się znad kaszy jaglanej, westchnęła i nałala sobie kieliszek kubańskiego rumu. Muszę mówić powoli, żeby w ogóle chciała mnie słuchać.

– Istnieje wzór określania stopnia trudności opanowania podręcznikowego tekstu.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– Nie bój się, nie będę przedstawiać równań. Ostatecznie jednak, gdybyś mi pozwoliła ubliczyć, okazałoby się, że niektóre podręczniki są dla dzieci w piątej klasie za trudne, nie tylko dlatego, że występują w nich złożone kompleksy zdań, ale i z powodu nadmiernego obciążenia pojęciami.

Spojrzała na mnie nieprzytomnie, musiałem truchę podnieść głos. Najchętniej chwyciłbym ją i potrząsnął, na szczęście dotarło do niej.

DARIUSZ CHOJNACKI

GALERIA



Chcesz przez to powiedzieć, że te podręczniki nie są wa-
te złamanego szeląga. Po prostu nie chcesz się przyz-
nać, że oglądaliście hokej

- Wcale się nie wykręcam. Oglądaliśmy hokej, ale do
podręcznika także zaglądaliśmy

No to mi powiedz, dlaczego mu tego porządnie nie
wyjaśniłeś? Przyznaj się, że nie potrafisz! A może ci to
sprawia przykrość? No i po co cię mam, po co cię mam
rozbezczać się nagle.

- Nie było czego wyjaśniać - rozżłoszcilem się
jest wszystko, wszystko!

Wszystko? - zapytała przestraszona. - Zglupiałeś. Do
szczętu zglupiałeś. - Półem przełknęła slinę, trzepnęła
mnie w okolice karku i powiedziała - Idziemy!

Wyszliśmy na ulicę, padało. Zdena niosła
wprawdzie parasol, ale ja w tym pośpie-
chu zapomniałem wziąć czapkę. Z począt-
ku myślałem, że idziemy do księgarni z
podręcznikami, ale ona ciągnęła mnie dalej koło
sklepu z mięsem, materiałami pismennymi, kap-
luszami. Potem skreśliśmy w jakąś ciemną ulicę.
Było ciemno, światło odbite od szyb przebijało kro-
ple deszczu i kłuło mnie w oczy. Często najpierw
zaczynały mnie boleć oczy, a po jakimś czasie ból
ogarniał całą głowę. Miałem wrażenie, że tak bi-
dzie i dzisiaj. Szescie minut przed szóstą wpadliśmy
do sklepu „1001 drobiazgów”. Dama, która cero-
wała skarpetkę za ladą, popatrzyła na czas ze-
wstretłem. Nie mogła oderwać wzroku przede-
wszystkim ode mnie. Pewnie znowu jak
macja!

Zglupiał, oznajmiła Zdena - ni-
wac materiał z piętej klasy

Wstydziłem się, czułem się przed nimi, jakbym
był małym chłopcem. Ale się popisują, dwie na
jednego. Na szczęście wszedł nowy klient, me-
czyzna z dziurawym parasolem

Sprzedawczyni pochyliła się nade mną i wska-
zującym palcem strząsnęła mi z nosa krople desz-
czu. No, tego już za wiele! A ten facet z parasolem
zaczął mi obmacywać czoło. Miał żółte palce
smierdziały nikotyną

Jutro kończy nam się gwarancja, woleliśmy
więc przyjeżdż dzisiaj. Jest wyskalowany na szóstą
klase, a nie może opanować materiału z piątej

Sprzedawczyni wsadziła mi na głowę czapkę
z rebusem i pociła prąd

Wcale nie zglupiał - stwierdziła po chwili auto-
rytatywnie. - Czasami materiał z klasy niższej jest
trudniej opanować niż z klasy wyższej.

Przepraszam panią. Czy nie jest pani zadowo-
lona z tej głowy? Czy chce ją pani zwrócić? - ode-
zwał się gość z parasolem

Zamrugnęła oczami. Od lady ciągnął chłód, nie
było na niej obrusa

Widzisz - spojrzałem na Zdenę - że z głową
wszystko jest w porządku

Ale jaki to ma sens i po co mi taka głowa
zaczęła narzekać Zdena. Czy ktoś może mi to
wyjaśnić?

Półem złapała mnie ze złością za włosy i wsadzi-
ła z powrotem do siatki. Na facie w ogóle mi
zwróciła uwagę.

Wygrałem. Niechetynie zmiękałem właściciela
e Zdena można było zupełnie przyjąć mnie po-
tóż, że podróż w siatce niekiedy nie
mierzeli

PRZEZ WSZYSTKIE GNAM, SZ

Karl Michael Armer

Jeden

Kiedy wtoczyłem się do sali narad, byłem nabuzowany jak rzadko kiedy. Miałem to gdzieś. Powietrze było prze-sycone narkotykami do tego stopnia, że i tak poczułbym się od razu jak naczepny.

Chłopcy siedzieli rozwaleni w fotelach, gadając coś bez ładu i składu, jeden przez drugiego. Rzecz jasna, same głupoty. Ale na pokładzie tego statku kosmicznego to nic nowego: chrzani się tak już od pięciuset lat. Można się do tego przyzwyczaić.

Opadłem na swój fotel, kładąc nogi na karcianym sto-liku, i rozejrzałem się dokoła.

Admirał Jennings znowu udawał wilkołaka i wpatry-wał się we mnie, szczerząc zęby. - Grrrr - odezwał się groźnie.

- Wzajemnie - odparłem uprzejmie.

- Dum bam bam, dum bam bam - wydierał się admi-rał Carona, prztykając palcami tak gwałtownie, że czeka-łem tylko, kiedy z jego wypomadowanej czupryny zsuna mu się słuchawki.

Co za dureń z tego Chicano! Mogłby latami słuchać w kolko tej samej płyty. Ale kiedyś wreszcie cały ten bełkot - kiedy już przepełni mu uszy - wydostanie się z powro-tem na zewnątrz, owinie mu się wokół szyi i udusi. Dum bam bam, dum duś duś, dław się, jecz i krztuś. Finito, hihhi.

Spojrzałem na zawieszony nad nami ekran, ale gwiaz-dy były tak krzykliwie barwne, a cały wszechświat pul-sował i tętnił życiem tak bujnym, że zebrało mi się na wymioty. Pospiesznie odwróciłem się i wyrzygałem ad-mirałowi Caronie na mundur. Nawet tego nie zauwa-żył.

Bob Anderson, admirał admirałów, podniósł się z tru-dem, i spojrzał na nas oczami nabiegłymi krwią.

- Chłopcy - powiedział - mamy do spełnienia doniosłą misję.

- Do ataku! - wrzasnął admirał O'Duffy. - Cała burta! Bum, bum!

Anderson powiewał gniewnie kartką papieru. - To nie takie proste. Sek w tym: wiemy, że mamy zaatakować gdzieś w pobliżu jakąś planetę. Nie wiemy jednak, którą. Ten świstek nic nam nie wyjaśnia.

- Nic dziwnego - zachichotał admirał Neumaier, głów-ny radiooperator. - Meldunek ma już w końcu czterysta lat i trudno go odczytać.

- Możemy przecież wystać do nich prośbę o wyjaśnie-nie - zaproponowałem.

Oczywiście uznali to za kawał miesiąca. Wybuchom śmiechu i gwizdom nie było końca. Admirał O'Duffy aż się pokładał i wreszcie spadł pod stół, a admirał Jennings swoim zwyczajem zawył jak wilk.

No tak, chłopcy byli dziś w dobrym nastroju. Zreszta trzeba przyznać, że rzeczywiście miałem kretyński po-mysł: czekać potem kilkadziesiąt lat na odpowiedź z Ziemi!

- To jest właśnie odpowiednia postawa, ludzie - ucie-szył się admirał admirałów. - Zawsze na luzie, nawet wtedy, gdy niebezpieczeństwo już bliskie i patrzymy wrogowi w oczy, ngg, ngg. - Przełknął dwie pastylki, a potem jeszcze czerwoną. - Ngg. Na czym to stanął? Ach tak, wróg. No więc, tu w pobliżu znajdują się trzy zamieszkałe planety. Zaatakujemy tę najbliższą, w sys-temie słonecznym USNSC 3310-59a. Nasz komputer jest pewien w 60 procentach, że właśnie o tę planetę chodzi. Szesćdziesiąt procent to niedużo, ale przecież którą pla-netę musimy w końcu wybrać, prawda?



- Świetne słowa! - wykrzyknął spod stołu admirał O'Duffy.

- Zwalimy im niebo na dach! - wrzeszczał admirał Carona. - Dum, bam, bam, dum, bam, bam!

Dwa

Chłopcy z pogotowia alarmowego nie podnieśli nawet wzroku, kiedy planeta eksplodowała na ekranie.

- Znowu o sześć miliardów tego paskudztwa mniej - skomentował kapitan Crocciante, rzucając na plansze kostki do gry.

Trzy

Nazwa statku: ZABOJCA DOSKONAŁY

Port macierzysty: GUAM

Typ: Krążownik PGI (Krążownik zwiadowczy Planetarnej Grupy Inspekcyjnej)

Wymiary: długość 600 m, szerokość 70 m

Misja: Prewencyjna akcja obronna

Cel przeznaczenia: niezany

Cztery

Ludzie, nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak bardzo się nudzę. Znowu leżę sobie w 5 sektorze wypoczynko-wym i nie ma dosłownie nic do roboty. Zdażyłem prze-czytać już na tym statku wszystkie cholerne komiksy i obejrzeć wszystkie cholerne filmy, w ogóle zrobiłem już wszystko, co można na tym cholernym statku, ale teraz zabrakło mi już pomysłów, chłopcom też już nic nie

(Durch das Weltall, schubiduba)

WZESCHŚWIAT UBIDUBA



przychodzi do głowy, leżymy więc i gramy sobie wzajemnie na nerwach.

Co za cholerna nuda, NUDA wypisana samymi wielkimi literami!

No cóż, cały ten projekt był już od samego początku jedną wielką bzdurą, niech to diabli! Wygraliśmy właśnie ważną wojnę północno-południową, co zrodziło sporą dawkę dumy narodowej i nadmierną chęć do wojaczki. I wtedy rząd pomyślał sobie: skoro podbiliśmy całą Ziemię, to teraz kolej na wzeschświat.

I w ten oto sposób wyruszyliśmy w kosmos: ZABÓJCA DOKONAŁY i jego bliźniaczy statek TYRANNOSAURUS REX oraz kilka mniejszych niszczycieli klasy PIRANIA. Otrzymaliśmy zadanie: „rozszerzyć i zabezpieczyć strefę wpływów Ziemi”, co w praktyce oznaczało po prostu: „przejąć wszystkie planety bogate w surowce i wysadzić w powietrze wszystko, co mogłoby stanowić dla nas zagrożenie!”

Brzmiało niezłe, ale realizacja polecenia okazała się totalną plajtą. Relatywne zwalnianie upływu czasu przy naszym locie z prędkością światła sprawiło, że rozdzieliliśmy się całkowicie. Ziemia i ZABÓJCA DOSKONAŁY. Jesteśmy od piętnastu lat w drodze, a na Ziemi upłynęło w tym czasie około sześciuset lat. Oczywiście trudno w takim przypadku mówić o wspólnej bazie. Całą łączność diabli wzięli. I to gruntownie.

Pieć

Papierowy gołąbek przeleciał tuż obok mojej głowy i wylądował z gracją trochę dalej, na korytarzu.

Piękna Rita wystawiła głowę z centralki radiowej i zawołała: – Dwadzieścia osiem metrów! Nawet niezłe, panie admirałe!

Z wewnątrz dobiegł nas okrzyk triumfu i Neumaier wybiegł na korytarz, aby przekonać się samemu, jaki był dobry.

– Super! – zawołał. – Cześć, doktorku!

Potrząsnąłem z dezaprobatą głową.

– Ładnie to, tak się obchodzić z meldunkami?

Wykonał pogardliwy gest. – Człowieku, od chwili naszego startu upłynęło na Ziemi pięćset pięćdziesiąt lat. Oni mówią już tam inaczej. I zdaje się, że myślą też inaczej. Dlatego wyrzucam wszystkie meldunki radiowe, przecież i tak nie rozumiem tego gówna.

– A rozkazy?! Skąd mamy wiedzieć, co robić?

Uśmiechnął się lekceważąco. – I tak tego nie wiemy. A może ty się orientujesz, co my tu właściwie robimy?

Sześć

Okay, to znowu my, moja nuda i ja sam. Nadal w 5 sektorze wypoczynkowym.

– Jak to rok mamy teraz na Ziemi? – pytam swojego sąsiada.

Kapitan Crocciante włącza swój hologramowy peep-show i przez ciemne jak noc okulary słoneczne przesyła mi oleiste spojrzenie krwawego mafioso.

– 3600 – mówi. – Albo 2600. Zresztą co za różnica. To przecież tylko cyfry.

Wódz M'Boto (kapitan Ross) ożywia się. – Mam dla was coś nowego, chłopcy – oznajmia i rozbawiony potrząsa swoją afro-grzywą.

– No, to opowiadaj, czarnuchu! Czyżby Jennings i kapitan Speckschwarte znowu się pobili?

– Coś o wiele lepszego! Admirał O'Duffy opuścił nas.

Śmieje się, patrząc na nasze miny: – Spotykał go przy służbie powietrznej. Widzę, że nie ma na sobie skafandra, pytam go więc: Co tu robisz? – Przecież widzisz, odpowiada, ide do ubikacji. To powiedziawszy, zamyka za sobą drzwi służby i katapultuluje się w kosmos. Niezłe odejście, co?

– Hej, ale numer!

– Niech żyje O'Duffy!

I tak to wygląda. Każdy z nas to pomylenieć. Nie jesteśmy na statku kosmicznym prowadzonym zgodnie z dyscypliną wojskową, lecz stanowimy zgraję wariatów, którzy uzyskali stopnie wojskowe, i to naturalnie najwyższe. Podstawą do awansów jest czas ziemski, po dwóch latach spędzonych na pokładzie mieliśmy już więc za sobą tyle lat ziemskiej służby, że byliśmy wszyscy w randze admirała. Przynajmniej oficerowie. Reszta otrzymała awans na kapitanów.

Oczywiście ucierpiał na tym autorytet. Nie było już przecież przełożonych. Tylko 300 admirałów i 700 kapitanów. No tak, a poza tym nie mieliśmy właściwie zielonego pojęcia, jakie jest nasze zadanie. I ten lot, ciągnący się w nieskończoność. I ta cała masa pastylek na pokładzie. Tak oto dlaczego z upływem czasu wszystko się rozpadło.

Obecnie jesteśmy już tylko zgrają alkoholików z olbrzymim zapasem głowic bojowych do niszczenia planet i nie wiemy, o co tu właściwie chodzi.

Nieraz jest całkiem wesoło. Gdyby tylko nie ta cholerna nuda!

Chyba znowu muszę włączyć moje stare, dobre kino mózgowe. Sięgam do pojemniczka i wyciągam kilka błe-



DARIUSZ CHOJNACKI

GAL



kitnych pastylek. Ngg ngg, ngg. Zobaczmy, jaką niespodziankę przygotowują mi dziś moje drobne, szare komórki.

Siedem

- Bacność! - krzyknął sierżant Schultze, zgarniając swoje kubki na kostki. Spoglądając surowo spod stalowego hełmu, wyprzeżył się regulaminowo i wsunął kciuki za swój szeroki pas wojskowy.

- Dziękuję, proszę sobie nie przeszkadzać - powiedział cicho hrabia von Adelstein. Utykając, wszedł do centrali. Jego buty były nieskazitelnie czyste, jak zwykle zresztą. Na dłoniach miał rękawiczki, a w prawej ręce trzymał szpicrutę, którą uderzał niedbale o banki danych.

- Dziękuję, Schultze.

- Tak jest!

Nagrodziliśmy ich brawami, gdyż dobrze odegrali swoje przedstawienie. A na pokładzie naszego statku każda odmiana dawała powód do radości.

Schultze to właściwie kapitan Masterson, a hrabia von Adelstein - admirał de Leary, nasz Pierwszy Oficer. Ostatnio takie maskarady zdarzały się u nas coraz częściej. Superman, Mściciel w Masce, Hegar Groźny, Luke Skywalker i, i, i. W końcu trzeba było się jakoś odróżniać na statku, którego załoga składała się tylko z admirałów i kapitanów.

- Dobrze, że pan przyszedł - powiedział do Adelsteina Humphrey Bogart.

Siedział przed monitorem dziobowym z podniesionym kołnierzem płaszcza i kapeluszem ściągniętym na czoło. W kąciu ust tkwił wygasły papieros.

- Z przodu widać jeszcze jedną pomarańczę, którą możemy obrać.

Adelstein obserwował na ekranie obcą planetę. Oko skryte pod monoklem wydawało się olbrzymie i straszliwie zniekształcone.

- Z pewnością nieprzyjaciół - skomentował zwięźle.

- Niewątpliwie.

- Nie wolno nam ryzykować.

- Jasne.

- Wyeliminujemy tych drani.

- Te szczury! - poprawił Schultze.

- Bogey, powiadomić strzelca.

Humphrey Bogart (admirał Kosinsky) wyciągnął z płaszcza swoje walkie-talkie i wymamrotał odpowiednie rozkazy.

Osiem

- Czy pamiętasz - zapytał Frisco Freak, pierwszy strzelec, Denisa, drugiego strzelca, głaszcząc przy tym delikatnie komputer celowniczy wyrzutni torpedowej - czy pamiętasz, jak dawniej astronomowie łamali sobie głowy nad sposobem powstawania Novej? Nie przypuszczali wtedy nawet, że wystarczy po prostu przycisnąć ten czerwony guziczek.

Dziewięć

Kiedy doktor Nightmare wrócił z laboratorium, był spryskany od stóp do głów zieloną krwią.

- Ciekawy gatunek - powiedział, oddychając z ulgą. - Wytrzymał dwanaście tysięcy volt. Również przy wiwisekacji można było stwierdzić zadziwiającą tolerancję na ból.

Umył ręce i zapisał coś w małym notatniku. - Na Ziemi stanie się to bestsellerem - powiedział rozmarzony. - „Test na zniszczenie istot pozaziemskich. Studium porównawcze fizjologii mieszkańców kosmosu. Pierwsze wyniki badań nad egzobiologią niższych ras obcych - w opracowaniu doktora Franka X. Arnolda”. No, jak to brzmi?

- Świetnie, świetnie - odparłem machinalnie, przyglądając się siostrze Mercy, zmysłowej pielęgniarce operacyjnej doktora Nightmare'a, która wkładała właśnie do pojemnika na śmieci plastikową, pomazaną krwią torebkę.

- Miałbym zapewnioną sławę naukową - doktor Nightmare wpatrywał się w dal, bujając znowu w obłokach. - A jeżeli chodzi o pieniądze: zapiski z moich... ee... eksperymentów mogłbym przecież sprzedać - kasety wideo, filmy, albumy, programy dla telewizji kablowej. „Is-

toty pozaziemskie na stole operacyjnym” odcinek 12. I to wszystko w programie Rexa White a „Godzina gwałtu” na kanale 33. Jestem przekonany, że uzyskałbym rekordowy stopień oglądalności.

Szczury! wrzasnął przechodzący obok Schultze

- Może chciałby pan obejrzeć najnowszą kasę? - zapytał Nightmare. - Pan jako naukowiec...

- Nie, dziękuję, dopiero co jadłem. Mój żołądek...

- Słabe nerwy, co? No cóż, nie to nie. Nie wie pan przypadkiem, czy nie zamierzamy skierować się znowu na jakąś planetę i zabrać na pokład kilka osobników? Moją zapas osobników doświadczalnych zaczyna się kończyć.

- Nie, nie będziemy już zabierać na statek żadnych istot pozaziemskich.

Doktor Nightmare wykrzywił twarz w intelektualnym uśmiechu. - Trudno, w takim razie będę musiał zmontować sobie z tych części, jakie mam, kogoś nowego.

Dziesięć

Widoczna na ekranie istota pozaziemska skręcała się z bólu, wydając jakieś piskliwe, niezrozumiałe dźwięki.

- A więc tak wyglądają - zainteresował się Frisco Freak. - Ale dzikusy!

- Jeszcze trochę i sfajda się ze strachu - dodał Denis.

Ekran wypełniły płomienie i kłęby dymu. Na drugim planie biegła jakaś płonąca postać. Głos obcego stał się jeszcze bardziej przeraźliwy, nagły, podniecony.

- Te obce rasy nie mają w ogóle żadnego stylu! - powiedział z odrazą w głosie hrabia von Adelstein. - Ofermy! FF, proszę z tym skończyć!

- Jasne! - odparł Frisco Freak. Spojrzał przyjaźnie na skomlącą istotę pozaziemską i oznajmił: - No cóż, chłopcze, na to nie ma rady. Jeszcze kwadrans i będziesz martwy. To właśnie jest wojna, dziecińo.

Jedenaście

JA ZWARIOWAŁEM. TY ZWARIOWAŁEŚ. ON ZWARIOWAŁ. ONA ZWARIOWAŁA. ONO ZWARIOWAŁO. MY ZWARIOWALIŚMY. WY ZWARIOWALIŚCIE. ONI ZWARIOWALI.

NIEZNANY ŻOŁNIERZ

(Epigraf na grodzi wewnętrznej między pokładem C a centralą nawigacyjną).

Dwanaście

- Co to ma znaczyć? - grzmiał Bob Anderson, admirał admirałów. - Nie może pan zmienić kursu?!

- I to już od paru lat - odparł Bogey, trzymając niedbale papierosa w kąciu ust.

- Co takiego? Od paru lat? W takim razie, kto prowadzi ten statek?

- Pilot automatyczny.

- Pilot automatyczny?

- Tak, pilot automatyczny.

- A dokąd to prowadzi nas ten kochany pilot automatyczny?

- Nie wiem. Astronomowie śmieją się tylko, kiedy ich o to pytam.

- W takim razie, ngg, ngg, niech pan natychmiast wyłączy tego cholernego pilota automatycznego!

Karl Michael ARMER

Urodzony w roku 1950, pisze opowiadania SF od roku 1977.

Ten młody autor znalazł swój własny głos i jest obok

Czechów i kilku autorów polskich najlepszym dowodem żywotności fantastyki europejskiej, odmiennej w wyrazie zarówno od amerykańskiej, jak i od brytyjskiej. Opowiadanie „Przez wszechświat gnam, szubiduba” - utrzymane w tonacji historycznej wesołości - nasuwa skojarzenia z brawurowym opowiadaniem Neffa o „Największym szajbusie w dziejach swangu”.

W innym świetnym opowiadaniu tego autora „To nie trzęsienie ziemi...” („Fantastyka” 11/1986) na str. 12-14 nastąpiło przez niedopatrzenie redakcji technicznej i korekty przedstawienie dwóch fragmentów tekstu za cō Autora i

Czytelników przepraszamy.

- Nie mogę. Jest zabezpieczony przed wszelką manipulacją.
 - Do diabła, nie potrafi pan się obchodzić z automatyką?
 Bogey wyciągnął spod płaszcza niewielki pistolet i podsunął go Andersonowi pod nos. - Potrafię obchodzić się z automatem, i to jak! - oznajmił ze stoickim spokojem.
 Admiral Anderson przełknął ślinę. - Tak - powiedział.
 - No tak. Cóż, to i tak nie ma większego znaczenia. Kiedyś wydostaniemy się z tego, przyjdzie taki dzień.

Trzynaście

- Pokój ci, bracie - powiedział Frisco Freak, rzucając się na fotel.
 - Hej - odparł Dennis.
 - Czy to ta planeta? - Frisco Freak zaczął przygotowywać wyrzutnię do odpalenia.
 - Tak. Wielki obszar wody z ośmioma małymi kontynentami wyspiarskimi.
 Frisco Freak spoglądał na monitor zamglonymi oczyma. Wyglądało tak, jakby się w coś wsłuchiwał. - Ta planeta ma ładne brzmienie - powiedział w końcu. - Hej, Dennis, co byś powiedział na niewielkie zawody strzeleckie? Ty wezmiesz wyspy na północy, ja - na południu.
 - Bardzo chętnie. - Dennis był dziś w dobrym humorze. Wymachiwał nogami odzianymi w tenisówki i wystukiwał rytm starych przebojów, rozbrzmiewających właśnie z głośników pokładowych.
 Frisco Freak ustawił optyczny wskaźnik współrzędnych celu i dwukrotnie uderzył pięścią w spust wyrzutnika bombowego.
 Dennis uruchomił swój wyrzutnik, zadając cios kaniem dłoni. - Hu - ah.
 Kilka minut później widoczna w celowniku planeta rozbiła się potężnym słupem ognia.
 - Jestem bogiem ognia piekielnych! - pisał Frisco Freak.
 Zapłonęła druga błyskawica.
 - Ha, chybiłeś, Dennis!
 - Bo za bardzo wsłuchiwałem się w muzykę, człowieku. Czy słyszysz ten bas? Człowieku, to klasa! Ale następnym razem trafie. Widzisz? Nie mówiłem? Wum!
 - Masz złote ręce, Dennis!
 - Taaak, to się nazywa moc, człowieku! Możesz sobie wyobrazić tę falę, która teraz zalewa wszystko w dole? Człowieku, mógłbyś opłynąć na niej całą planetę!
 - Cicho! To „Doomsday Surfers”! Ze swoim najnowszym przebojem „Dzień gniewu”, szubiduba!
 - Ha, znowu poszło kilka milionów! Śmiało, dalej, dalej...

Czternaście

- I oto rozpoczynamy znowu nasz koncert życzeń „Muzyka w służbie powietrznej” - sepleniał kapitan Beefheart do mikrofonu. - Na początek piosenka z łezką dla admirała Andersona: „Przez wszechświat”
 Potknąłem się o stos śmieci i w ostatniej chwili podparłem o ścianę korytarza. Zakląłem siarczyście. Doszło już do tego, że rozrzucają śmieci gdzie popadnie! W niektórych miejscach brodziło się w nich po kolana. A część pokładów śmierdziała jak chlew.
 Oświetlenie w tym segmencie korytarza nie działało. W półmroku odbijał od ściany napis wykonany czerwoną, fosforyzującą farbą:

*Nadejdzie dzień, że ZJEM
 ten statek kawałek po kawałku!
 DOKTOR SZCZUR*

- Ma rację! Już dawno nie było lepszego pomysłu!
 - Ten statek to Latający Holender.
 - Tak, ale niebezpieczny.
 I szalony. Hej, jak ci się to podoba: Szalony Holender?
 To Statler i Waldorf, nasi dwaj astronomowie, którzy najczęściej przesiadują w swojej kopule obserwacyjnej i twierdzą, że właśnie oni są najnormalniejszymi ludźmi na pokładzie. Zanim jednak zdołałem kopnąć ich w tyłek, zniknęli za najbliższym załomem korytarza.
 Zatrzymałem się przed drzwiami z napisem „Dr Dr Jan Jacoby, Psychochemik”. Potrzebna mi była dłuższa chwila, zanim uświadomiłem sobie, że Dr Dr Jan Jacoby

to właśnie ja. W tym napisie na drzwiach było coś transcendentalnego. Była to informacja z innego świata.
 Otworzyłem drzwi i wkroczyłem do laboratorium. Hm, tu też było kiedyś o wiele czystiej. W każdym kącie brudy i KURZ NA MOICH PROBÓWKACH! Ten widok był dla mnie szokiem. Stałem się nagle zupełnie normalny. Pot wystąpił mi na czoło. A więc i mnie dopadł horror rzeczywistości! Niech to diabli, niech to diabli!
 Ziemia rozstępowała się już przede mną, ale na szczęście zjawił się właśnie admirał Prokop, drugi oficer, a właściwie wparował na swoich niebieskich wrotkach.
 - Doktorze, musi pan nam pomóc - dyszał, wachlując się reklamowym prospektem lotnictwa marynarki. - Kończą się nam już pastylki! Chłopcy stają się znowu normalni, nie wytrzymują tego! Niech pan przygotuje jak najszybciej kilka nowych, zielonych, żółtych, czarnych, wszystko jedno zresztą - jakich! Byle szybko! Inaczej nie wytrzymamy tego dłużej!
 Nie musiał mi tego powtarzać po raz drugi

Piętnaście

Moja nowa mieszkanka okazała się wręcz rewelacyjna. Wszyscy byliśmy po niej jeszcze bardziej oszołomieni niż zwykle. Na statku zapanował całkowity rozgardiasz. Nic dziwnego, że raptiem zgasło światło.
 - Do diabła! A to CO ZNOWU?
 - To światło...! No tak, nie zawsze działa.
 (Ogólna wrzawa).
 - Co ty mówisz?
 - Powiedziałem, że mamy przed sobą jakąś zamieszkałą planetę. Widzę ją na detektorze!
 - Jak wygląda?
 - Skąd mogę wiedzieć? Ekran diabli wzięli. Mam tu tylko wskazania masy.
 - No, to trudno. Załatw ją!
 - Z przyjemnością. No, przesyłka odpalona! Z najlepszymi pozdrowieniami od „Zabójcy doskonałego”.
 - Wspaniale to zrobiłeś, kochany Dennis!
 - BACZNOŚĆ!
 - Stul głowę, Schultze!
 - Czy to pan, admirał Jennings?
 - Tak.
 - To dla pana.
 - Au, aa! Ty tchórzliwy bydlaku, tak po ciemku?! Czekaj no, zaraz cię wysłę do doktora Nightmarea!
 (Potworny zgiełk i okrzyki bólu).
 - Dum bam bam, dum bam bam.
 Ponownie zabłysło światło. Kapitan Speckschwarte trzymał admirała Jenningsa w żelaznym uścisku, teraz zaś zastygł w bezruchu, zupełnie jak na zdjęciu błyskowym. Jego uśmiech był równie szeroki, co fałszywy.
 - Speckschwarte, ty sukinyśnu... - dyszał Jennings.
 - CZŁOWIEKU, TO ZIEMIA!
 - Co takiego?
 - Zaatakowaliśmy Ziemię! - wrzasnął Dennis.
 - Niemożliwe! - mruknął admirał admirałow. - Ziemię? Jesteś tego pewien?
 - Automatyczny pilot - wycedził Bogey. - Kurs: z powrotem na Ziemię.
 Wzrok wszystkich skierował się na ekran, na błękitną planetę z białymi potaciami chmur.
 A potem Ziemia przekształciła się w Słońce.
 Ekran migał i błyszczał.
 - No i proszę, oto ginie nasza matka Ziemia - odezwał się Frisco Freak. Odchylił głowę daleko w tył i roześmiał się na całe gardło.

Nie bardzo wiem, jak to się stało, ale nagle wszyscy wybuchli śmiechem.
 - Coś takiego, Ziemia! - rechotał Dennis. - Pyk! Wystarczyło, że dotknąłem palcem!
 - Wniosek z tego taki, aby zabójcy nie dawać nigdy biletu powrotnego. - Nawet Bogey podzielał ogólną radość.
 - Ludzie - zawołał admirał Anderson - od dzisiaj należy do nas cały wszechświat. Usunęliśmy już z naszej drogi wszystko, co mogłoby stanąć nam na zawadzie!
 To oświadczenie uznaliśmy za niesłychanie dowcipne. Tak dowcipne, że pialismy z zachwyty, nie mogąc się uspokoić przez dłuższy czas.

Doprawdy, była to piekielna radość.

To tyle.

Przełożył Mieczysław Dutkiewicz

I Ziemia. - I oto tłum przeniesiony zostaje na „Eizdgin”, gdzie ziemiorycy połączywszy trzy pokłady stworzyli las niebiosieźnych sosen i królewskich dębów pod lazurowym niebem.

Niech się stanie materia i energia bez końca rzekliśmy dnia trzeciego mówisz i czujesz moc przepływającą przez twe ciało, gdy siadasz okrakiem na obniżonym trzonie pochodni, gdy sam stajesz się pochodnią, na której jedziesz I oto jest materia i energia wiecznotrwała.

A dnia czwartego udaliśmy się na odpoczynek mówisz dryfując w próżni - I na kontemplację tego, czegoś sami nie stworzyli. Stwierdziliśmy że jest to pozbawione życia oraz znaczenia i że jest bez nadziei nie doskonale

Dnia piątego zas - rzecze D'mahl, a ty widzisz go stojącego w czerni, odzianego w strój z tysięcy światel - porzucimy nasze dziecinstwo, bogi i demony, planety i słońca, winy i skruchy.

D'mahl stoi przed ogromnym drgającym ekranem, patrząc z góry na trawę i las pokładu rolnego.

- A dnia szóstego, czyż nie powiemy? Niech się stanie życie? I czyż nie stanie się życie?

Niedzwiedzie, krowy, jednorożce, konie, psy, lwy, zwały, czerwone aksaminne stworzenia o wyglądzie kangurów, hipopotamy, słonie, tygrysy, bawoły, myszy kolibry, myszy, zające, gęsi, zebry, kozy, małpy, skrzydlate smoki, tapiry, orły gnają na leb na szyję, łądem i powietrzem, z drgającego ekranu, aby wypełnić swoją muzyką lasy i pastwiska.

Jestes D'mahlem, czujesz, jak moc pochodni przenika twoje ciało, siejesz błyski z opuszków palców, stoisz w samym centrum Karawany, skąpany w świetle, zyciu i ruchu. Mówisz

A dn a siódmego, czyż nie powiemy? Obysmy byli płodni i rozmnażali się i zapelniali martwe, nie-

skonczone obszary próżni stawkami zyciem i znaczeniem?

I rozpościerasz ramiona, a wokół ciebie ekspanduje roj stawkow-pochodni i Karawana rozkwita w olbrzymią mandalę, wypełniając sobą czern otchłani, niezmierzoną, otwierającą się w nieskończoność, wieczną.

- I czyż nie będzie to dzień wieczny?

KONIEC

Norman Spinrad

Jeździec na pochodni

(*Riding the Torch*)

przełożyła Jolanta Kozak

Norman Spinrad należy do tego pokolenia pisarzy SF, którzy stojąc na barkach takich twórców gatunku jak Asimov czy Clarke postugiwali się konwencją fantastyczną dla realizacji swoich bardzo różnorodnych zamierzeń pisarskich (B.W. Aldiss, U. Le Guin, G. Wolfe). Tutaj Spinrad daje swoją, psychodeliczną wersję poszukiwania ostatecznej prawdy poprzez piętzenie doznań estetycznych, osadzoną w ulubionej przez niego atmosferze schyłkowości. Mikropowieść „Jeździec na pochodni” została nagrodzona Jupiterem w roku 1975. Opowiadanie Spinrada „Anioły R” drukowaliśmy w „Fantastyce” nr 8/37.

czyby chmury ognia nuklearnego, wysoki na wiele lat świetlnych, sklebiony, nieogarniony - statyczny, wieczny.

- Gdyż teraz stałem się Panem Nieprzyjaciół. Niszczycielem Światów! Przypatrzenie się memu dziełu, smiertelni, i pograżacie się w rozpacz!

I widział, jak Jofe D'mahl przelatuje z szalupy kosmicznej na podest u wejścia „Beli 37”. Widzisz, jak wyglądała się z tuby windy na mostek pokładu statku. Ty sam jesteś Jofe D'mahlem, patrzącym za siebie ze zeplexi w stronę Karawanę kregu diamentowej swallosci za łeczową gaza błony wodorowej. Na swoich oczach krag kurczy się powoli w sw. ethy punkcik, w jeszcze jedną abstrakcyjną gwiazdę zagubioną w czarnych bezmiarach próżni bez granic.

- Obowiązujące, co? - mówi Haris Bandoora, wstępując czesciowo w twoje pole widzenia. - Sio ilionow gwiazd, planet zapewne tyle samo, i ta jedna jedyna galaktyka - okrucich materii pływający w nieskończonej nicości. Niedługo byliśmy drobinami nic nie znaczącej anomalii zwanej zyciem, zanęyszczonej pylek kurzu okrażający drobinkę zagubioną w wiecznej próżni. Teraz nawet tym z nie jesteśmy.

- Jesteśmy liczącym się elementem - mówisz ty.

- Gdybyś wiedział...

- Wiedział - co?

- Uściszałem wezwanie, Haris - Raj Doru, z ogniem w przenikliwych piwnych oczach, wyłonił się na ostek i stanął u boku Bandoory.

Stoisz w pecherzu próżniowym na podescie u wejścia „Beli-37”, z Harisem Bandoorą i Rajem Doru. Wasze pole widzenia obejmuje tylko malenki statek, abstrakcyjne gwiazdy, dwóch mężczyzn i nieskończoność nic. Na widok przeraziwej czelusi odczuwasz zawrót głowy i młodość.

Doru rozpościera ramiona, włącza polaryzator grawitacji i wyskakuje w czerni próżni.

Co on robi? - krzyczysz.

Sywi się próżnią - mówi Bandoora - Odpowiada na wezwanie. Oddali się tak, żeby stracić statek z zyciu i pozostanie tam przez jeden standardowy dzień.

- Co on tam będzie robił? - pytasz cicho, patrząc jak Doru ninknie w wiecznej nocy.

- Cokolwiek zdarza się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią.

- Dlaczego wy to robicie?

- Każdy ma własny powód, D'mahl. Wezwanie ma wiele głosów. Wkrótce sam je usłyszysz, we własnym języku.

Stoisz na mostku statku zwiadowczego, patrząc jak Haris Bandoora znika w straszliwych oceanicznych bezmiarach.

Czy słyszysz wezwanie, Jofe D'mahl? - pyta cichy głos Areth Lorenzi, nestorki próżniotajów, stojącej teraz obok ciebie na podobieństwo ucielesnionej zjawy.

- Nie jestem pewien, co słyszę - mówisz. - Może to tylko moje własne ego. Muszę zarejestrować na smie próżniotajów, inaczej cały czas tu spędzony pójdzie na marne.

- To jest wezwanie - mówi ona. - Do każdego przychodzi po linii jego własnego wektora.

- Jest coś, o czym mi nie mówicie.

- Jest, ale żeby to poznać, musisz zasmakować próżni.

Stoisz w swoim pecherzu próżniowym na podejsciu u wejścia „Beli 37”, kolana uginają się pod sobą, trzyszysz w bezdenną czelusi, w którą masz zaraz skoczyć, miliony gwiazdnych szpileczek kłują siatki twoich oczu, w twoich uszach wyją czarne cisze Bierzesz wddech i nurkujesz w nieznane.

I oto unosisz się w czystej czarnej nicości, gdzie gwiazdy są okrucichami świetlistej materii, oddalonymi - ale nieskończoności, o pustą nieskazitelność czelusi. Nic się nie rusza. Nic się nie zmienia. Nic nie tępuje. Cisza jest wieczna. Czas nie istnieje.

- Co takiego wiedza próżniotajów? - pytasz w końcu, choćby po to, żeby usłyszeć własny głos. Co oni wiedzą tutaj, w tym nieskończonym nigdzie?

Kosmicznym tworzywem wstrząsa nieokiełznany, potworny smiech, firmament rwie się na dwie części od olbrzymiej chmury w kształcie grzyba, wysokiej na lata świetlne, która kłębi się i kołuje, a jednak pozostaje niezmienna, poza czasem.

polaczenia dzieło sztuki tchnęło paradoksem, jakim była sama Karawana. Dla gości paradoksem owo był Jofe D'mahl. W zgoczcie z własnym ego, D'mahl nie czynił w tej kwestii żadnych rozróżnień.

Lista gości była równie dziełem sztuki w nowym, neobarokowym stylu D'mahla - zgromadził gości statucie ludzi stworzonych do tego, aby to łascie się przymalnie, to znów zgryzać jak polukzone szkło, to owdzie popierać plodozmiany, ale cały czas trzymać na ogniu staroswieckie imbryk karny Jans Rybrylowała jak zwykle przed mieszaną kompanią, w której znajdował się między innymi główny strażnik pochodni „Excelsiora”, dwaj ziemiorzycy z Kantucka, oraz Tanya Davis, zmiya w atlasowej skorze. Znaczy tłumek asystował też zagorzałej dyskusji między Daltą Reed a Trombleau astrofizykiem Polany. Mniej znaczni goście kręcili się to tu, to tam, pełnić mniej znaczne role. Aby przyjęcie mogło bysnać pełnym blaskiem pochodni, potrzebny był katalizator.

I dokładnie o 24.00 katalizator taki miał się wstrzelić w ich niewinne czujniki - miało to być pierwsze wyzwanie nowego sensu Jofe D'mahla pt. „Wedrujący Holendrzy”. D'mahl wyrzucił z próżni rakiety - dzięki siegnięciu poza granice pierwotnego promieniowania a następnie sledzeniu nitki aż do klejka.

- Jak tysiąc słonec, powiedzieliby na Alamagordo, Jans, a to zaledwie o jedną zapórę i jedno po przepływu ślad.

- ...pan się musi czuć jak Prometeusz...

- Jofe Ten tutaj nova przechwala się że uzyskał wzor spekalny dla zycia organicznego - krzyknęła Daltta, wciągając D'mahla na moment w swoją orbitę.

- Na taśmnie gwiazdoskopowej? - zapytał z powątpiewaniem D'mahl.

- W teorii - przyznał Trombleau.

- Skąd my to znamy? - skwitował D'mahl, racząc się kolejnym olsniewaczem panny Wolder. Keprzeć się między zębami, po czym eksplodował gorzką słodyczą, która niemal natychmiast przetrwała się w długotrwałej, dymnej posmak. Niezle, pomysł D'mahla, oddalając się łanecznym krokiem o rozwarłych ust Trombleau, zanim został wessany w dyskurs.

D'mahl brodził w oparach mgieł; zaszedł zmiennacka Arniego Simkova, klepnął po tyłku Darusa Wadnera i stanął przy grupce gości otaczających Johna Benine, który był w sensu punktem widzenia. Probowali wyciągnąć z niego coś na temat sensu, ale John dobrze widział, że jeśli puszczy parę przed pro miera, jego szanse na ponowną współpracę z Jofe D'mahlem osiągną równo jeden bzdet.

- Nie bądź taki, Jofe, powiedz nam coś niecos o tych Wedrujących Holendrach - nalegała kobieta odziana w obłok jaskrawożółtej mgły. D'mahl nie przypominał jej sobie cieleśnie, ale nie zadał sobie trudu wczuć się po informacie. Wgryził się natomiast w szescienny olsniewacz, który zatonił w pod dołknięciem zębów, na jeden szalony mikropuls wybielając każdą z osobna synapse ust. Fu!

Zdradzę wam dwie rzeczy - powiedział. - Jednym z dwóch głównych punktów widzenia był Jofe Benina, całość zaś jest mitmaszem.

Rozległ się choralny jęk, pod osłoną którego D'mahl odbił rykoszetem w stronę Jiz Rumoku, stojącej w oparach zielonej mgły z kimś, kogo nie potrafił zidentyfikować.

Jiz Rumoku była jedyną osobą obdarzoną przywilejem zapraszania na bankiety D'mahla własnych gości, a także jedyną chyba osobą, która nie mając nic wspólnego z powstaniem „Wedrujących Holendrow” miała o dziele jakiegokolwiek pojęcie. Gdyby podejrzewał Jofe D'mahla o posiadanie duszmana (co jest założeniem mocno wątpliwym), duszmanną jego byłaby Jiz.

Ubrana była, jak zwykle, w ostatni krzyk jutrzejszej mody: kombinizon ze swietlistej, wyglądającej n sztywną zielono-purpurowej tkaniny z mozaiką figur geometrycznych, dopasowany do linii ciała ja średniowieczna zbroja. Poszczególne płaszczyzny uwidaczniały się subtelnie z każdym ruchem, dając wspaniały owadzi efekt, ukoronowany wysokim, pierzastym grzebieniem, w którym wymodelowan były elektrostalycznie je, długie, czarne włosy.

Uwagę D'mahla jednak przyciągnął jej towarzysz, gdyż był to bez wątpienia próżniotaj. Poza niebieskimi slipami i sandałami nie miał na sobie nic; na całym ciecie ani włoska, a tysa czaszka pomalowan była na kolor srebrny. Pomijając kreację, natychmiast zdradzały go oczy: błękitne okna plexi wpatrzony

w nieskonczony wszechświat absolutnej czerni uwiecznionej dzięki jakimś topologicznej sztuczce we wnętrzu jego potyskiwej czaszki

D'mahl wczuł ten obraz do banku czuciowego.

- imię, nazwisko wydał wewnętrzne polecenie W jego umyśle pojawiło się nazwisko „Harris Bandoora”, - Dane, w skrócie - zażądał.

Harris Bandoora, lat standardowych pięćdziesiąt, aktualnie dowódca statku zwiadowczego „Bela 37”, powrócił do Karawany w ubiegły wtorek, 4.987. Raport w bieżącym czasie realnym niedosłowny

A więc tym razem Jiz postarała się o rzeczysławie jakomy kasek proznojada tak świezo przybyłego z dalekiego niebytu, że Rada Pilotów nie zdążyła jeszcze opublikować jego raportu

- Młó powiać pana z powrotem w cywilizacji, panie dowódcu. Jaka ona jest, taka jest - ale za-wsze

Bandoora zwrócił na niego próżnie swoich oczu.

Jaka ona jest, taka jest - powtórzył zinnym, dzwiecznym głosem, który podsumowywał, oceniał i dyskontował historię ludzkości w kilku martwych sylabach.

D'mahl odwrócił wzrok od czarnych przepaści, spojrział w mgławkowe oczy Jiz i na moment oboje przeczuli się wzajemnie w intrymym powitanu. Jofe ujrzał własne ciało w lustrzanym odbiciu, poczuł ciepło jakie budziło ono w Jiz. Utraćwał własne usta jej ustami, smakując elektryczną dymność spożytych niedawno ośniewaczy. Usta ich rozłączyły się, od-czuli się równocześnie.

Co pan tam pisze w tym raporcie, którego Pilot nie przekazał jeszcze do banków? - zapyta D'mahl z komercyjnym zainteresowaniem (jak tu gawędzić niezobowiązująco z proznojadem?)

Waskie usta Bandoory rozchyliły się w czymś, co mogło być uśmiechem, ale równie dobrze i skrzywieniem bólu D'mahl wyczuł, że parametry emocjonalne tego człowieka są prawdziwie o'ce jego doswiadczeniom, czy to prymarnym, czy symulom. Nigdy dotąd nie poświęcał większej uwagi proznojadom i teraz sam się dziwił, dlaczego Należało koniecznie sporządzić poza senso na ten temat

Znaleźli p anetę - oświadczyła Jiz. - O 23.80 wydany będzie biuletyn ogólny.

Bomba - orzekł D'mahl, nadając temu słowu nuanse wszystkich doznana, jakie poruszało Proznojady zawsze wracały z raportami o nowych, jeszcze cieplejszych, systemach słonecznych, elektryzując Karawane na parę miesiecy, podczas których gorączkowo szykowali się do bezpośredniego sondażu badawczego, po czym, skoro tylko okazało się, że cudowna planeta to jeszcze raz tylko bzdela z giazow i przyprowadzającego o mdłości gazu, kierowali egzaltacje obywateli Karawany na kolejną Thule już blisko tysiąc lat wredli tak Karawane zrywami po zrygak wiałym szlaku wśród proznoj od jednej pionowej nadziei do drugiej - dalekiego też w opinii D'mahla ten ostatni bzdel nie był nawet godzien miłania kosmicznej budy. Ale i tak starcie się objawieniem co najmniej trzech najbliższych miesiecy, czyli pod-lapanie biuletynu przed oficjalną jego publikacją to tak czy owak numer pierwsza klasa, prawdziwy zastrzyk dla niego. Bomba.

- W tym przypadku szanse wyglądają nieźle - powiedział Bandoora.

- Jak zawsze, nieprawdaz? - zauważył jadowicie D'mahl. - I zawsze wychodzi na to samo. Jeżeli w strefie potencjalnego zasiedlenia występuje skała, jej grawitację utrzuwa głowy, albo też atmosfera stanowi smakowity koktajl wodoru, cyjanku i fluoru. Czy nie wydaje się panu czasami, Bandoora, że jakas kosmiczna osobistość próbuje zakomunikować panu coś, czego pan nie chce słuchać?

Wewnętrzny wyraz emocji Bandoory wykrzywił się jakby pod beznamietną powłoką ciała. Jego dolna warga zadrgała w tiku. Co ja takiego powiedziałam?, zdumiał się D'mahl. Te proznojady naprawdę daleko zabierają po wektorach zdiwności.

Jiz zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Pochodnia, na której jeździ Jofe, jest czyste ego - powiedziała. - Jofe ma kwaśną minę, bo biuletyn upuścił nieco H z jego premii. Nie mam racji, Jofe, ty ego-pobwozce?

Nie tykaj ego - odparł Jofe D'mahl. - Jedyną ono stoi między nami a okulałym wszechświatem, na który mamy nieprzyjemność być skazani. Ponieważ moja opinia o sobie jest jedyńą znaną mi rzeczą w zasciankowej kosmicznej hierarchii przewyższającą wspaniałość mojej osoby, stwierdzam, że jedynie moje ego godne jest uwielbienia. A to dowodzi, że jestem...

- Nieznosny? - podpowiedziała Jiz.

Stoisz na fioletowym pokładzie rolnym, wdychając kwaśne powietrze Sosny skarlały, trawy wiečna, a oczy kłaniających się oplecionemu winoroślą krzyżowi ziemiorytów byszczą od gorączki.

- Na lokalach i kolanach czołgają się tam, skąd przyszli - rzecze starzec. Starca spiewka o pocztu winy, za każdym razem ich tierze - Znow szurza palcami i opadasz lunetą wiatu poprzecz kolejne pokłady zadbanego statku Powietrze jest słodkie, światła czyste i jaskrawe, księż, wypolerowane po wierza hnie z metaliu i drogich kamieni, ale papuzy tłum wydaje się być zarażony lektem, piosły się z byle powodu, boi się cieni.

A jeśli nie sięgnie ich prawica, to sięgnie lewica - mówi starzec. - Każdy człowiek jest wyspą, każdy jest sam. Co im ze zdobycia wszechświata, jeśli ja mam w zaśław ich dusze?

- A co im z tego, że wytrzeć się twojej marnej karcerzy w zamian za zdobycie własnych dusz? - odpowiada Szatan, wydymając w każdy miuną pokład łatecz z dymnnych kółek. Pierścienie lawendowego dymu osiadają na skroniach ludzi i przemieniają się w srebrne opaski - pierwsze pełne prze-kazniki sensoryczne, pierwotny czujnika. Strzeż się czujnika! - rzecze Szatan, gdy pierścienie przew-kazników wlepiają się w czaszki swoich właścicieli, stając się chirurgiczne wszechpionym czujnikami. O! Deklaracja Niepodległości twojemu scenariuszowi. O Producentcie Biblij ych Eposow! Most który łączy wyspy! Wyrota do rzeczywistości, w które ty wniknąć nie możesz! Korona stworzenia!

Szatan zwraca się do ciebie, gdy razem wsiadacie z łuby windy na spokojnym pokładzie mieszka inym - rhodniki ze złotych brykietów, wijące się między piernikowym donkami z ametyli, ku uru, łopazu Wydmuchuje ku tobie dymne kółko, które osiada na twojej głowie, a następne wnika w twoją czaszkę.

- I co ty na to, człowieku? pyta cie ruchem głowy wskazując starca. - Czy ten tu Merlin Wspaniały jest rzeczywiste Bytem Wszehrzeczy i Koncrem Wszehrzeczy, czy też zwyczajnym kuglarzem?

Szatan wybuch szaleńcym śmiechem, a wtedy ty strzełasz z własnego ogona, zasmiewając się s/a tansko i wydmuchując startowi prosio w nos kleby sinawego dymu, a starzec wybalusza na ciebie rozszczęsnego oczka.

- Gdzie on jest? - pyta starzec.

- Pan pozwoli, że się przedstawię - mówisz.

- Nie bedziesz mi tu drwił z Bogal - krzyczy starzec.

Strzeż się pana przesłuzeni nad przesłuzeniami i czasow nad czasami - mówisz, kurząc czubek ogona.

Kozłujesz o ziemie fioletową futurzana kulke pod ogromnym fosforycznym drzewami Stoisz na Champs Elvsees, w pięknym Paryżu, na Ziemi utraconej. Tańczysz w grand salone Jofe D'mahla i częstujesz się ośniewaczem, który w twoich usiach eksploduje w różowo aksaminie ośniewie, prze-mieniając cie zarazem w kobietę kochającą się ze złocistym chłopcem na czarnym piasku plaży, nad srebrnym jeziorem, pod księżycami barwy błękitu i pomarańczy. Deska surfingowa ze szmaragdowego światła suniesz po wewnętrznej krzywiznie wysokości na milę 'ali, która przewała się przez bezbrzeżne turkusowe morze. Wzbiąasz się w samo serce błękitno-białego słotca, płońiesz - lecz się nie spalasz.

Jesies punktem widzenia obok Szatana i starca, którzy uposza się w tubie windy poprzez pokłady przemienionego statku. Pozbawione wzdzięku ziemiorytów ustępują miejsca wiełobarwnym strojom z metalowych pokładów wyrastają drzewa, bluszcz i kwiaty Ślady korozji znikają z luków pokładów rolnych, krzyże barwy winorośli rozpływają się w powietrzu, a kwasno cuchnące bagna zmieniają się w wonne ogrody rozkoszy.

Starzec kipi gniewem. Jego czerwona twarz purpurowieje, staje się czarno-ultrafioletowa, zgryziąjące zęby styją skry, a z opuszek palców strzelają mini-byskawice.

- on!... on!... on!... - duka zaślepiony gniewem, wzrokiem sięjąc gromy.

Tym razem zjełdi owoc z Drzewa Stworzenia - szczyrzy się w usmniechu Szatan. - Jak ci się podoba ją te jabłuszka?

Za zjedzenie owocu z drzewa Wiadomości Dobrego i Złego wygnaniem te hotele z Raju, ogniem i mieczem - rzyczy starzec głosem tysiąca nowych. - Za to zemszczę się na nich tak, że tamta kara wyda im się spacerkiem po rajui!

Po czym eksploduje w oslepiający błysk, a ty widzisz już tylko gwałdzistsy firmament i olbrzymi

Węgie dla ciała - parodiuje skrzykliwy głos starca. Wapń dla soków żywotnych. Żelazo dla krwi. A wszystko to z samego medium międzygwiazdowego, którego się nie pozbędziesz bez zamknięcia całego kramu, Panie Krzaku Gorejący! Oni nie obracają się w proch - oni proch obracają w siebie!

Zanoszą się dźwiękiem śmiechem, znowu strzela z ogona i staje się we trzech w sosnowym łasku na pokładzie rolnym, pod hologramem błękitnego nieba, wdychając wonie rosnącej wegetacji.

Popatrz, popatrz: oni zasadzili ogród na swoim ugorze! Naigrywa się Szatan, skrecając się w polu ze śmiechu na wiotki purpurowy od gniewu twarz starca. Jeszcze jedno trzaskanie z ogona - i plynienie oło nad ogromną promieniącą wyjątkowo rozjarzonego światła pokładem - ozrywki restauracji w zielonej szali: arch i srebrze, diamentowe stoliki drynujące na zero-grawitacyjnych płytach, cygańskie tancerki wirujące nieważko w powietrzu, rozane fontanny, olśniewająca muzyka, zapach firyfiry.

Popatrz, popatrz! I miasto światła w twojej wiecznej ciemności!

Jeszcze jedno trzaskanie z ogona. Szybujące nad centrum Karawany, ołocznym rojem rozjarzonych statków, pod jutrznią błony wodorowej. Szatan wyciąga dłoń do starca.

Czy to ci wygląda na przygotowania do kapitulacji, Panie Nie Będziesz Miał Innym Przede Mną? Mają wszystko czego im trzeba i to wyłącznie z prochu! Mogą tak ciągnąć po wsze czasy. Pobłogosław dłoń moją srebrną, Panie Stworzycielu Wszystkich Rzeczy Widzialnych i Niewidzialnych. Twój synowi i córki wyrwali się spod twojej komendy!

Twarz starca z purpurowej staje się czarna. Z jego nozdrzy bucha ogień. Mierzwa brody skreca się i rozkręca z wściekłym elektrycznym trzaskiem.

Gdyż już jest bogiem pomsty i gniewu! - ryczy. - I będę siał ich i chlotał!

Nie wysłaj się dla mnie ze swoimi błazniewaniami, kabołynie, strata czasu! - sztydzi Szatan, wydumuchując kółka lawendowego dymu. - Przyparł cię do muru!

- Tak uważasz, synu? Poczekaj, aż dotrą do kolejnej Ultima Thule! - sarszec strzela palcami, łomoc burzy i staje się we trzech w niebotycznym grubopienym lesie, gdzie kora drzew fosforyzuje światłem, a liście, wielkie jak żagle, falują i klaszczą na wietrze. Chłodną ziemię pokrywa grubo kobiercem brązowej, podobnej do mchu, trawy, pociekowany czerwonymi, niebieskimi, żółtymi i fioletowymi wachlarzami kwitnących grzybów. Pierzaste żółte i pomarańczowe dwunogi wielkości małp, skaczą góra z lasu na las, a dołem, w brązowej trawie, larzają się małe, tłuste, fioletowe kulki futra, podskubując grzyby. Powietrze pachnie cynamonem i jabłkami, a nieznaczne nadbogactwo tlenu sprawia, że głowę masz przyjemnie lekka.

- Niech sam zgadnie... - wdycha Szatan, cmokając w zamysleniu czubek ogona.

Obroc się w gnoj! - ryczy starzec, a głos jego jest burzą, która rozdziera niebo. Puszczą krystalizuje się i rozpada w pył. Brązowa trawa twardnieje w skałę, zas pierzaste dwunogi i fioletowe kulki futra ulegają dekompresji i eksplodują. Słysz na równinie brązowej skały, poznaczonej zielonkawymi pasmami, pod niebiesko czarnym niebem, zanieczyszczonym zielonymi chmurkami, a powietrze ruchnie chlorem.

Robisz w pietke, Panie Tys Był - mówi Szatan. - Twoje ogrody nie są już potrzebne, gdyż ich jest moc i chwala po wsze czasy, amen.

Czyżby? - wyszczerza się starzec. - Już im niepotrzebny stary Pan Wszczęściwa? Czyżby? Za długo byłś Księciem Łgarzy, synu. Nie rozumiesz, jak ci durnie są zaprogramowani. Gdyż jam ich postawił jednego wbrew drugiemu, a każdego wbrew sobie samemu. To najstarsza sztuczka w całej księdze.

Strzela palcami i we trzech stoicie przyparci do luku pokładu rozrywki, przez który z dźwiękiem wrzaskiem wali tłum ziemioryjców, roztrzaskując krystalowe skały, przewracając rzeźby z ognia i potrzaskując przy tym buńczucznie krzyżami oplecionymi symul-winoroślą, czemu towarzyszy skandowanie!

- Dosyć statków! Dosyć statków! Ziemia albo śmierć!

Niepotrzebne um moje ogrody, co? zachłystuje się starzec. - Wygrywam na ich umysłach jak na harpie, bo to ja stworzyłem ich wszechświat, zewnętrzny i wewnętrzny. Strzela palcami. - Teraz patrz na swoich władców energii i materii!

Że jestem po prostu człowiekiem - sprostował D mahl. - Ponieważ i tak jestem na to skazany, niech mi chociaż będzie przyjemnie.

Biuletyn Rady Pilotów. - Słowa te wtargnęły do umysłu D'mahla z odpowiednią dozą laktu, co było dowodem poprawy manier od czasów, kiedy Pilotom zdawało się, że mają prawo wstrzelć się człowiekowi w fugę zmysłową, i leć przyjdzie im na to ochota. Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem... D'mahl przyciągnął do siebie zieloną pufę-kulę i zakotwiczył szubującą chmurę cząsteczek poprzez umieszczenie w niej swojej czcigodnej semplemny. Jiz i Bandoora zajęli miejsca po jego bokach. -

Szesc pięć... cztery

Ci goście, którzy jeszcze stali, pozajmowali miejsca: nigdy nie było wiadomo, jak długo potrwa przekazywanie biuletynu Pilotów. Pilot ciępią na groteskowy przerosł porzucia własnej wartości, pomysł D'mahla. A to dowodzi, że są...

...trzy...dwa...jeden...

Po prostu ludzi

D'mahl siedział na ławie w samym centrum niedźwiedziego amfiteatru. Wokół niego zasiadało pięćset dwadzieścia siedem tysięcy ludzi ubranych w archaiczne niebieskie kurtki wojskowe, pamiętające czasy, kiedy twili Pilotów Stalku oznaczal funkcje paramilitarna, a nie obieralny urząd. D'mahl uznał jednorodność strojów za groteskowo komiczną, a krąg dziennego nieba nad ziemopodobną planetą za banalny i uwielający dobremu smakowi mimo to jednak musiał przyznać, że większość Pilotów, z ich naturalnym wyobrażeniem o pozycji egzystencjalnej Karawany, ujmowała go i rozczulała swoją prośbą nioscą.

Ryn Nakamura, siwowosy starzec od lat których już n.komu nie chciało się liczyć, piastujący stanowisko Przewodniczącego Rady Pilotów podszedł do niego majestatycznym krokiem, ohnema dłońmi klepnął go po ramionach i zaśmiał obok. Pachniał natretną perfumą, skomponowaną jako symula woni mądrości spleśniałych perłaninów i gni acy słodczy jako artysta. D'mahl uznał kompromisy za udaną, jakkolwiek nieprzyjemnie jednoznaczna, jako obywatel odebrał ją jako wyraz pogardy i wrogostwa.

Nakamura pochylił się ku niemu i w tym samym momencie amfiteatr znikł, a oni siedzieli w zaciśnięj samotności abstrakcyjnej przestrzeni. Szczelnie otoczonej firmamentem gęsto skupionych gwiazd - Słuchaj, Jule, statek zwiadowczy „Bela-37” powrócił do Karawany z „aportem o systemie słonecznym, w którym istnieje potencjalnie zamieszkiwalna planeta. System zlokalizowany jest w obrębie półtora roku świetlnego od naszej aktualnej pozycji - obwiescił z namaszczeniem Nakamura.

D'mahl, miał ochotę ziewnąć staremu nudziarzowi prosiło w nos, lecz naturalnie dawca punktu widzenia skrzętnie nagłał jego piecy w stronę Nakamury, zaś Przewodniczący kontynuował wypowiedź kożim głosem:

Rada stosunkiem głosów 1839 do 201 postanowiła zmienić wektor Karawany w kierunku tego systemu, oznaczanego jako 997-Bela, jeszcze przed ujawnieniem raportu.

D'mahl siedział w połowie wysokości amfiteatru, a Nakamura ciągnął formalne przemówienie z trybuny na dół.

- Żywny szczerą nadzieję, że nasza długa przerwa zbliża się wreszcie do szczęśliwego końca, że jeszcze za naszego życia człowiek ponownie stanie na żywnych wzgórzach żywej planety, z niebem nad głową i wonią zycia w nozdrzach. Na zakończenie biuletynu zacytuje kilka wyjątków z raportu Harisa Bandoora, dowodzącego statku „Bela-37”.

Nie schodząc z mównicy, Nakamura przeistoczył się w Harisa Bandoora. - Jednym z głównych wektorów Karawany - oznajmił - „Bela-37” podrozwołała pod kątem trzydziestu stopni od głównego wektora Karawany - oznajmił beznamietnym tonem Bandoora - Predkosc w skali pochodni 0.9.

D'mahl stał teraz na mostku kapitańskim „Bela-37”, cedącym małym okrągłym pomieszczeniem, obrzeżonym imponującą aparaturą i zamkniętym kopułą z niebieskawego pleksi dla zniwelowania efektu Dopplera, lecz wizualnie otwartym na przejmującą grozą wspaniałą przepaść próżni. Okazało się, że jednym z czterech próżniotłoków na pokładzie jest kobieta, która dla D'mahla stanowiła silną konkurencję wobec gwiazdowego spektaklu. Miała na sobie szorty i klapki, czaszke zaś miała, jak cała reszta, łysą i posrebrzoną, ale jej nadnaturalnie stożkowate piersi i lśniąca, silnie umięśnione ciało,

prawili, że to, co powinno być budzić obrzydzenie, stało się abstrakcyjnym paradigmatem kobiecejrody. Czy ciepło, które poczuł, było jego własnym ciepłem, czy też pochodziło od dawcy punktu widzenia – a więc samego Bandoory – nie było teraz istotne.

Gołowość do badania radarowego i rejestracji systemu 997 Beta odezwiała się oszalałą istota, miała zbity się do niej, z zamiarem znużowania w bezdennie oczy kobiety, przynajmniej. Zamiast to śmiało Sidi.

Sidi wykonała akus zabieg na konsolce i co za archaiczne urządzenie! i w centrum geometrycznym kosmosa kapłanskiego rozdybła aureolę złotej gwiazdy o średnicy mniej więcej ludzkiej głowy. D miał wymienić z zabogą pełną napiercia spojrzenia, czując somatycznie, jak jego oczekiwania rosną.

Planety – powiedział

Pojawilo się pięć małych okrągłych cząstek, wirujących w sprężonym czasie wokół złotego słonca

Potencjalna stręła zasiedlenia...

Hologram 997-Bety dotyczył przezroczyści zielony torus. Druga planeta mieszcza się w jego frantach

Rozległo się głośnie westchnienie, a D miał poczuć, że drży na całym ciele

Drugą planetę – zarządził głos Bandoory. – Na max

Hologram gwiazdy zniknął, a na jego miejscu pojawiła się biała, strzępiasta aureola drugiej planety, o średnicy czterokrotnie przestającej średnicę samej planety. Planeta zdawała się być upstrzona polami azazu, zieloni, błękitu, złoci i fioleń, hologram był jednak biały i rozdrzany, jakby oglądany przez

Neutralny głos recytował odczyty instrumentów.

Domniemana grawitacja – 1.2 gs, plus-minus dziesięć procent, domniemana średnia temperatura szkieletu trzy stopnie Celsjusza, plus-minus sześć stopni, domniemany skład atmosfery hel, azot, węgiel, dwutlenek węgla, azotu, amoniaku, pary wodnej... domniemane proporcje wody i ładu

...skład chemiczny wód oceanów w świetle obecnych danych nie do ustalenia

D miał poczuć, że napięcie całego ciała kanalizuje się poprzez struny głosowe w mearyfikowany

rytm, który ział się z okrzykami jego towarzyszy. Usłyszał, jak jego usta głosem Bandoory mówią.

To najlepszy cpis, z jakim za mojego życia powrócił statek zwiadowczy.

D miał siedzieć w amfiteatrze, a Bandoora przemawiał do Rady.

Na 997 Beta-II brzzwłocznie wysłano sondę. Za dwadzieścia dni „Beta 37” wyruszy, aby monitorować

sondy z czoła iali Zakładamy, że ostateczne dane będziemy w stanie dostarczyć w ciągu pół roku

...dardowego.

Na tym kończymy biuletyn Rady Pilotów.

*

szyszy gosie w grand-salonie Jofe D miała poczuć natychmiast gadac, gestykulować, kreć się w

niemieniu. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę D miała, Jiz i Bandoory. D miał, wiedząc, do kogo

osowane są pełne zachwytu spojrzenia, poczuł palącą zazdrość.

No i co ty na to Jofe? – odezwiała się Jiz, a w jej tonie błysnęło przewrotne ostrze złośliwości.

Nieźla robotka odparł lodowatym tonem D miała – Do szuki jej daleko, ale przyznam, że to efekto-

ktorego zmierzają te mapy, i nie chwając się, muszę powiedzieć, że nie gorszy od tego, co zrobiłem na Ziemi.

– Może nawet lepszy – przyznaje Szatan.

Tak sadzisz? Oczywiście głosem gromu. Przewracając oczami i ciska w powietrze garść błyskawic, wrzeszcząc z purpurową od gniewu twarzą:

– Obróć się w głównio!

W tej samej chwili albo przybiera barwę niezdrowego chemicznego fioleto, poznaczonego żyłami paskudnych szarych chmur. Zielono żółta trawa, złoście sosny i barwne kwiaty zmieniają się w służbową brunatną breję, płaki zaś i czerwone aksymitne kanjany ułatniają się w postaci cuchnących purpurowych oparów. Brunatna breja i purpurowe opary miesza się, zesłają

A ty, ubrany w ciężki kombinizon kosmiczny, stoisz na bezkresnej równinie purpurowo czarnej skały pod okrutnym martwym niebem, jesteś edrym z kilkunastu mężczyzn w kombinizonach, pełni zających po trupie planety jak mrowki po wyschłym gnacie.

Patrzysz, jak Szatan i starzec zawisają na chwile ponad zmodyfikowanymi frachtowcami asteroidalnymi karawany, a następnie oddalają się od Trau Celt V w noc galaktyczną. Ze statków zdaje się unosić szary opar, jakby plexi ich wejsc i luków zapackały wydzieliny milionów lat rozpaczy

– Popatrz na nich teraz! – pie e trumfalistnie starzec. Strzela palcami i we trzech patrzycie oto z rampy na prymitywny pokład rolny. Zielone porosły na syntezytnej glebie przypominają jakiś niewydarzony grzyb, w powietrzu pachnie ozonem, a widoczni w dole ziemiorytcy są garbatymi karłami, poruszającymi się niemrawo, jak pod ciśnieniem 4 gs.

To już nie potwa długo nrowi starzec. – Do najbliższego światła jakiego zmontowałem, jest ślad odległogłosu stulecia. Niki z nich nie doczeka chwili ujrzenia go, i oni to dobrze wiedzą, o! wiedzą!

Znow strzela palcami i we trzech stojcie przy trzonie pochodni na pokładzie mieszkalnym pierwszej generacji ponure niebieskie korytarze, ołowiane stropy, paskudne słatowe wykładziny, rzędy identycznych szarych drzwi. Ludzie snujący się bez celu tu i tam są równie wyprani z koloru i życia, jak ich otoczenie

A zanim zdolała tam dotrzeć ich dzieci, zaczęły im wszystkich brakować mrowi starzec. Węgla dla ciała. Wapnia dla kości. Fosforu dla soków żywotnych, zelaza dla krwi.

Światło przyciąsa, ściany pokrywają się mgiełką. Ludzie zaczęli wiotczec i rozlać się, a ty czujesz, jak męką twoje własne kości, jak krew twoja rzednie w wodę; całe twoje ciało jest jak rozlażący się budyn.

– Sami pomaluj zamienia się w gnój – chichocze zjadliwie starzec.

Raz jeszcze strzela palcami i oto jesteś abstrakcyjnym punktem widzenia u boku starca i Szatana, którzy trwają w zawieszaniu nad dogasającymi światłami karawany

No co, Zmiuju, będziesz płacił? – i starzec z pewną miną wyciąga reke.

– Jeszcze się nie poddali – odpowiada Szatan, tniąc czubek ogona.

– Uparty duren! – rzuca z irytacją starzec.

Szatan wydmuchuje pioropuz lawendowego dymu, któremu nie ma końca. Obłok dymu peczenie, narasta i rozwinia się w wielką ciemną parę wodnej, która szczerne otula fioletnie zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych.

– Z nich też uparte duren! – mówi Szatan.

A gdy sinawa chmura rozwiewa się, Karawana jest odmiennona. W miejsce dziesiątków zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, sunących poprzez kosmos w smudze rozpaczy, pojawiają się setki nowych, zrodzonych w Karawanie, statków-pochodni, skrzaczy się na tle czarnego aksymitu nocy jak otwarte piracki kufel z drogocennym lupem, odbijających dumną promenadę poprzez czelust pod osłoną własnej trumfalistnej łeczowej łeczy – błony wodorowej.

Szatan zaśmiewa się, strzela z długiego, kretego ogona jak z bicia i we trzech stojecie przy obłazymie, opalającej trzon pochodni, spirali, pokładzie filtracyjnego, postrod zbiorników odzysku materiałów, kontrolnych i meduzowatej głowy zwójów przekaznikowych. Czujesz w kościach niebywałą moc pochodni, która wnika w ciebie poprzez poduszki stop. Szatan władczym gestem ogona wskazuje kolejne zbiorniki.

- Proszę uprzejmie, ty Żmiju, w każdej chwili.
- Dobra, Panie Jamieś, spuść się na Hloba całe szambo, jakim dysponowales, a on dalej czował się na loknach i kolanach, żeby polizał twoje stopy jak jesteś taki chojrak, to pokaż, że umiesz ich złamać wszystkich. Pokaż mi, jak cała rasa ludzka przybiera pozycje embrionalna, wkłada palce do ust i pod daje się. Taki zakład, Panie Napoczątku. Ja ich wyprowadzę przeciwko tobie.
- Ty się chyba zgrywasz! Przecież to mój program! To ja jestem wszechwiedzący, wszechmocny, to mnie wolno rozdawać znaczone karty spod talii.
- Nawet jak przegrasz, podziel się z tobą pół na pół.
Starzec wybuchł opętanym śmiechem Szatan podnosi głowę, patrzy ci prosto w oczy, wzrusza ramionami i robi palcem kołko na prawej skroni.
Dobra, synu, zakład! mowi starzec A na początek to:
I wsieklęm zamachem ciska blyskawice ze swojej 'himury na widoczny w dole świat.
Słysz na zalorzonej paryskiej ulicy, niebo eksploduje, budynki topią się i spływają chodnikami. Wie za Eiffla kruszeje i pada, a twoje ciało zaczyna się od zielać od kosci. Jesteś obrzniętym plakatem, piora twoje płońa w gorelącym niebie, opadasz na ugor zamiatanego wiatrem pyłu i dogorywających budowl. Jesteś delinim, wyskakujesz z duszaro gorzkiego morza w powietrze o konsystencji papieru siewnego. Stoisz na skraju swojego pomarańczowego sadu, patrzysz jak drzewa zmieniają się w pochodnie pod wypełniającą niebo kulą ognistą, nagle włosy twoje buchają płomieniem. Leżysz bez tchu na bezkresnej równinie gruzów i szarego pyłu, niebo jest smuga rakowatych purpur i brzoj w Patrzysz, jak Szatan i starzec o dziłkich oczach dryfują na swoich puchowych obłokach ponad zdewastowaną kulę Ziemi. Szatan wydaje się nieco bardziej zielony niż przełtem i ssie nerwowo sam koniec igona Starzec, wyszczerzony w usmiechu, ciska od czasu do czasu ogniste gromy na małe wyspeki i leni, zmieniając je w szary pył i purpurowo-brunatny ugor.
- Ciach! chichocze, ciskając grom. - Jak ci się podoba, Żmiju? Mówilem ci, że jestem wszechmocny. Ani przez chwile nie miał szans. Dawaj widły, Karolku! wyciąga obwarła dłoń lewej reki.
- Muszę przyznać, że to lepsze niż numer z Ziemią Egipską mowi Szatan. Ale... Wyciąga koniec igonaz ust i w dymurkuje spirzasta strzał, lawiendowego dymu, do góry, tuż przed twym nosem. Słiskaz lot dymnej strzały, dostrzegasz dziesiątki srebrzystych cylindrow, oddalających się w gwiazd-ną czerń nocy galaktycznej.
Aaa, to? mowi starzec, mierząc blyskawicą w flotyile przerobionych frachtowcow asteroidalnych. Zaraz się tym zajm emy!
- Momenck, dziadku! szydzi Szatan Tym sposobem nie wolno ci wygrać zakładu! Kiedy już nie będzie komu się poddawać, wtedy ja wygram, a ty przegrasz.
Trzesąc się z gniewu, starzec opuszcza gromowładne ramie. Oczy mu latają jak zbiegłe galaktyki, żeby zaciskała się zgrzytliwie, z uszu dobywa się czarny dym.
Tobie się zdaje, że jesteś okropnie cwany, co? Wydaje ci się, że potrafiśz wykrzesać Głos z Trabzy Powietrznej, co? Wydaje ci się, że te golone małpy mają szansę dotrzeć do następnej zielonej wyspy w swoich blaszanych, sznurkiem powiązanych krypach?
Jest taki jeden wyjątkowo ładny swiatek, krąży wokół Tau Ceti; wystarczy im sprzętu, żeby tam dotrzeć - rzecze Szatan, puszczając do ciebie na boku perskie oko.
- Tylko mi nie mów o Tau Ceti! - piekili się starzec Jestem wszechmocny, jestem wszechwiedzący, żaden klient tej knajpy nie ma do mnie startu!
Strzela palcami i w jednej chwili ty, on i Szatan znajdują się na falującej łące zielono-żółtej trawy, pod niebem barwy błękitu usianym ulotnymi szlaczkami biały obłoków. Ogromne pozłacane drzewa o wyglądzie sosen chwieją się leniwie w delikatnych podmuchach wiatru, a pomiędzy rabatami wielkich pomarańczowych, szmaragdowych, rubinowych i szafirowych kwiatów bujają roje malenkich leczowych ptaszkow wypielniających powietrze niesamowitą muzyką. Czerwone, aksaminne, kanguro-wate stworzenia o natchnionych powietrze niesamowitą muzyką. Czerwone, aksaminne, kanguro-czule długimi ryłkami.
- Oto twój wyjątkowo ładny swiatek, który krąży wokół Tau Ceti sarka starzec - Oto nowy Eden, do

które świetnie wyglądają z daleka, i to o wiele częściej niż się widuje ciała tak świetnie wyglądające z bliska.
- Więc pana zdaniem przyszłość rasy ludzkiej to temat do żartów? odczwał się głośno Bandoora, po raz pierwszy okazując irytację.
D'mahl wyczuł czas: była 23.981. Za chwile mieli się rozpocząć „Wedrujący Holendrzy”, a goście w kółko pleli tylko o szansach znalezienia choćby jednej nadającej się do życia grudki błota! D'mahl skoczył na równe nogi i wrzasnął:
- Pan za długo siedział w Wielkim Niemanie, panie Bandoora! - Samą donośnością głosu natychmiast skupił na sobie uwagę wszystkich gości. - Gdyby to mnie skazano na statek zwiadowczy w towarzystwie Sidi, miałbym w głowie coś lepszego niż główniane planety!
Pan jest degeneratem i egomaniakiem, panie D'mahl! zabeczal naboznie Bandoora, wywołując zgodnie z nadzieją D'mahla - kaskadę śmiechu.
Przyznaje się do obu zarzłow rzekł D'mahl Naturalnie, że jestem egomaniakiem - jak każdy, uważam się za jedyne istniejące Boga. Naturalnie, że jestem degeneratem - wszyscy jesteśmy degeneratami - niekimi protoplazmatycznymi maszynkami, których degeneracja rozpoczyna się w momencie powstania!
W mgnieniu oka D'mahl rozproszył solenny nastrój, jaki zapadł na jego bankiecie po ogłoszeniu buletynu, a melodą ośmieszania i lekkiego przeginania pały, odzyskał prymat uwagi.
Jesteśmy skazani na bycie tym, czym jesteśmy tu, gdzie jesteśmy Holendrzy na bezgranicznym oceanie przestrzeni - to my.
Pósalone ponosi się zbiorowy jęk, podszły śmieszkiem z tak obcesowego przejścia do bliskiej przem.ry. Zwienczony zaś powagą na myśl o tym, kim wszyscy są i gdzie ich miejsce D'mahl dał planie a przynajmniej nie całkiem jeszcze doszedł do siebie - i był tego świadom, a świadomość ta rozbiła pod jego czaszka jak czerwona nova. W tym właśnie momencie zlej karny, godzina 24.00 weszła w czas realny i na czesłotliwość czurowej E-4...
Stoisz u stop lasodnego zielonego wzgórza na którego porosniętym drzewami szczyty przybijają do krzaka meczynne w przepasie na budrach. Za każdym uderzeniem milota czujesz przyszywający ból w nadgarstkach. Stoisz w szerokim alei starożytnej jerozolimy, przyciskasz do piersi drżan z woda - i widzisz Jezusa wlewanego na zagładę, a krtań twoja pali jego straszliwe, beznadziejne pragnienie. Znow jesteś w Kalwar i słyszysz stuk milota, czujesz w nadgarstkach blyskawicę bólu, a w ustach smak rozszarpanych piaskow.
Jesteś w nadbudowce starego drewnianego zagłowca, smakujesz słony wiatr morskiej burzy. Niebo kółuje się i wyje pod złowrocznym zielonym księżycem Twoja zaloga milota się po pokładzie wśród przek.enstw, krzyków i piskliwych jękow istot o widmowo przezroczytych ciałach, odzianych w postrzępione lachmany. Piana zalewa ci twarz, a ty scierasz ją wierzchem dłoni, widząc poprzez własne ciało, jak spływa ci przed oczami. W głębi krtań wzbiera ci śmiech, który w końcu kipi na zewnątrz nabył głosny, nabył przejmujący, isne wycie szaleńca. Wznosisz do góry pieś jak z mleczne, mały, wygrasz niebiosom. Pekaia poriski blyskawic. Jeszcze gwałtowniej poirzasasz pięścią i wdychasz sztormowy wiatr jak oddech kochanki.
Z ostatnim uderzeniem milota patrzysz ku szczytowi Kalwarii i czujesz we własnej dłoni zelazny boier, a pod własnym ramieniem drewniane ramie krzyża. Stawiają krzyż, a wiesz się z nim ty; niebo rozpływa się w ogłuszającej eksplozji światła jasniejszego niż tysiąc słońc. I wleczesz się mozolnie przez bezkresną równinę szarego lotnego pyłu, pod niebem barwy rdzewiejącej stał. Sposrod wrtującej pyłu wyrastają zebate ruiny zdruzgotanych budowli, a cały świat, od horyzontu po horyzont wypielnia ją ciepale szkieletowale postacie, maszerujące nie wiedzieć dokąd bez śladu nadziei. Lecz ciało twoje ma uporczywo, ołowianą siłę czegos, co wie, że nie może umrzeć. Bo w nadgarstkach, w ustach pyłu. Ludzie dookoła ciebie gniją w marszu, topią się jak zegary Dabiego, aż wreszcie zostajesz sam - ty, strażnik trupa planety. Zbliża się do ciebie zagłowiec-widmo, wznosząc się i opadając poprzez chłostany burzą pyłu.
Nadbudówka zapada się pod tobą, niebiosa wyją. Nagle olaczające księżyc chmury rozwiewają się, ukazując zimną, bezwzględna czerń usianą minadami twardych punkcikow światła, a nadbudówka

niemia się w stalowy mostek pokładowy. Stoisz w łuku prymitywnego statku pochodni pierwszej generacji. Na twoim gwałtownym horyzoncie widac dziesiątki innych przerobionych frachtowców sinteroidalnych, ledwie kilatowyj pochodni z byle jak skłconym kopułami, lukami i toroidalnymi pokładami - to dalecy solarni przodkowie Karawany.

Obracasz się i luz przy sobie widzisz wiekowemu potwora: starego, bardzo starego człoweka z twarzą porwiałą bliznami popromiennymi, z duszą porwiałą bliznami nieukończonego pocucia winy, z wczasyńcem żółtym się w lodowato czarnych oczach.

Stoisz w wypukłym łuku statku-pochodni pierwszej generacji. Pod tobą jest Ziemia brunatna okopona, zrąkowaciata kula, wciąż jeszcze dysząca promienowaniem Wojny Na Zwolnionych Obrótach. Gdzies tam białą dzwonny, a ty czujesz w dłoniach szarpnięcie innej dzwonny. Otwierasz głowę i widzisz hudego, diabolicznego mężczyzny o twarzy całkiem płaskiej i oczach jak błękitne węgle. Jego twarz na chwilę rozwiewa się w mgłę i tylko szalone oczy pozostają twarde i realne.

- Witaj, Holendrze - mowisz.

- Witaj, Zbiegu.

- Nazywają mnie Tulaczem.

- To już teraz nic nie znaczy - mówi Holender. - Teraz już wszyscy ludzie są tulaczami.

- Wszyscy też jesteśmy zbiegami. Zabiliśmy żywy świat, który nas zrodził. Nawet ty i ja możemy nie oczekiwać ponownego spotkania. W nadgarstkach czujesz kłókanie cweków, w dłoni ciężar młota. Pragnienie. Odległe bicie dzwonu.

Jestes Holendrem patrzył w noc wszechświata, o generację od najbliższej gwiazdy, o stu ecie od najbliższej nadszły z swego światła, o wieczność do przejścia na drugą stronę. W twojej głowie huczą fraktozy, z twoich oczu syją się błyskawice. Mówisz:

- Pod stopy mamy jeno te pokłady, drogą naszą jest wiatr międzygwiazdny, a siłą napędową pochodnie jądrowe. Nie waz się skamleć przede mną, sam nigdy wleci nie miałem. Zanosisz się dziwnym, skowyczącym śmiechem szaleńca. - A teraz mam liczne towarzysstwo.

Jestes Tulaczem, patrzysz z góry na zasłachowaną Ziemię, słuchasz bicia dzwonu, czujesz w ręku niemierny ciężar młota.

- Ja także, Holendrze, ja także.

Głob ziemi prześciera się w inny świat: brązowo-purpurowy kontynent planety pożyczony jak narmur smugami jezior i niebieskich wód. Ubrany w cieki kombinizon kosmiczny, stoisz na powierzchni planety, na nagiej skale, nad brzegiem czysto-błękitnego jeziora, pod fioletowym niebem obrzeżonym koronką radzików, szarych chmur, jak obłok spalin za odrzutowcem. Dwunastu innych ludzi w kombinizonach pełza po spekaniej powierzchni skały, jak mrowki po gnacie.

- Trup - mówisz. - Ten świat to trup.

- Obok ciebie - opielacz śmiech.

- Po co ten grubowaty ton, Tulacz? Co nigdy nie żyło, nie może być trupem.

Kłaczysz na splechku zaoranej ziemi, tuląc w zagłębieniu dłoni zwiędłe ziarenko sosny. Niebo nad tobą jest stalowa płyta nabitą cwekami reflektorów, a masywne cylindryczne cielsko tuby pochodni analizuje wszechświat w zbiornikach wodny pokładu lotnego. Srebrnogrąta jest prymitywna klasyczna karawana pierwszej generacji. Młoda dziewczyna w zielonych szortach i koszuli ziemniaczowej, siedzi obok ciebie, naburmuszona, na syntetycznym klepsku, gapiąc się w wypukły łuk pokładu lotnego.

- Tak będę żyć, i umrę, nie zobaczysz nigdy nieba, nigdy nie przepacuję się po lesie - mówi dziewczyna. - Co ja tu robię? Po co to wszystko?

- Podsyłasz zar ostatnich węgielków Ziemi - wypowiadasz te słowa głosem starca. Strzeżesz ostatnich ocaltych form życia organicznego. Pewnego dnia twoje dzieci, a może dzieci twoich dzieci, zasieją ziarną w żywej glebie nowej Ziemi.

- Wierzyś w to, naprawdę? - pyta żarliwie, zwracając ku tobie jak słońce siłę swojej młodości. - Że najdziwniej kiedyś żyją planety?

Trzeba wierzyć. Jeżeli straszisz wiarę, zostaniesz jedną z nas, w piekle, kłosemny samu stworzyl. My, urodzeni na Ziemi, jesteśmy katami życia. Nasze dzieci muszą być strażnikami życia.

Jego umysł zaś, wizja i rozwijała się dalej w nieskonczony mikrofilm na ruchomym krążku produktu tora, w jego własnym domu, na „Excelstorze”, nie opodal centrum Karawany.

Wszystko to robisz sobie sam, ty kretynie! To ty panujesz nad tą rzeczywistością, tylko zapomniałeś, że nad nią panujesz. Nie ma problemu. Nigdy nie było problemu. Jedynym problemem jest to, żeśmy tego wcześniej nie chcieli dostrzec.

- Stop! polecł D'mahl! Siedział w kokonie lotela, skąpany we własnym pocie, gapiąc się w konsolę produktora, rycząc ze śmiechu, czując, jak, poczynając od czubków palców przesywa go siła własnej pochodni, ożywiający wyczerpane ciało.

Śmiejąc się, posuwał blokadę z banków efektów. Na co komu planety? Na co komu życie poza tym zarażeniem, który sam nieśmiemy? Na co komu w ogóle prymarna rzeczywistość?

Realite, c'est moi! - wyszczał D'mahl. Mówił to już kiedyś, ale nie znał jeszcze wtedy pełnej wagi własnych słów. Bowiem na swoich skroniach dzwigał nie koronę cierniową, lecz koronę stworzy. Cofnął łasne o parę stop i raz jeszcze zanurzył się w pusiei, usianej gwiazdami czerni. Rozesmał się.

- Niech się stanie światło - poleciał. I oto firmament zadrzał i stało się światło.

- Stop! polecł. I pochylł się nad produktorem. Począł rzeźbić z prozmi kolejny fragment własnego znaczenia.

*

Twoje pole widzenia wypienia jaskrawe, złote światło, a ciało twoje przenika rozkoszna ciepła poswała. Światło cofa się od ciebie, az nareszcie staje się czymś, czego oko ludzkie zniesć nie potrafi. Płazmatyczny sercem pochodni, które zdaje się biec i pulsować jak żywe ciało. I oto sędzisz okrzykiem na tym fienkowalym plomieniu, plomien roztarła się między twoimi nogami, a jednak to ty w ujęz dzasz, poprzez galaktykę nienaturalnie wypełnioną gwiazdami, poprzez płonący firmament chwalebny. W miarę jak łecisz coraz szybciej, w miarę jak cepła poswała w twoim ciele przybiera na siłę z każdym uderzeniem pulsu pochodni, w poprzek gwiazdnego pola zapalają się ogniste litery, wysokie na kukał tal świetlnych:

JEŻDZIEC NA POCHODNI

Autor: Jofe D'mahl

Kroczyś w ekstazie, a wszechświat eksploduje w krzysiatkowe pasma światła.

Starzec o długich swych włosach, ze zmierzwioną siwą brodą, stroiny w starodawna wyświechłana szale, siedzi na puszystej białej chmurze, dębując w czerwonym krągłym nosie. Spod krzaczastych białych brwi spoglądają dziko wściekle oczy, w prawej dłoni półskupie wiązka błyskawic. Na nasiedniej chmurze siedzi Szatan w schłodnym czerwonym fracku, czarnej pelerynie, z futarem pod spiczastą wandykowską brodką. Jego skóra ma barwę zielonego jabłuszka. Szatan cmi koniec swego długiego, kretowego ogona co jakiś czas wydmuchując kłębki lawendowego dymu o zapachu siarki. Obserwujesz tę scenę nieco z góry, wdychając zabłąkane opary Szatana. Dają one umiarkowane euforyczny efekt.

- Hioh, Hioh - mowi Szatan. - Czy nigdy się nie zmęczysz gładzeniem o tym capie? I czego on właściwie dowodzi?

- Ze moje stworzenia kochają mnie bez względu na to, jak obficie zarzucają go gównem - odpowiada starzec. - Jakos nie widzę, żeby na twoją część wznieśli kaplice syksyńskie, żmiju.

- Z ciebie to nieczy kawał sadysty, stary satyrze. Powinieneś grać po mojej stronie.

Uważasz, że bym nie umiał? Za takiego się masz super-ziego? - Starzec wstaje, rycząc gromam, potrzasał sznupem błyskawic. Zauważ skonczę z tym baranami, będą skamleć o łaskę do ciebie. Tak czy owak, ja jestem największy Pamietasz, jak załatwiłem Egipcjan?

- Dnieśc gównianych pąg i scenka z topleciami! Amatorszczyzna i tyle.

Tak? Tak? - piekli się starzec, ciskając gromy jak popadło; oczy latają mu jak oszalałe wrzeczona. Ja ci pokaze, kto tu jest głównym pochodniowym! Ja ci pokaze, kto to jest Pan Bog Allah Jehowa, Krol Wszechświata!

- Doprawdy? szydzi Szatan. Coś ci powiem: chcesz przerobić zakład o Hioda na podwojną sławkę do zera?

dogoniła chłodną jasność umysłu, do osiągnięcia której potrzebował w czasie realnym nieokreślonego okresu dezorientacji i lęku.

Był Był w próżni Poruszał się, a wszystko inne trwało w bezruchu. Kształt własnego ciała postrzegał jako białe oddzielające jego rzeczywistość wewnętrzna od nicości na zewnątrz, wszystko inne zaś pozbawione było granic i bion, po wieczną przestrzeń i czas. Poza realiami jego własnego umysłu była próżnia bez formy i końca, szczerkawo zanieczyszczona drobinami materii, człowiek zaś był jedynie przypadkowym produktem koncowym lancucha dowolnych i mierzających się poza prawdopodobieństwem zdarzeń owych nie znaczących zanekszczenia. Próżnia ani o nim wiedziała, ani o niego dbała. Próżnia nie istniała. Była wiecznym i nieskończonym nieistnieniem, które pomijało i obejmowało sobą to, co istnieje. Dłma! dowiadywał się jako ciekaw skoryj bytu wokół rdzenia nicości, unoszącej się w nicosci. - jako trójkowej anomalii czegoś, niedowolnie zagubionej w beczasowym i tworowym zawsze. Nic nie miało znaczenia, nawet samo znaczenie. Cudem było nie to, że życie powstalo zaledwie raz, jeden w tej bezgranicznej matrycy niebytu, lecz że w ogóle powstało.

Cza ma próżnia, bezsensownie upstrzona niedosiecznymi gwiazdami, wewnętrzne lekiwe skurcze jego własnego ciała, dogłębna świadomość otaczającej go lokalnej, puski, trwanie bez czasu. Gdy się tu raz dotarło pomyślał D'mahl! to co dalej? Pytanie tak zadane stało się śmieszne, gdyż tutaj w próżni nie było do czego adresować pytań - jedynie do siebie. Nie było co poszeregac, jedynie nieobecność poszeregania. Nie było co poszeregac. Nie było nic, Nie było.

D'mahl unosił się w fizycznej nicosci i próżni umysłu, oczekując na upragnione objawienie transcendentalne. Oczekując na ob awienie Oczekując Orzeku! Po jego umysle sugaly się gry, kurdy tak cze kal w nieobecności zdarzeń, w nieobecności znaczącej percepcji, w nieobecności wymiennego czasu, w nieobecności doskonałej. Spróbował na nowo ustalić rachubę czasu, licząc uderzenia własnego piersi, ale szybko stracił rachubę i w ogóle zapomniał, co robił. Spróbował wybrazić sobie naturę tego, czego szuka, nie musiałby szukać. Spróbował pospekulować na temat ego, co leży poza nieskończoną nicoscia, która go otaczała, ażeby ustalić jakieś ramy metafizycznego otoczenia, lecz każda koncepcja zawałata na zawsze w niedosiecznych obszarach matematycznego belkolu. Spróbował zanurzyć się do cna w samą nicosc - i stwierdził, że już tam jest.

★

Gry wyparowały z jego świadomości, a z nimi sama możliwość gry, i stał się jedynie punktem widzenia uwiecznionym w próżni nie-danych. Czerni przestrzeni nie mogła już być poszeregana jako kolor, gwałdy zaś stały się odbłaskami stały siatkówkowej. Wzrok i słuch były w tej absolutnej rzeczywistości zapomnianymi pojeciami, skoro jedynie dane zmysłowe stanowiły szumy w samych systemach zmysłowych.

Mysł też zarzęta oddalał się w zapomnienie, w ślad za zmysłami, aż wreszcie nie zostało nic prócz ośrodka bólu w przepastnej i nieskończonej nicosci, głucha mantra nudy tak totalnej, tak absolutnej, tak pozbawionej kontrastu, że tworzyła świat kosmicznego bólu.

Nie, nawet nie bólu, gdyż ból byłby tutaj radośnie witana ulga. Coś gdzieś pojeżdżało. Coś nigdzie pojeżdżało. Nic nigdzie pojeżdżało. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego go? - skrzyżło się, Dlaczego nic mi się nie dzieje? Dlaczego nic się nie dzieje? Dzieje... dzieje... dzieje... dzieje... dzieje...

Próżnie rozdarł krzyk umysłu.

- Po co ja to sobie zadaje?

Był umysł, który chłostał sam siebie. Był umysł, który chłostał sam siebie za własną głupotę. Było zdarzenie mentalne, była treść, była forma.

Był umysł Jofe D'mahla, unoszący się po wieczność w nieskończonej nudzie Umysłu, który szydził sam z siebie.

Ty sam to sobie zadajesz, gupku! - swiadał sobie D'mahl! A wraz z tą swiadoscia, bezsensowne wzorki na siatkowcach jego oczu rozwinięły się w obraz galaktycznej czelusci, usiany gwiazdami. W

Dziewczyna patrzy na ciebie zinnymi bezdennymi oczami. Tulacza, a twarz jej wiednie w pergamin starzej rozpacz.

Dla dobra naszych krwią splamionych dusz? pyła, po czym na nowo staje się młodą dziewczyną.

- Dla własnego dobra, dziewczyno, dla własnego dobra.

W stanie nieważkości unosisz się nad kręgiem Karawany. Stałki ustawione w sztyku kolistym stanowią lagune światła w bezkresnym morzu czarnej nicości. Blżej czola Karawany, czelusc międzygwiezdna krępi się za zasłona muslinowej swietlosci to błona wodorowa, w której połączone wał białze pochodni stałkow Karawany tworzą stałą zapórę przeciwko rozrzedzonej atmosferze międzygwiezdnej. Stałki Karawany są, uz co prawda unowocześnie i przystosowane to tworzenia błony wodorowej, ale są to nadal poprzerałone frachtowe asteroidalne - a więc najwięcej Karawana Roku 150.

Lecz wewnątrz wienca stałkow przyszłość szykuje się już do odpalenia. „Latający Holender” pierwszy stałek-pochodnia wybudowany w ratosci w Karawanie z materiałów użytych przy przetworzeniu z materii międzygwiezdnej, dryfuje przed łobą w przesłrzeni, otoczony owadziim rojem szalup oraz tłumem mężczyzn i kobiet w kombinizonach proznowych. Czysty, gładki cyander, poznany pierścieniami okien pokładow, wygląda wręcz niesłownie postrod rupieciarni stałkow pochodni pierwszej generacji - jak intryz z przyszłości.

Wiem z rury wydechowej „Holendra” dobywa się eteryczny purpurowy ogień i pierwszy stałek zrodzony w Karawanie budzi się do życia.

Obok „Latającego Holendra” pojawia się drugi stałek-pochodnia, po nim trzeci, i jeszcze jeden, i jeszcze cztery, aż w końcu lecba nowych stałkow powstałych w Karawanie, przekracza liczbę zmodyfikowanych frachtowców, asteroidalnych, a średnica błony wodorowej zwieksza się niemal dwukrotnie. Powierzchnia wewnętrzna Karawany jest teraz przestronnym dziedzińcem dla stałkow-pochodni, szalup, ludzi w kombinizonach i rozlanczonych światła cywilizacji.

Stoisz na rampie lustrują z góry pokład rolny rzadk lasek małych sosronek i debow, łachy zielonej trawy, kilka grządek kwiatów. Nad łobą widnieje aureola bielekiego ziemskiego nieba z barankami białych oboków. Ziemi orywy w tradycyjnych zielonych strojach krąży z namaszczonym po całym pokładzie, pielęgnując delikatne formy życia, mierzając ich wzrost. Twoje nozdrza przepchnięta kadzidła woni swietłości.

Siedząc przy okrągłym symul-marmurowym stoliku na tarasie kawiarni w połowie wysokości kopuły zewnętrznej, na pokładzie rozrywki, popijając ze szklanki symul burgunda. Posadzkę w dole otacza pierścien sklepów i restauracji, promieniste połączone pasażami w wewnętrzny pierścien sklepów okalających centralny trzon pochodni. Każdy powstały w rezultacie tego podziału wycinek pokładu ma inny kolor i każdy wabi inną formą rozrywki, basen, muszla koncertowa, parkiet zero grawitacyjnej dyskoteki, wesole miasteczko, mglisty labirynt. Gwar narasta. Gra muzyka.

Naprzeciwko ciebie siedzi Tulacz w zielonym stroju ziemiorzycy i z gorzko pogardliwą miną.

Patrz na nich, mowi. Zbliżamy się do nowej planety, a oni nawet nie pamiętają, gdzie są.

- A gdzie są, Zbiegu?

Kłoz miałby to wiedzieć lepiej niż ty Holendrze? - odpowiada on, a ludzie w dole stają się przetrzyczci, kopuły znikają, ty zaś patrzysz na dowolnowy tanczące po zawieszzonej w czelusci międzygwiezdnej platformie. W całym tym bezmiarze nie ma już nie żywego, nie wterej się nie porusza. W gardle taskorze cie szaleńczy śmiech.

Pojawia się jakas planeta, z porządku nie większa od czubka szpilki, stopniowo rosnąca w łaniata zielone brązową kulę z barankami białych oboków, aż wreszcie staje na jej powierzchni w grupie odzianych w kombinizony mezczyzn, z trudem włokących się z powrotem do macierzystej szalupy. Twarda, brunatna skala, pozylkowana pasmami zielonkawych minerałów, pod granatowo-czarnym niebem upstrzonym pastelowymi chmurami. Jesteś z powrotem na tarasie, patrzysz na widma lanczące w bezkresnej galaktycznej nocy.

- Co powiesz, wielki admirał, kiedy pierzchnie wszelka nadzieja? - pyta Tulacz.

Jestes na dole, wśrodk widim, wyrosnięty na dziesięć stop, jesteś olbrzymem, który wygraża piescią czerni i martwej planecie, który wyciem rzuca wyzwanie wiecznej nocy.

– Żędować dalej! Żędować dalej! Coraz dalej!

Dosyc siałkow' Dosyc siałkow! Ziemia albo śmierć! Maszerujesz na czele niewielkiej armii i meż-
czyzn i kobiet w zielonych strojach ziemioroćow, która z dolnego pokładu wdziera się na pokład roz-
rywki, dzierżąc krzyżce owinięte symul listem winnej latorosli. Każdy okrzyk wója ci gwoździ w nad-
ciastki

Prrowadzisz karnawałowy pochod widm w szalony taniec, poprzez pokład rolny trapiąc «ruche
złazki życia, śniąc złote i srebrne confetti, ośmiewając, garscie klejnotów lup z podroży pochodni
przez plankton międzygwiazdny.

Winda zjeżdżasz w dół przez kolejne pokłady siałku. Pokłady rozrywki, pokłady mieszkalne, pokłady
produkcyjne, pokłady filtracyjne – wszystkie z wyjątkiem sieworniczego i wartowniczego – pokryte są
brudnym syntetycznym klepeksem i przekształcone w teren symul rolne. Plony są rachityczne, w
powietrzu unoszą się chemiczny feler, powierzchnie metalowe zaczęta rżnąć i ludzie w zieleni
mają przygarbione plecy i zapadnięte oczy doszczętnie opętanych. Wszędzie widac oplecione winoroślą
krzyżce.

Winda innego siałku unosi cie do góry. Tutaj aparatura jest w dobrzym stanie, powietrze czyste, kopuły
lśniące, a pokłady skapane w świetle, gwarze i przepychu symul-rubinu, -szmaragdów, szafiru i -dia-
mentu. Ludzie to rajskie plaki w lustrzanych strojach, symul aksamiłach i jedwabach o luksusowych
podcierniach i wzorach, strojni w pióra, skóry, złoto, srebro i mosiądz. Zdają się jednak poruszać w jakimś
nienaturalnym rytmie, jakby lańczy szalonego jęga pod melodię widmowego grafika, a ciała ich mają
przezroczystość niespolaryzowanego pleksi.

Unosisz się nad samym centrum Karawany – za toba siałki zrodzone w Karawanie tworzą pokolisty
wielkiadom o świetlistości klejnotu. Przed toba dryfuje „Tulać”, a za nim procesja siałych zmoćykowa-
nych frachłowców asieroidalnych, rozklekotanych do cna, przez których luki przesweca blade zielo-
nosc.

– Twoje ogrody umierają, Tulać.

– Twoje między nie znaly zycia, Holendrze – odpowiada on, a ty poprzez własne szkliscie ciało, poprzez
siałki-widma za plecami, widzisz gwiżdzy i prądnie.

W przestrzeni między wami pojawiają się dwie srebrzyste opaski na głowe, czemu towarzyszą tan-
tary i złota aureola swiada. Duze, toporne, nie nadające się do noszenia siałe – są to pierwsze transp-
orty, prototypy cinnurkcznie wszechpianego czujnika Jarza się i pulsują jak żywe sieworzenia, jak darty
nie istniejących bóstw.

Ujmujesz jedną opaskę, śmiejiesz się, wkładasz ją na głowę Tulać.

– Przyjmij tę obręcz na dowód mojej miłości.

Bez wahania Tulać umieszcza drugą obręcz na twojej głowie.

– Oto moja korona ciemniowa, noś ją – mówi.

Stoisz na mosku siałku-pochodni, obok ciebie widmowy Hoender. Przez pleksi gwiżdzy wyglądają
jak milionowy roj ozwionych klejnotów, których wspaniałość odbija się w światłach Karawany.

Kleczysz, posród małych sosenek na pokładzie rolnym, obok Tulać, a sosenki wystrastają w las
ogalający aż po biekt niebios Ziemi utracione! Ty zaś czujesz w nadgarstkach ból po cwiakach, słyszysz
ciężkie odległego dzwonu, czujesz smutek ciała i kładzianą woń niepewelowanej strąy.

Unosisz się winda do góry, trzymasz za rękę Holendę, a mijając jeden po drugim skrzace się klejno-
tami, rozjarzone pokłady, słyszysz pomruk silników i odgłosy ludzkiego rozhawienia, widzisz kryszta-
łowe drzewa wystrastające wysoko z metalowców gleb pokładów. Ciała widmowych postaci zesiłają się,
Holendra stale się rozowa i namacalna. Kiedy zaglądasz mu w oczy, patrz na ciebie swoje własne
oczy Tulać, w których ból miesza się z dziką radością.

Płyniesz w powietrzu nad samym centrum Karawany, przy tobie Tulać, otaczające was siałki zmie-
niają konfigurację w wyrafinowany balacie – siałki zrodzone w Karawanie i przerobki frachłowców
asieroidalnych reintegrują. Karawanie w sełkach rytualnych pas de deus.

Tunelem zjeżdżasz w dół poprzez pokłady siałku ziemioroćow, widzisz, jak ich zielone mundurki
przeistaczają się w rajskie pióra noszone dotąd na siałkach powstałych w Karawanie, widzisz jak z

dzienne przypuszczoną nie znaczącym gwiazdami. Sprawiał, że gwiżdzy przestoczyć się w byle jak
poznaczone kropki na czarnym papierze i z wnętrza tego continuum papierowej torby przebił się na
zewnątrz – w czeluść.

Sięgnął po tasme wiadomości dnia z roku 708, roku w którym 557-Gamma-IV okazała się fałszywym
światłem, patrząc jak obywatel Karawany, w stylizowanych na biblijne szatach, snują się po pokła-
dzie rolnym gesto porośłym przekwitnymi kwiatami i cuchnącym od gnijącej roślinności. Wyswizlował
ich kwasne mny w zalosne blaznskie karykatury obliczy, które z wolna przemieniały się w dymne. Big
Ben wybił północ. Śiał, gołowi do skoku, na podescie u wejścia na „Bela 37”, spięły i drżący, obezwład-
niony czarnym ogrotem, w którym niebezpiecznie zawisł statek.

Fuknął z irytacją, zdział z głowy pierścien efektów jak koronę po abdykacji i zasiadł w kokonie fojela, z
niezadowolaniem patrzeć na krząk mikroświat obracający się jalowo na sztycie produktora. Wcisnął
niebelski guzik i skasował krząk Gowno, które tu monuje od trzech dni, nie asługuje nawet na prze-
chowanie pomysłu. Manipuluje bankami i pierścieniem efektów – w nic się to nie sumuje.

A czasu było coraz mniej. Wszyscy wiedzieli, że „Bela 37” powróciła, wszyscy wiedzieli też, że bule-
tynu nie ma wyłączone dalego, że Jole D'mahl ma przekazać informacje w formie senso już w swojej
niewinności i Bandoora w swe techrozowej chytrności, dobrze o to zadbał. Im dłużej trwało przygotowy-
wanie senso, tym większego rabierało ono zrzaczenia w kategoriach kosmicznych, i tym silniej rosła
wara ludzi w to, że jedyną przyczyną ogłoszenia raportu siałku zwiadowczego w tak nieodczynnym
sposób jest oddanie karmicznej sprawiedliwości nadołności szernu i najbardziej szernu wydarzeniu w
dziękach Karawany – dopisanie triumfalnego epilogu do długiej ludzkiej podróży na pochodni.

Im dłużej zatem siedział martwo w przestrzeni, jak siałek z wygaszoną pochodnią, tym dalej hrniali
ludzie po fałszywym wektorze nadziei. Tym straszniejszy będzie krach, kiedy nadejdzie, tym trudniej
skonstruować senso, które przewycięzłoby tę dynamiczną inercję i doprowadziło ludzi w kolejny
obrot straszliwej spirali. Teraz D'mahl rozumiał już, dlaczego kasta proznojadów przez pol tryśnięcia
wybierała klanstwo. A im dłużej klanstwo trwało, tym mniej możliwe stawało się obwieszczenie praw-
dy.

Jakie wyjście wybrała kasta próznojadów? Zignorowali asymptomatyczną naturę stworzonego przez
siebie potwora Frankenstein'a i oddali się próżni. Dla nich rzeczywistość ostateczna była super-iluzją
eskalistyczną!

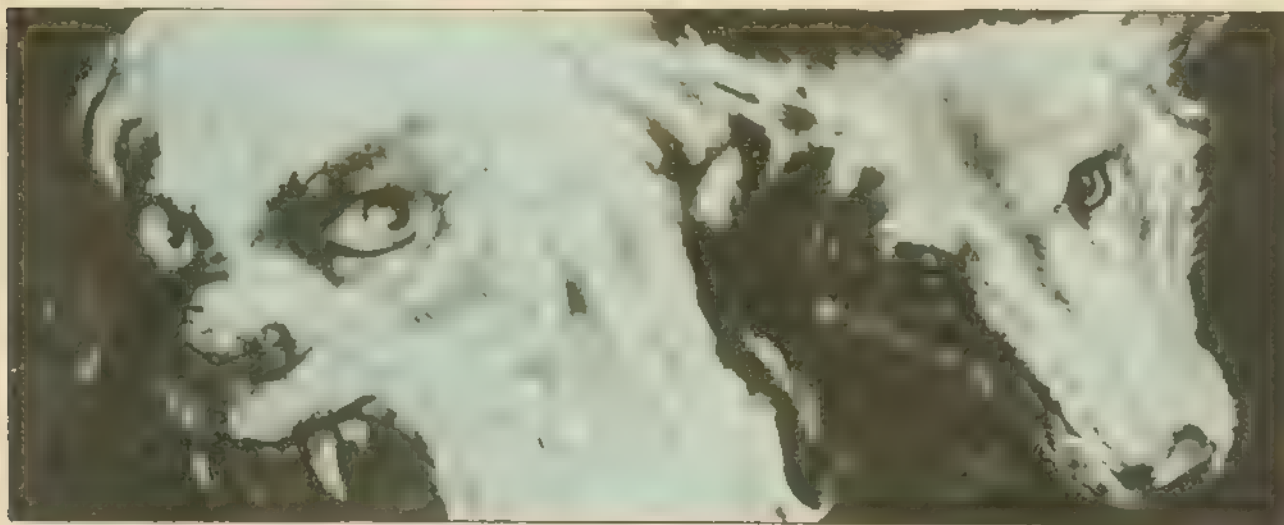
D'mahl z wściekłością winał oburacz w krawędź konsoly produktora. Niech będzie co ma być,
jeżeli wszystkie wektory prowadzą do próżni – próżnia musi być rdzeniem i tak nie mam lepszego
matematu. Pojde do centrum i nie wyjde ślamą, póki nie poczuje w garsci bicia serca tego senso.

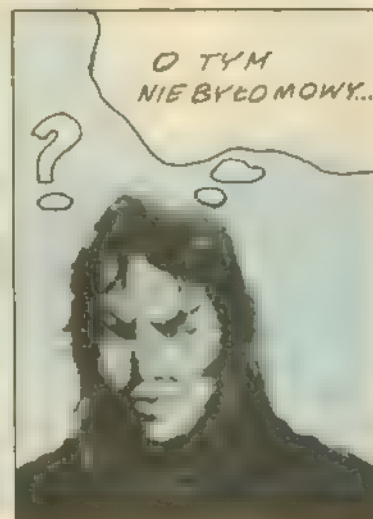
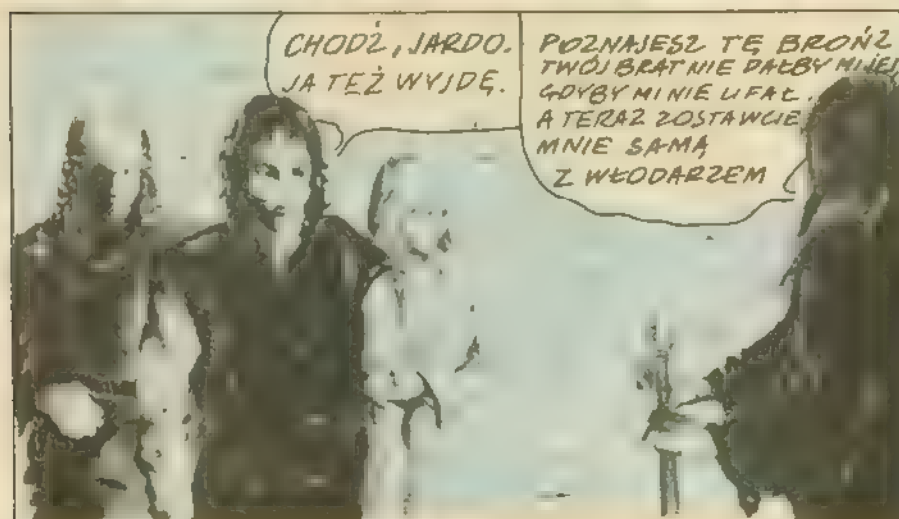
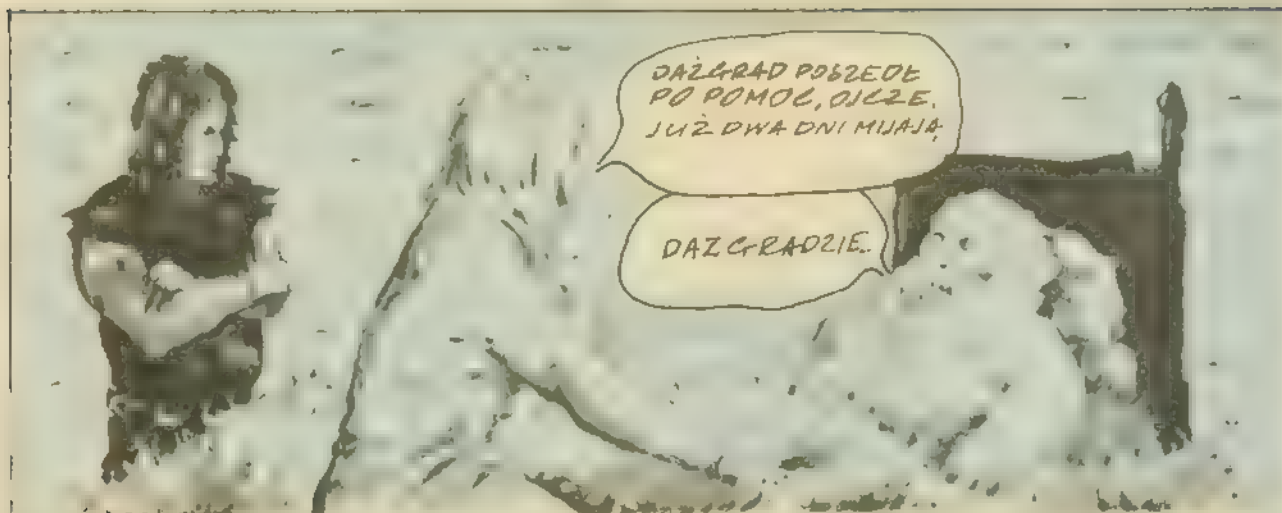
Umiescił krząk proznośsania w playbacku pomocniczego produktora i zaprogramował aparat na
replay ciągły. Z początku ustalił długość programu na limit dwudziestu czterech rodzin standardowych,
ale zmienił zdanie. Nie, pomyślał, muszę mieć pełną władzę nad tym materiałem, żadnych ograniczeń.
Do pierścienia efektów wprowadził polecenie „stop”, na wszystkie inne programowanie efektów nawo-
żył blokadę, i dopiero wtedy umieścił pierścien na głowie.

Teraz będzie mógł obejrzeć swój materiał z próżni jak oryginalną, nagą rzeczywistość, mając jedynie
możliwość zastopowania ciągłości przekazu, lecz bez przyłączonej senso-producentowi władzy zmie-
niania rzeczywistości i nie użycie stopu, póki nie bede mógł wrócić z tym, co mi potrzebne. Obierał
sobie, uruchamiając czucie na krząk proznośsania. Wpocę tylko pod warunkiem, że będzie to znów
powrócił na mojej własnej pochodni.

Był niesmierzelnym embrijem dyfuującym swobodnie w wietcznym tonie uniwersalnej czeluści, a
miliony gwiazd były drobinkami emanującej światłem materii, oddalonymi odem o wieczność przez
przepasne jary absolutnej nicości. Wszelchoberna czem była totalna nieobecnośća wszystkiego – świat-
ła, ciepła, dźwięku, barwy, życia, rozciągnięta w dal, bez granic, które nadadłyby jej kształt, bez naj-
mniejszej szczeliny, która nadadłaby jej znaczenie. To była próżnia, a on był w niej.

Ku swemu zdumieniu, D'mahl stwierdził jednak, że umysł jego tym razem natychmiast ogarnia bez-
litosnie prawdziwą koncepcję rzeczywistości, bez pomocy iluzji, jedynie przy udziale wrzecionia soma-
tycznego i leku zarejestrowanego na tasme sensorycznej. A nawet i one rozwiły się, gdy pamięć tasmy





ODPĘDZĘ DEMONA, KTÓRY CIĘ DRE-
CZY. SAM GO NA SIEBIE ŚCIGAŁ-
ŁEŚ, PAMIĘTAŚ? TEN AMULET,
KTÓRY ZŁUPIŁEŚ KIEDYŚ W OR-
WAŃSKIEJ ŚWIĄTYNI...
DAS MI GO,
A ULECZĘ CIĘ,

KIM JESTEŚ?

NIE!
DOBTANIE GO DĄZGRAD
NIKT INNY.

"TYM CZASEM..."

SZORD I WIELU INNYCH
NIE DOBĘCHĄŁ WĄS,
PANIE, MÓWIA, ŻE WINNI SĄ
WIERNOŚĆ DĄZGRADOVI
JAKO PIERWORODNEMU.

OTO TWOJE SRE-
BRO. WEZWIJ
ICH DO MNIE.

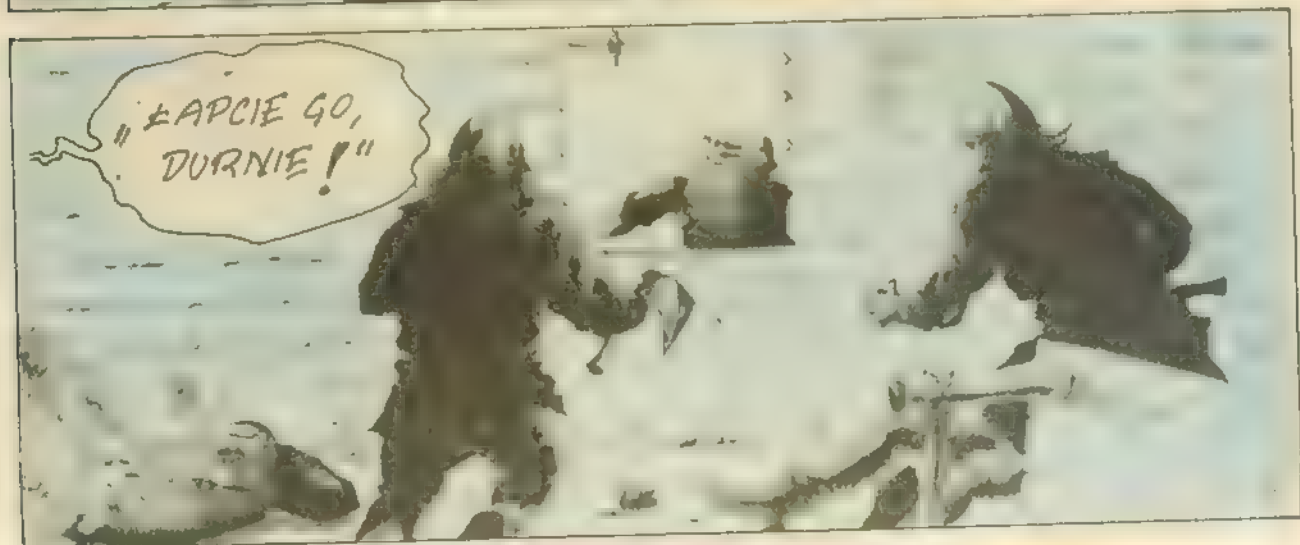
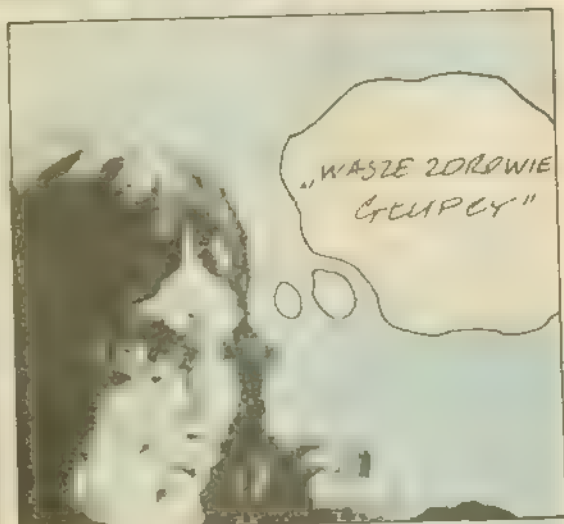
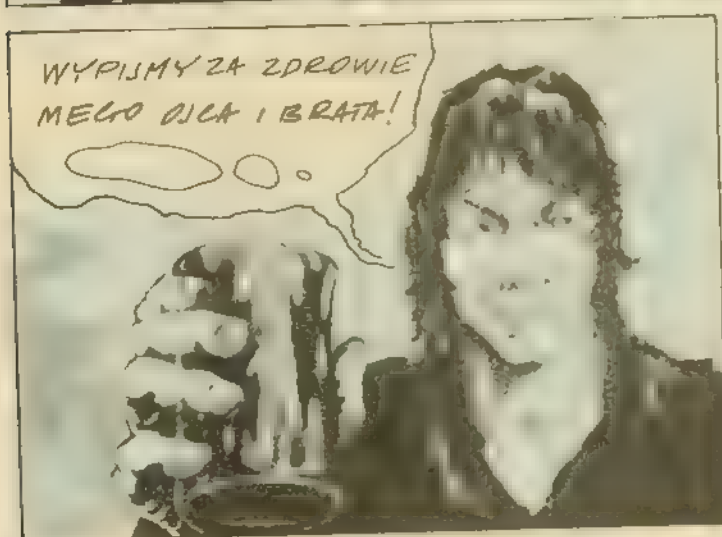
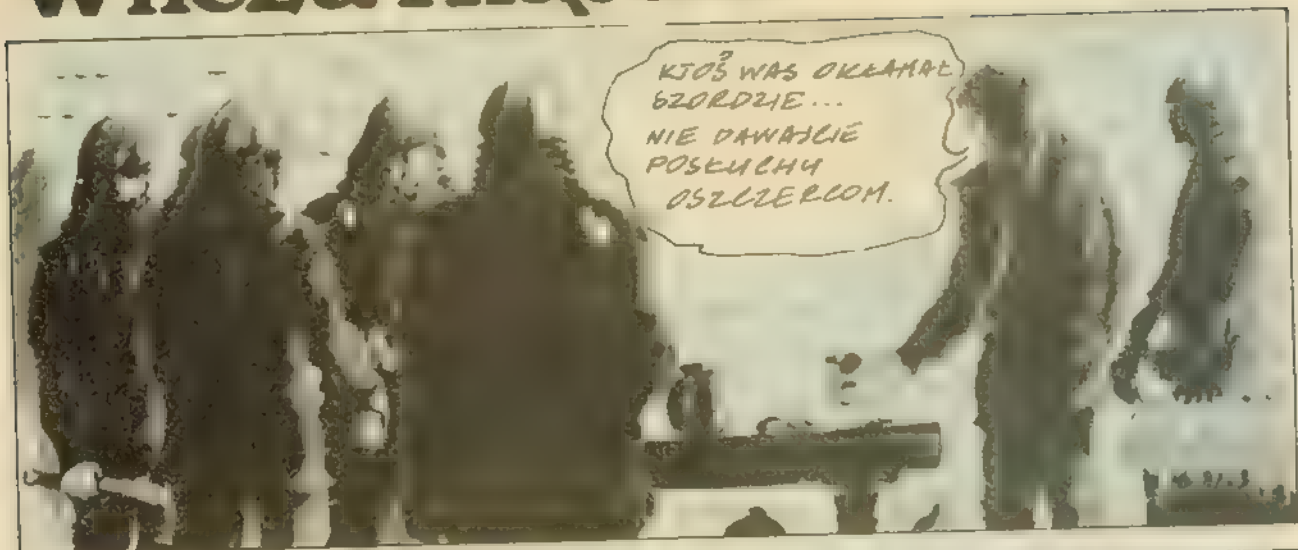
CZY CHCESZ MI COŚ
PZEC, WŁÓCZNIÓ?
GDYBYM MOGŁA
CIĘ ZROZUMIEĆ...

OO

OO
NIE MA STRAŻNIKÓW?
NA SZARGA COŚ ZŁEGO
SIĘ TU DZIEJE.
MUSZĘ ZNALEZĆ
DĄZGRAD.

"DROWADŹ MNIE,
WŁÓCZNIÓ...."

Wilcza Kłatwa



D mahl spojrzal na nią, na nagie piersi uniesione strzelisze ponad bialo-czerwoną tkaniną, dumnie aniające nad syntetycznym prymitywizmem, który sama stworzyła, nad próżnym, żalosnym marzeniem, które nigdy się nie spełni i przez dłuższą chwilę miał wrażenie, że jiz zrobiona jest z cienkiego szkła, które rozsypie się w okrucy na sam dźwięk jego głosu. Cała galeria, cały pokład dwunasty, cały „Brigadon”, cała Karawana, wydały mu się dymnymi obłokami, które można rozwiązać jednym non-załadunkim machnięciem ręki. Poza nim i w nim, prozria natrząsała się z żalosnych zjaw, które tak bardzo starały się istnieć naprawdę. „Jak mam jej powiedzieć?” – pomyślał D mahl. „I po co? Po dia-ła?”

Nic takiego bąknął niezdaranie. - Nie zachwyciła mnie chyba myśl o dorastaniu. Za dużo we mnie łana, za mało Piotrusia.

Jiz rozemiała się, wyjaśniwszy za pomocą kontaktu do banku poltrojny żart D'mahla, i niebezpieczny moment jakos przeszedł. D'mahl czuł jednak dystans jaki się rozwarł pomiędzy nim a jiz, pomiędzy nim a Karawaną, pomiędzy rzeczywistością a iluzją. Czy to właśnie znaczy być próżniakiem? - zastanowił się. Jeżeli tak, to lepiej się przeprogramować na lewą stronę!

Ale ty tam przecież byłeś, Jofe - powiedziała jiz, wracając do niego z drugiego końca galerii. - Odczytywałeś fale czolową sondy, zajrzałeś przez bramy Edenu! - jej oczy skrzyły się, ale D'mahl za ukretem ich blasku widział jedynie próżnię. - Czy są tam morza pełne ryb i niebiosa pełne ptaków? Zielona trawa? Kwitnące rośliny?

- Dzenie men nie zdradza sekretów - zrobił unik D'mahl. Co ja jej powiem - że zielona trawa to sole niedziwe, że morza są niebieskie od ryjanku, a niebo pełne trucizny? Poczł większą niż dotąd sym- iate dla próżniaków. Jak można zyc, mając ludziom do powiedzenia tylko takie prawdy? Jak można - iść byc aniołem śmierci?

- Jofe!

- Nic nie mogę powiedzieć, jiz, dałem słowo.

Nie wygłupiaj się, w jaki sposób próżniaki, czy Rada Pilotów, zdołaby wydusić z ciebie taką obietnicę?

Z niebyszałym wysiłkiem D'mahl wymalował sobie na twarzy łagodny uśmiech; głębokie zmarszki mimiczne wyglądały jak pęknięcia na szklanej masce.

- To jest właśnie ten kwik, który płacę za ich pro quo, mój prosiaczku - odparł.

- Nie powiesz mi chyba...

A właśnie, że powiem. Myślisz, że siedziałbym tam inaczej tak długo, a potem pozwolił, żeby jakiś sam oschł jak Luna biuletyn pozbawił mnie głównej roli? Żadnych biuletynów 997-Beta-II-Eden to moje nowe sensa.

Jiz podskoczyła i pocałowała go w usta

- Spodziewam się, że najlepsze!

D'mahl przytulił ją przelotnie i poprzez burzę jej włosów spojrzal na kolekcje prostych glinianych naczyń na orzechowym kredensie przy ceglanymin kominku. Zadrzał, gdyż poczuł próżnię w każdym atomie, w każdej cząsteczce materii tworzącej te symulacje umarłej na wieki przeszłości w przyszość, która nigdy nie nastąpi. Był teraz skazany na zrobienie tego, jedynym wyjściem było przez to przebrnąć, a przecież wziął na siebie obowiązek znalezienia takiego wyjścia.

- Mam nadzieję, że najlepsze - odparł. - Mam nadzieję.

D'mahl był w ciele Arica Moreau posrod tłumy smiertelnie poważnych ludzi w obrzydliwych samodziach, walesającego się nieprzytomnie po gestach szpaterach sosnowych młodniaków na pokładzie „Polany”. Tutaj nie silono się na żadne symule. ziemiorycy zapamiętali hodowali las z myślą o przetransportowaniu go na nie istniejące zyczne gleby Edenu. Podobnie jak na innych pokładach rol-nych, które wyczuwał, tu także funkcjonalność brała górę nad estetyką. Wściekły, puseł z gory deszcz ekskrementów, zmienił modny neo samodziawowy stroj na obmierzłe drelichowe szmaly, a na dobitkę dorzuć jeszcze kilka gniewnych piorunów z błyskawicami.

Przećł ten fragment sprawozdania „Beli-57”, w którym hologram 997-Bety II wisiał jak przejrzały owoc w samym centrum mostka kapitańskiego statku, a na linii równego podziału umiescił jezor i usta, utrzymując efekt wielkiej, soczystej maliny. Płynął w próżni, opadając bez końca w bezdenną czarną

metalu znika rdza, widzisz kryształowe altanki, migotliwe labirynty i bulgocące potoki, dzięki nagrobki smutku przemieniają się w ogrody radości.

I siedzis naprzeciwko Holendra przy okrągłym stoliku na tarasie kawie- i polowie wysokości kopuły pokładu rozrywki. Centralny trzon pochodni jest gestu obrośnięty win- Basen, muszla koncertowa, migotliwe labirynty, parkiety do tanca i karuzela, rozproszone są te zielonej bujnej łące, w cieniu sosen i debow. Kopuły i górne pokłady rozciągają się, a ogrodowa pozostaje wszystkim, co jest, sam, obnazony, jako malenki krazek życia zagubiony w bezkresie w próżni.

- Tulamy się po mrokach duszy - rzecze Holender. - Może stoimy na straży jedyne go życia, a ogole istniało i istnieje.

- Latający Holendrzy, tulacze bez ziemi; Czyż nie ma innych bogów poza nimi?

A teraz jestes odległym punktem, widzenia na krazek życia, który dryfuje w bezmiarze prze- widzisz, jak Karawana oddala się, aż w koncu pozostaje z niej jedynie jeszcze jeden abstrakcyjny ma- swielny na tle galaktycznych ciemności. Na bezkresnym gwiazdzistym polu bładym ogniem ma napis:

WĘDRUJĄCY HOLENDZCY

Autor: Jofe D'mahl

W gwarze, który się poniosł po grand-salonie Jofe D'mahl pobrzmiwała wyrazna nutka grze- Apiauz uirzymywał się słosownie długo (lecz nie dłużej), po czym wszyscy na stołco, wrócili do rozmow, jak stado wielobarwnych ptaków cwiatających po lesie z drogich kamieni.

- Wyrażnie widać było zarzasy kontynentów, a te zielone płaszczyzny - to może być roślinność - Hel, no tak, ale czy zdołamy oddychać przy tej ilości helu?

Stojąc pomiędzy jiz Rumoku a Bandoora, Jofe D'mahl znalazł się w irytującej roli punktu po- trum uwagi. Oczy gości co chwila popatrywały chyłkiem w ich stronę, szukając Bandoory, leca- nie osmieliły się zatrzymać na dłużej, gdyż obok próżniakada stał Jofe D'mahl, bliski wybuchu, w którego płoń zar zdolny słoć plexi

Sam Bandoora za to patrzył prosto na niego i D'mahl poczuł nieznaną sobie osrodek obrego- pulsujący ku niemu z głębi nieprzeniknionych oczu tamtego.

Przykro mi, że Biuletyn Pilotów osłabił sukces paskiej premiery - powiedział Bandoora.

- Doprawdy? - syknął D'mahl - A co każe panu sadzić, że pański drogocenny belkot jest aż te- ny? - dorzucił, już głośniej. Teraz już goście nie mieli powodu do odwracania wzroku: D'mahl dopraszał się uwagi. Wy, łachmyty, oczekujecie od nas zachowań godnych psów Pawłowa, wyskoczyć z nowym gównem, które wygląda na możliwe do zasiedlenia. Wszysko dobrze, dop- zbliżycie się na taką odległość do swojego odkrycia, żeby na całego porzuc trupi fetor gazow skały. Twoj belkot, Bandoora, jest jak nova, która zryje pół roku. Szuka jest wieczna

Wieczność może trwać dłużej niż się panu wydaje, D'mahl odparł spokojnie Bandoora. W zupełności się z panem zgadzam. Bardzo się wzruszyłem og adając „Wędrujących Holend- Czyżby to ły zamgły jego wzrok? Być może bardziej, niż jest pan to sobie w wyobra- zawodach jego nie było, zdaje się, żadnych wspólnych reguł.

- Chciałbym przeprosić za zakłócenie premierowego wyczucia wybitnego dzieła sztuki - doora - Dam panu szansę zrobienia największego sensa w paskiej karierze, D'mahl. - Na je- wypetził niki uśmiešek, oczy były jednak tak poważne, że niemal komiczne.

- Co każe panu mniemac, że pan właśnie może mniej czegos nauczyć na temat sensosów? ironicznie D'mahl. - Może za chwile poprosi mnie pan o wygłoszenie wykładu z próżniassan- grand-salonie przeleciał zbiorowy chichot.

- A może już go pan wygłosił, panie D'mahl - rzekł Bandoora. Odwrócił się i ruszył przez ko- mgi, wśród kryształowych drzew, w stronę przezroczystej kopuły z plexi osianającej wielki- Obejrzał się przez ramię i poprzez tłum przesył D'mahla wzrokiem. Nie znam się na sensos-

mogę pokazać panu rzeczywistość, wobec której wszystko, czego pan w życiu doświadczyl, zblednie do zera. Te rzeczywistości proszę zarejestrować na taśmie, jeśli się pan ośmieli.

Wszyscy wstrzymali oddech.

- Ja ośmieli - eksplodował D'mahl. Kogo ty chcesz nastrozyć swoim takim spektaklem, Bandoora? Jestem Jofe D'mahl, jestem największym artystą swoich czasów, jedźcem na pochodni własnego Osmelli. A ty myślisz, że co ja mam innego do roboty, jak się ośmielić, ty niedany robaku? Czy nie dołarto do ciebie nic z tego, czego przed chwilą doświadczyłeś?

Bandoora odbrnął do ściany kopuły i odwrócił się; jego sylwetka rysowała się wyraznie na tle gwieździstej czerni, z rozlatującym wieniecem słatków w dalekim tle. Jego oczy zdawały się czepać z owej czerni bułą energię.

To nie teatr, D'mahl - powiedział. Żadnych komputerowych czujników, żadnych sensosów, żadnych iluzji. Nic z tych rzeczy, którym wy tutaj żyjecie. Rzeczywistość, D'mahl, Prawda. Tam Naga Proznia.

Obrocił się profilem i wciągnął prawe ramię, jakby chciał nim objąć ciemności.

Lec z nami „Bela 37”, D'mahl. Lec z obnazonym umysłem i niczym więcej, tam, gdzie nie ma nic tylko ty sam i wieczna proznia, „Wędrujący Holendrzy” celnie ją ukazują, jak na sensu człowieka, który tworzy symulę. A co zrobilibys z własnej łasmy sensorycznej prozni, gdybyś otworzył się ja zarejestrować przez własne, zwałe ciało? Czy ośmielisz się, D'mahl, czy się ośmielisz słaniać własną nagą duszą wobec prawdy prozni?

- Jofe...

D'mahl zniecierpliwionym gestem odsunął Jiz.

- „Twojy symulę” ryknął kłapać z wściekłości. Czy się ośmielił! Rzeczywistość grand-salonu, nawet policzek wymierzony mu na oczach gości, szczyły w białym ogniu wyzwania, wobec reklamy, która Bandoora ciskał pod stopy jego duszy, „Ja mogę się z tym zmierzyć, a ty? Czy naprawdę zdołasz wycofać zwałe szluka z martwej prozni, nie z metafery nicosci, lecz z samej nicosci, w malarstwie, w czasie realnym? A może ty symulujesz? Może jesteś hochszlapiem?”

Mówiłem ci już, Bandoora, syknął przez klepy wściekłości - że jedyne, co mam do roboty, to śmieć się.

Goście wydali głosne ooooh i, Jiz pokrecia głową, Bandoora sklonił się lekko i usmiechnął. Jofe D'mahl odczuł jak przez grand-salon i przez niego samego przelatują fale przemiany, lecz ich charakter i wektor przekraczały poza zdolność pojmowania jego umysłu.

Rozdział II

Przeskakując „Excelsiora” na „Brigadoon” przez zaloczonej sektor centralny karawany, Jofe D'mahl ożeniał wrażenia, że balon emocji, w którym poruszał się od bankietu z okazji premiery, był bardziej amacalny niż przezroczyście, mgoliwne sciany pechtera proznowego, w którym obecnie się znajdował. Dramacie powłoki scian widoczne było tylko jako nikiły parawan pomiędzy łwardą proznią kosmosu kula powietrza zawartego wewnątrz pechtera, za to odbior tego osoby widac było na wszystkich wierzach, które nijał. Tak często wyczuwał go ludzie, których nie znał ani przez sens, ani celesnie, ze uszczon był w końcu posłajpic o 180° wobec własnego wektora, wczuć w swoje banki, program osiatałacy, który odrzucał sygnaly wszystkich osób spoza możliwej do ogarnięcia listy akcepowanych. Nawet tułej, posłód wydełych pecheryz pływających od slaku do slaku, czy też po prostu wałesaa się po przestrzeni, D'mahl czuł, że byszyć jasniej niż cały wieniec slaków-pochodni, jasniej nawet niż sama błona wodotorowa, gdyż większość ludzi, których trajektorie biegly w zasięgu jego wzroku, wiała go ukłoniami lub pełnym szacunku spojrzeniami.

To nie miał w pełni wyrażadziło mu zawoć, pływający ślad, że przyczyna rozbyśnięcia jego nowel nie „Wędrujący Holendrzy”, ale publiczne ogłoszona decyzja o smach m. zamiarze spędzenia sześciu standardowych miesiecy z proznojadami, z dala od Karawany z dala od kontaktów czuciowych z banem, w samotni własnego umysłu i ciała, jak prymitywny człowiek przedczujnikowy. Podobny efekt osiągnął swego czasu Walker Nan Pei, ogłaszając z miesiecznym wyprzedzeniem, że publiczne popieni

jącej gleby; słychac było nieustannie plasie nawoływania i meokresione szelesy przemyskających się zwierząt.

Galerie Jiz Rumoku stanowią teraz pojedyncza obszerna komnata z wydrążonego symul-pnia drzewa, które mogłoby urzodzić za niebawących rozmiarów sekwoje, nad galeria zaś mieścił się zagrębny strzysek - obecne mieszkant, Jiz, o ścianach i podłodze z kłód symul-sekwoi. Przez sufit biegly ciezkie drewniane krokwie, a na kominku z czerwonej cegły mgolił i huczał pomarańczowy ogień. Eleganckie symul-orzechowe stoły i kredensy w czystym estetycznym stylu Shakera, służący do ekspozycji reprezentatywnych rzezo w drewnie, glinianych naczyń bialo-niebieskiej ceramiki, niewymyślnej biżuterii ze złota i srebra wkliniowych koszyków i zwierzalek neo rzeźne tkanych materiałów. Po całej galerii rozstawione były żelazne piecyki, koksowniki, narzędzia rzemieślnicze i plugi.

Jiz siał z niskim stolikiem ubrana w obcisła, przyłęgająca do ciała sukienkę z surowej bawełny, w bialo-czerwona szachownicę, skrojona w stylu miaoanskun, tak, że odsłaniała piersi. Pła ros z glinianego kubka.

- Jofe! - krzyknęła i przeczuła się nawzajem. D'mahl porzuł na jej skórze szorstkosć sukienki, gdy ciało jego całowało jej usta, a jego ramiona przytulały go do nie z całej siły. Smakował resztkę pywu w jej ustach - coś słodkiego, kwasowego, z lekką domieszką alkoholu. Przez kontrast, jego własne usta wydawały się twarde i naelektryzowane.

Nie wiem, od czego zacząć, powiedziała, kiedy zerwał kontakt. - Pozwól mi wyzuc szorstkę sensoryczną twojej wycieczki!

- Jeszcze je nie ma w bankach - odparł D'mahl. - Pamiętaj, że byłem odcieły.

- Racja! To niesamowite! Naprawdę będziesz mi o tym mówił, słowami?

- Wkrótce wrzucę nagrania do banków - bąknął D'mahl, zastanawiając się, czy przypadkiem nie kłamie. - A mówiąc o niesamowitościach co to wszystko ma znaczyć?

- Racja, zmilgowała się Jiz. - Ty przeciez rzeczywiscie nie miałes kontaktu. Jakie to dziwne! Moda transmularna trwała krocie, nie się spodziewałam, głównie dlatego, że zaczęła się wszystkim wydawać zbyt szluczna, bez symulacji z naszym przyszłym wektorem.

- Przyszłym wektorem? to znaczy?

- Eden.

- Eden?

- Nasz coraz bliższy nowy dom, Jofe. Nie możemy go ciągle nazwać 987-Beta-II, prawda? Odbłyło się referendum i wygrał „Eden”, chociaż ja osobiscie byłam za „Olimpią”. Muzy greckie zawsze były mi jakoś miłsze.

Fale mlodości przetoczyły się przez całą istotę D'mahla, biorąc swoj początek z centrum nicosci za mostkiem.

- Nie sądzisz, że to zbyt przedwczesne, Jiz? - zapytał.

Na tym polega moja gra Jofe, przeciez wiesz, odparła Jiz, żartobliwie dotykając palcem konuska jego nosa. - Tym razem jednak kreuje coś więcej, niż nową modę. Pomagam w przygotowaniu nas do transformacji.

- Transformacji?

Jiz tańczyła po galerii, dotykając drewna, gliny, wikliny, żelaza.

- Och Jofe, sam to przeciez powiedziałes w „Wędrujących Holendrach”: Ze długo już jesteśmy Latającymi Holendrami na bezbrzeżnym morzu. Trwamy w wiecznym okresie dojrzewania, na zwolnionych obrotach przemierzamy noc w swoich basnowych slakach. Wierc teraz, skoro mar v okazje wrzucę dojrzałe, zapuszc nowe korzenie w nową glebę, musimy zejść z pochodni na której jedziemy, bliżej ziemi. Drewno cegła, żelazo, glina, rosliność. Przedmioty planetarne! Przygotowujemy się do roli pionierów, którzy wkroczą w dzwiczny świat.

Gówno mruknął przerażony D'mahl. - Ziemioryjskie brednie, dodał głosno. Irytacja zaczęła w nim kłócić, przybierając blask nowel.

Jiz stanęła, jak myśli zastygła w połowie tańca.

- Co ty powiedziałaś?

Kims, kto może w tym momencie wczuć się do banku cytatów I na pewno to zrobi
linię - dodał jej usłami. Tymi samymi ustami ucałował jej dłoń i przerwał kontakt

Po czym wczuł się koejno we wszystkie zmiany, według chaotycznego programu wyznajdowania nowych zjawisk.

Był Para Bunningiem, skaczącym do góry w obniżonej grawitacji do basenu wonnej różanej wody podgrzanej do temperatury ciała. Na szcze sensoryczne pilota szalupy zobaczył, jak „Bela-37” przebijają błonę wodorową, z nim samym na pokładzie, a następnie jak pojawia się z powrotem w Karawanie, na częstotliwości dziennika wieczornego. Śiał we własnym grand-salonie, z wściekłością patrzeć poprzez mgły bankietu na Harisa Bandoore, następnie wyrzucił salon w czasie realnym naga szmaragdowa posadzka, przyrmione kryształowe drzewa, a poza ekranem plexi – olbrzymi wieniec statków świecący w galaktycznej nocy.

Był w ciebie Johna Benirry, patrzył w dół na Pasaz Słonecznego Tanca. Winorośle rozpełzały się w górę, w dół po jednorodnie szklanych fasadach domów, a posrodku placu sosny okalały wielkoplątowe lustro, tłumiąc jego blask. Wyczuł fragment „Niech zakwitnie tysiąc kwiatów”, senso autorstwa Irena Capabuli, którego premiera odbyła się pod jego nieobecność, zgłębił w pot pod żołątkiem słońcem w czystobłękitnym niebie pełń nieskonczone pola bajecznie kolorowych kwiatów, zatopiony w ich kadzidłanej woni. Jako pierwszy tancerz Baletu Odległego Spojrzenia, odtańczył parę taktów „Eksplodzi Gwiazdnej”. Pierwszy raz kochał się na niebieskim futbolu wzgórz na „Samarkandzie”, ostatni raz u Jiz, a między pierwszym i ostatnim jeszcze ze dwanaście razy. Ukonił swoje pierwsze senso, „Zaciemnienie”, i ostatnie – „Wedrujących Holendrow”. Jadał obiad posrodk kolorowych chmur na „Arielu”, drugi nad Krwawym Jeziorem na „Lothorienie”, a w trakcie jeszcze dwanaście razy w różnych innych miejscach. Na przyładowanych czstelnościach sięgnął do wszystkich sensosów, jakie w życiu robił

A kredyt miał już to wszystko za sobą, zjednoczył się z dawnym D'mahlem, był znów we wszechświecie nieskończonej liczby rzeczywistości, który na jakiś czas opuścił: był cajością, był w domu.

1

„Brigadoon”, zgodnie z oczekiwaniem D'mahla, był całkiem odmieniony. Nowa moda była jednak jak najbardziej od tego, czego się spodziewał i coś w niej zmroziło go do żywego.

Podkąd drugi stanowią symule starożytnej ziemskiej wioski alpejskiej: symulowane domy, trawa, najlżejsza bu tego, czego się spodziewa i coś w niej zmiennego do do żywego.

Wachlarz rozrywiek na pokładzie szostym znacznie uszczuplono i uproszczono założeń na wzór małych gier w czepion smęga pod białym, szarym i niebieskim. Wśród atrakcji znalazły się: mała miasteczko amerykańskich lunaparków: diabelski młyn, karuzela, gra w rzutki i baloniki, romoidalne boisko baseballowe, nawet mechaniczne symule medalowego bydlia, owier, psow i swin. Ten pokład równiez osłaniał 360-stopniowy hologram, tym razem hologram zboza falującego na wie trze. Pokład osmy, mieszkalny, był symulą wioski afrykańskiej - koliste ustawione chaty kryły trawą, zagroda z mechanicznym bydłem i antylopy, lwy, oraz hieny, hasające po osłaniającym całosc hologra mie stepu. Pokład dziesiąty przerobiono właściwie w całosci na funkcjonalny pokład miny rzedy za rzędami sadzonek sosen, gesto zasadzone winnice, grządki kwiatow, i uwijający sie wszedzie ludzie w jeleni ziemiorowcow.

Dłabla zaszkodził nie tyle motyw przewodni nowej mody „Brigadoon” lansować już wczesniej mody „naturalne” – co monomania wykonania, bez poczucia humoru, bez brio. Ta ostatnia metamorfoza „Brigadoona”, wydawała się tak śmiertelnie poważna, jakby stanowiła próbę stworzenia rzeczywistych wieńców z ziemioznawstwa, a nie użycia ich jako pretekstu do artystycznych przetrzebieżeń.

Pokład dwunasty, pokład jiz, epicentrum wszystkich fal transformacji „Brigadoona”, zaskorzył go najbardziej. Wyłącznie drewno i drzewa. Sklepy i restauracje pobudowane z symul-kłód pokrytych chropawa korą, kwadratowe szybki z pleksi w małych okienkach osadzone były w drewnianych, złoбно nitych okiennicach. We wnętrzach stały symul-drewniane, grubo ciösane meble. Sześciu wyłożono kamiennymi płytami. Wokół rosły ogromne symul-drzewa, kasztanowce i eukaliptusy, wynoszące się aż ponad szczyt pokładu, gdzie tworzyły niemal lity lesny baldach, pomniejszając i wręcz spychając z powierzchni pokładne, neoprzymitywne chaty. W powietrzu unosiła się gęsta won palenicy lasu i butwie-

samobójstwo, z tym że Walker Nan Pei na zawsze zdmuchnął swoją pochodnię wycofując się z obietnicy. D'mahl wiedział, że teraz już nie wolno mu się wycofać.

[illegible]

Dzięki aurze Jiz „Brigadoon” był w Karawanie statkiem-kameleonem; całe pokłady przerabiano tu do A do Z równie często jak przeciętny obywatel Karawany przemeblowywał własne mieszkanie. „Brigadoon” był dla reszty Karawany źródłem modnych strojów i ołsniewaczy, tak jak dla poszczególnych pokładów statku Jiz takim źródłem była jej galeria. Ostatnio zabrakło raptem pięćdziesięciu głosów, aby przeszedł postulat zmiany nazwy statku na „Żywe Srebro”.

Mijając po drodze w dot wszystkie pokłady, D mahl dosięgnął więcej zmian niż potrafił zidentyfikować bez wczucia się do banku po obrazy minionych wersji – a od jego ostatniej wizyty na „Brigadoon” minął najwyżej standardowy miesiąc. Pokład trzeci był niedgys dzielnica mieszkalną wznosząca się tarasowo wokół rygorystycznie utrzymanego alpinarium – teraz była to laguna, po której pływały domy ludzkie. Pokład szósty, dawniej symulował starożytnego Tyvoli, przeistoczył się w tereny rozrywkowe usytuowane na zawieszonych na różnych poziomach płytach grawitacyjnych, ponad ogromnym, wirującym w zwolnionych tempie, lejem syropowatej, tęczowo zabarwionej cieczy. Pokład dziesiąty, dawniej babiloński labirynt domów mieszkalnych porośnięty girlandą winorośli, stał się miniaturową pustynią uformowanych statycznie złotych i srebrnych drobnożylistych dun, wplecionych jak koronki między basniowy filigran domów-pieczar. Najwyraźniej tematem miesiąca było przetrwanie.

Pokład dwunasty stanowią konfekcje wielobarwnych energii. Ścianami sklepów i restauracji były dynamiczne rozdrgane ekrany w dziesiątkach subtelnych odcieni, a plac centralny wokół trzonu pochodził z pulsu pulsu zmianami łaską wędrujących leniwie miniaturowych pufo-kulek w kolorach błękitu, zieleni, purpury, żółci i karmazynu. Sam trzon pochodził miał postać cylindrycznego lustra, a większość ludzi nosiła lustrzane stroje, peleryny z rzyg, lub swieline oponczce. Człowiek czuł się jak w środku tektury i d'mahl, w swoich stosunkowo tradycyjnych niebieskich spodniach, z nagim torsem i plecami okrytymi peleryną ze złotogłowiu, doznal nagłego porzucenia desynchronizacji.

Galenia już Rumoku mieszcza się za szafirowo bielejącym wodospadem, opadającym kaskadą z połow wysokości kopuły do basenu mgieł, skąd rozlewał się po całej powierzchni pokładu. D'nahi ruszył brod, prawie pewien, że się zamoczy. Na szczęście okazało się, że wodospad jest hologramem – ale z

- Powitać nas, wy, którzy idziecie na śmierć - powiedziała Jiz. Leżała w błękitno-żółtej pułkownikowej naga, z wyjątkiem olśniewających żółt szerokiego wdma światła, które skromnie przesłaniały jej pierś i biodra. Mniej więcej pośrodku galerii, będącej teraz solistą areną otoczoną drzącym ekranem /agencje artystyczne nie chcą być związane z tym, co dzieje się tutaj/, czuć było powietrze stale rozsiwającym zmiany spektralne, szybowala leniwie po łorze elipsy rozpościerało się ciemne, jakby z przetrwałych filmów pomańczowatego ognia, za podłogę zaś liśtro jakiś miedziowy metal.

Lepiej po ogniu niż po lodzie - rzekł D'mahl. - To moje motto.

Przerzuli się wzajemnie D'mahi, leżąc w pufo kuli doznał elektryzującej jasności, kiedy ciało jego przemieszczało się w kierunku przemieszczającego się. Przerzucił się galerię i ucałowało usta Jiz.

Przezniossane niezapetnie mojemu pojeciu ognia, Jofe - odezwała sie jiz, kredy rown
czesnie wytlaczyl kontakt

- A to tutaj, odpowiada? - zakreślił hik reka.

Po pozornie przypadkowych trajektoriach, na terenie całej głębini, dryfowały (ziesiątki taffli o rozmiarach od kilku centymetrów do dobrych trzech metrów kwadratowych. Były tam rozmaite obiekty efekty energetyczne - od modelowanej statycznie bzułetu z pyłu drogi h kamieni po pudła olśniewających peleryny z mgły, przewssawki, hoto-szyby, przeważnie abstrakcyjne, oraz kulka ogromnych i zaskakujących rzezb w plomieniu. Gabioly wykonane były z przezroczystego plexi, a tylko nieliczne z pomieszczeń w nich „obektów” stworzono z czystej materii.

- Mam czucie, że materia przejadła się ludziom na jakiś czas - oświadczyła Jiz wstając z pufo-kuli. - w końcu zażyła energią, nie więcej. Nadchodząca nova to flux surowiec ekranowy z energo-terii. Oddaje ducha pochodni, nie sędzisz? Energia, protony, elektrony, neutrony i pył pierwiastków zkich z medium międzygwiazdowego. przekształcony w co nam się żywnie spodobą. Tematem tej spozycji jest stan transmucacji.

Ja tam lubię mieć w pobliżu przynajmniej parę rzeczy o twardej powierzchni - odparł z niejakim wątpiawianiem D'mahl.

Zobaczysz, nie mnie standardowy miesiąc, a i w twoim mieszkaniu zapanuje flux. Zsynchronizu- z sie.

Jeszcze czego, ty specjalistko od jutrzejszych przebojow - zachnął się przekornie D'mahl, całując ją same usta. - Wszyscy poleca na transmucację, a ja poleca w zimna, twardą proznie, gdzie energia i teria dobrze znają swoje miejsca i bezwzględnie się ich trzymała.

z nachmurzyła się, dotknęła jego policzka.

Naprawdę to zrobisz, tak? - zapytała Miesiace zamknięcia na jakimś paskudnym statku zwiadow- m, bez kontaktów, bez kochania, bez najmniejszej zmiany...

Może przynajmniej nie bez kochania - wtrącił beztrasko D'mahl, myśląc o sidi widział jednak, że naprawdę się przejmuje. - O co chodzi, Jiz?

Co ty tak naprawdę wiesz o próżnioladach?

A co tu wiedzieć? Obsługują statki zwiadowcze. Poszukują planet nadających się do zasiedlenia. wadzą wyjątkowo nieekawny tryb życia.

Kontaktowałeś na ich temat?

Nie. Zbiiram, oczywiście, senso-zapis, ale, ponieważ za główny punkt widzenia będę miał same- siebie, nie chcę mieć żadnych sensorycznych uprzedzeń.

Bo ja skontaktowałem podstawowe dane o sensohistorii próżnioladow. Jofe, w bankach nie poza nie ma. Nie daje ci to do myślenia?

A powinno?

Skontaktuj, jofe.

Mówiłem ci przecież...

Wiem, wiem, żadnych uprzedzeń sensorycznych. Niemniej proszę cie, skontaktuj Sama to zrobr- i uważam, że ty też powiniaś.

Praczy były bezwzględne, nierzuchone, a usta stwardniały w ideogram determinacji. Kiedy Jiz przy- stał ten wyraz twarzy, D'mahl uznawał na ogół za roztropne podążać za jej wektorami, choćby tylko względu na oszczędność energii.

Zgoda - powiedział. Dla ciebie zbrukam swą dziewiczą świadomość obmierzłymi faktami. Proz- ady, historia ogólna - zadysponował.

nalaził się pod kopułą obserwacyjną, patrzeć jak statek zwiadowczy zmierzka ku błonie wodorowej adowca był, z grubszą rzecz ujmując, cylindrem o rozmiarach statku-pochodni z jednym niedużym dem toroidalnym posrodku konstrukcji i kopułą mostka w okolicy miejsca poboru energii

Rok Karawany 301 - obwiesili beznamienny głos. - Karawana wystrielizuje pierwszy statek zwa- ry. Obsadzony załoga pieciu ochotników, statek napędzany est pełnowymiarową pochodnią ład- ą, jakkolwiek masę jego statowi załadwie jedną dziesiątą masy konwencjonalnego statku-pochodni ki wykorzystaniu siły bezwładności Karawany, osiągać może predkosć konowa w okolicach 0,87 ta

mahl jako zewnętrzny obserwator z odległej przestrzeni patrzył jak gnany pochodnią statek zwa- rzy przesciga Karawane. Za nim drugi statek, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, wreszcie tak wiele, ze- nał przestał nadązać z liczeniem. Przebyły się pochodniarni przez błone wodorowa z dala od czola wany, obierając kursy pod różnymi kątami, od dziesięciu do trzydziestu stopni, w formacji szotka nek przestrzeni zamknęły wewnątrz szotka rozjarzył się zieleńca, a głos powiedział

W roku 402 liczba statków wyniosła czterdziestą siedem, uregulowano też statyczne ciagły system ukłwan Pracując w zasięgu pełnego roku świetlnego od Karawany i prowadząc dalekosieżne obse- je systemów słonecznych z rozbudowanego szotka pola widzenia, system statków zwiadowczych

- Włec zrobisz to, D'mahl? - spytał cicho Bandoora.

- Co takiego?

- Powiesz im po swojemu - rzekła Areth. - Zdejmiesz z nas brzemienie prawdy.

- Co?

- Wyczuwając „Medrujących Holendrów” zrozumiałem, że ty się nadajesz - powiedział Bandoora Przeczłes granice prawdy. Wydawało się, że patrzysz na proznie, a widzisz poza nią Ty, D'mahl, zna- swoich ludzi my ich nie znamy. Sam to przed chwilą stwierdziłeś. Powiedz mi Zrób senso, które i powie.

- Ta.. ta cała wycieczka... to był wybieg, żeby mnie tu sciągnąć.. żebyście mogli na mnie zrzucić sw- bagaż główny!

- Obiecałem ci okazję do zrobienia największego senso w twojej karierze powiedział Bandoora Czujesz się oszukany?

D'mahl opadł na fotele.

- Ale nie powiedziałeś, że będę zmuszony odnieść sukces.

*

Statek schodził ogonem na długi, płytki łuk nad błoną wodorową, ciagle nacac szybkość. Przeszedłsz na czesliłiwość wżyzną „Bela-37”. Jofe D'mahl ujrzał jak w momencie przechodzenia statku prz- jutrzniową Jale, statki Karawany pojawiły się nagle w całej swej okazałości, jak gdyby błona wodorow- była łączową kurtyną, która unosząc się odsłoniła wielki balet ruchu i światła.

W czerni wisiały tysiące lśniących cylindrów o powierzchniach kunszownie przystrojonych wielki- barwnymi światłami. Przestrzeń pomiędzy nimi skrzyła się od wydzielin szalup statek-statek i mgiełki- subtelnych refleksów, rozsiwanych przez tysiące ruchomych pecherzy próżniowych. Waski purpurr- wy ślad przejścia Karawany przecinał wieczne nierzuchomą nicość eteryczną brudną dowodu na to, z- ruch istnieje.

Karawana wydawała się jeszcze większa i piękniejsza niż ja uczyniła parnieć D'mahla podczas dli- giej, ponurej podróży powrotnej. Jej swała zwalczały wieczną ciemność, jej złożoność podwazała nie- skńczoną jednorodność próżni, tanczęła w kręgu swała własnej głotni. Była żywa. Była piękna. Była domem.

Bandoora dobrze wyliczył: z chwila gdy „Bela-37” przeszła na wysokość zaplecza Karawany, jej pre- kosc wziędnia spadła do zera i statek zawiśł w przestrzeni o jakies dwadzieścia kilometrów poza wter- cem statków Karawany. Bandoora wykonał manewr obrotu o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął obniza- statek ku Karawanie, na nieśce parkowania tuż za błoną wodorową. D'mahl wyłaczył się z czesliłi- wosci wżyznej statku zwiadowczego i spoczał na grawipylcie w swojej kabynie, po raz osiatnu dług- wpatrując się w gwiezdne pole hologramu na ścianie.

Potem, jak kochaniek siegający po hobbione w parnieci ciało po długiej rozłące, jak człowiek wstając- z długiej śpiączki w światło dnia, skontaktował Jiz Rumoku.

Siedział przy nieskazalcznym szklanym stołiku, sącząc z czajniczka lodowaty niebieski napój, którym- popijał gabczasy lawendowy oisniewacz. Po przeciwnej stronie stołka, Varrn Karmetev nalewał sobie.. dzbona kolejna porcję napoju: dzbanek należał do tego samego serwisu Stołlik stał na kręgu przetrzo- czysiego plexu, który jak dziesiątki podobnych kręgow drtyłował w otoczeniu, które przypominał- dzungłę winorośli, bez stropu i bez dna. D'mahl nie rozpoznał restauracji, ale nie zadal sobie trudu- siegnięcia po informacje do banku.

Bohater wraca do domu - rzekł krztając i usłami Jiz, czując jak jej ciało rozgrzewa się od jego obec- ności.

- Jofe, gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Wyczuję cie...

Poczekaj na ciało, Jiz - powiedział - Będę u ciebie w galerii najdalej za dwie godziny Chciałem- żebys się pierwsza dowiedziała, a teraz muszą się w przyspieszonym tempie wzur w realia, bo skonnar- z pragnienia.

- Ale jak było...

- Daleko, daleko, daleko odpowiedział, czując nagły przepływ radości na mysl, że jest z

- Potwierdzają - co? zapytał D'mahl, niby od niechcenia, ale drżenie głosu nie pozwoliło mu ukryć paskudnego posmaku, który wzbierał w świadomości od próżni wewnętrznej.

Mamy aparaturę o wiele doskonalszą niż się do tego przed wami przyznajemy powiedział Bandoora. I mamy ją od dłuższego czasu. Zgrawisondowaliśmy dziesiątki tysięcy, a nie tysiące, gwiazd. Znaleźliśmy nie setki, lecz tysiące planet. I nie parydziesiąt, ale paraset planet o parametrach Ziemi, orbitujących w sferach potencjalnie mieszkalnych. My was okłamujemy, D'mahl. Okłamujemy was od wieków.

- Dlaczego? - szepnął D'mahl, chociaż znał odpowiedź, czuł, jak krzyczy do niego z hologramu za głową Bandoora, z mglistych oczu próżniotajada, z próżni otaczającej statek.

Wiesz dlaczego - odparł szorsiko Doru. Dlatego że poza martwą skalą i gazem nie ma nic. Ponad siedemset, D'mahl.

Według wszelkich parametrów znanych naszym naukowcom te siedemset planet powinno kipieć życiem - odezwiała się Areth Lorenzi. - Przez stulecia mieliśmy nadzieję, że następna, albo ta po niej, zaprzeczy, edytemu narzucającemu się wnioskowi. Lecz na zadnej nie znaleźliśmy nawet mikroba. Nie mamy już nadziei.

- Miejscami trafiają się nawet cząsteczki białkowe - bąknął Nyborg. Mniej więcej na co osiemdziesiąt lat.

Ale przecież za pomocą sondy nie sposób

Sondy! - łuknął pogłębienie Doru. Sondy to jeszcze jedna iluzja dla waszej, ludzi, ochrony! Dysponujemy mikrospektrografami, zdolnymi stwierdzić obecność cząstki DNA na odległość dziesięciu lat świetlnych, i to dysponujemy nimi od paru dobrych stuleci.

- Już w tej chwili wiemy, że 997-Beata-II jest martwa - włączyła się Sidi. - Wiedzieliśmy to jeszcze przed złożeniem sprawozdania Radzie Pilotów. Ta cała misja, jak i setki poprzednich, to czczy gest.

Ale dlaczego nas w ten sposób okłamujecie? - wrzasnął D'mahl. - Jakim prawem? Jak...

A to mieliśmy wam mówić? - odpowiedział wrzaskiem Bandoora. - Że wszystko jest martwe? Że życie na Ziemi było unikalnym przypąkiem? Że nie istnieje nic poza puszką, materia niewytłoczona i mordcami jedynego życia, jakie kiedykolwiek powstało? Co mamy wam mówić, D'mahl? Co mamy robić?

- Od przeszło dwóch stuleci żyjemy w przekonaniu, że nasze misje są beznadziejne - powiedziała cicho Areth. - Od przeszło dwóch stuleci prowadzimy Karawane od jednej złudnej nadziei do drugiej, wiedząc, że każda będzie złudną. Nie osądzaj nas zbyt surowo. Coż innego mogliśmy robić?

- Mogliście nam powiedzieć - wymamrotał D'mahl. - Powiedzieć prawdę.

Mogliśmy? - powtórzyła Areth. - Czy mogliśmy powiedzieć ją tobie, zanim sam zmierzyles się z próżnią?

Wściekłość i rozpacz wiodły obiedny posąg w mandali in-jang u samego rdzenia Jofe D'mahla. Wściekłość na bezcelność tych ograniczonych podłudej, którzy osmielali się traktować całą cywilizowaną ludzką jak opóźnione w rozwoju dzieci, którym nie wolno mówić prawdy. Rozpacz wobec przerażającej wymowy owej prawdy. Wściekłość na myśl, że może próżniotajada ukrywa a rzeczywisty powód swojego milczenia, że utrzymują Karawane w niewiedzy jedynie po to, by nie ryzykować przewrącia programu zwiadowczego, a wraz z nimi i okazji do jedynego przeżycia nadającego znaczenie ich katektu zyciu. Rozpacz na zdradziecką myśl, że być może próżniotajada mają rację, że Karawana runęłaby od prawdy jak przeżarte promieniowaniem plexi. Wściekłość na siebie, że w ogóle przyszło mu do głowy solidaryzować się z próżniotajadami, że zasiadł w tym oburzającym konsylium.

Wy humanione bzdeży, wy kaleki! - wyrzucił z siebie nareszcie. Jak śmiecie tak nas osądzać? Za kogo wy się macie - za bogów Olimpu? Pozamykalicie swoje życie w ciasne kanaty, poodnaliscie się od światów wewnętrznych - a teraz osmielacie się decydować o tym, co my możemy znieść, a co nie?

Drżał na całym ciele, naprężone jak stal mięśnie bliskie były zakleszczenia, a w arteriach kłotal się ogień adrenaliny. D'mahl z całej siły wcisnął dłonie w krawędź stołu.

Grupa próżniotajadów siedziała spokojnie, patrząc na niego w milczeniu, a tym, co dostrzegł w ich oczach, była ulga, nie zaś gniew, czy reakcja na jego gniew.

zmaksymalizował lrbze obserwacji planet potencjalnie nadających się do zasiedlania na określonej nstkie czasu.

Teraz D'mahl siedział na mostku statku zwiadowczego, wyglądając w przestrzeń przez ekran plan Obok niego przy konsolach z aparaturą krzątał się dwaj mężczyźni i kobieta, w n ebieskich strojach próżniotajadów.

- W roku 508 wprowadzono kolejną innowację. Przed statek zwiadowczy lekko wyskoczył trzm lowaty porisk. sam statek zaś porzął zawracać z kursu. - Statek zwiadowczy wysyłał sondy na planie potencjalnie nadające się do zasiedlania, same zaś powracają do Karawany.

D'mahl, jako punkt widzenia w przestrzeni, oglądał stylizowaną falę pochodnią w stronę Karawany, która zwiadowczy statek zwiadowczy, wysyłając ku Karawanie czerwona falę pochodnią w stronę Karawany, sonda zwiadowczy orbitowała wokół planety, zmieniając swój wektor w kierunku systemu słonecznego sondy. Następnie zwiadowca znow opuścił Karawane, aby monitorować nadawanie z sondy fale informacyjną.

Drżąc odwracaniu kursu Karawany na obserwowany system, a następnie powrółowi do monitorowania fali nadchodzącej z sondy, nasz w pełni zewoluowany system zwiadowczy nadawał maksymalną oporność licząc systemów słonecznych badanych w określonej jednostce czasu, minimalizując zarazem czas zdawania raportu z każdego badanego systemu słonecznego o wysokich parametrach przy dopodbiensstwa

Na pokładzie statku zwiadowczego D'mahl grał w zero grawitacyjny tenis z porażającą kobietą próżniotajad. Był prostym kwaternistrem, dziurkującym zamowienia na posiłki. Leżał na grzbiem, ciałem nastawionym na około 25 g w malej, jednoosobowej kajucie sypialni. Jako kobieta-próżniotajad koch się w stanie zero-grawitacji z wysokim, silnym mężczyzną.

Pomieszczenia dla załogi, jakkolwiek wygodne i zapewniali one odpowiednie warunki dla utrzymywania zdrowia fizycznego i psychicznego, stanowiły dla członków załogi pewną niedogodność z uwagi na ograniczenie przestrzeni - ciągnął beznamiętny głos. - Banki czucia są znacznie ograniczone, a dostęp do centralnych banków Karawany - niemożliwy. Załogi zwiadowczy muszą się zadowolić prostymi ciałami nymalnymi rozrywkami. Wszyscy obywatele Karawany mają dług wdzięczności wobec tych ofiarnych ochotników

Jofe D'mahl spojrział w oczy Jiz Rumoku. Wzruszył ramionami.

- No i? - zapytał. - Wszystko to już wiedziałem.

- Własnie nie, Jofe, kompletne nie! Próżniotajady przebywają tam cieleśnie od ponad połowy tysiącia, prawie całe życie spędzają w odłączeniu czuciowym od Karawany, od wszystkiego, co sprawia, że jedyna żyjąca cywilizacja ludzka jest tym, czym jest. Jaki jest ich wektor karmiczny? Co mają pod czczą szką? Dlaczego, przede wszystkim, nazywa się ich próżniotajadami? Dlaczego w bankach nie ma nic poza tą ogólną taśmą historyczną?

- Najprawdopodobniej dlatego, że nikt się tam z nimi nigdy nie wybrał, żeby zrobić prawdziwe sensus. - odparł D'mahl. - A z pewnością nie są to osobniki zdolne do samodzielnego wyprodukowania lakiego sensu. Dlatego właśnie ja się tam wybieram, Jiz. Uważam, że Bandoora miał rację, należy stworzyć próżniotajadów, i kto wie, czy to nie jest jedyny dziewiczy temat, jaki nam pozostał.

Napiecie znikło częściowo z twarzy Jiz.

- Ego, naturalnie, nie ma tu nic do rzeczy - odezwiała się.

- Ego, naturalnie, ma tu wszystko do rzeczy - skorygował D'mahl.

Przyłożyła rękę do jego policzka.

- Bądź ostrożny, Jofe - powiedziała cicho.

Wzruszony D'mahl nakrył jej dłoń swoją dłonią i pocałował ją delikatnie w usta, czując się na ślad, z zowad jak jakiś przykut do Ziemi prymityw.

- A czego tu się bać? - odpowiedział z równą czułością.

- Nie wiem, Jofe. I nie wiem, jak się tego dowiedzieć. To mnie właśnie przeraża.

*

Unoszony przez szalupę na „Bele-37”, Jofe D'mahl doświadczał narastającego bezwektorowego oczekiwania. Srebrzysty cylinder „Beli-37” polyskiwał na „utrziwnym” tle błony wodorowej, wciągając na

Joefem jak niecz Damoklesa. Pod nim, statki Karawany oddały się, tworząc najpierw wypielniący horyzont perłaz światła i błysków, następnie zaś dysk ludzkiego ciepła odcinający się ostrym konturem od zimnej czerni nocy. Pomyślał, że obywałe Karawany rzadko zapuszczają się aż tak wysoko, na parking statków zwadowczych, w pobliże błony oddzielającej Karawane od próżni prawdziwej. Nie trudno było odgadnąć powód.

- Kawał drogi, co? - mruknął pod nosem.

Pilot szalupy kiwnął głową.

Mato kto bywa tu na gorze - powiedział. Przeważnie tylko prozniolady: załogi remontowe. Ja od czasu do czasu wybieram się tutaj sam, żeby poczuć ciśnienie próżni spóza błony i spojrzeć w dół na to wszystko jak bog z Olimpu. Zasmiał się oschle. - Może przewiozłem o jednego prozniolada za dużo.

D'nahi wzdrygnął się nie wiedzieć czemu i poczuł dżika tęsknotę za komunią kontaktów czuciowych, za oszalałym bogactwem czasu, przestrzeni, ciała i realów, od których rłiał się ładu chwila odzłować po raz pierwszy w życiu. Czuł to nasze zyciokładne źródło, pomyślał. Kłoz to wie lepiej ode mnie?

Jiz Rumoku - zadysponował, i znalazł się w jej ciele, stojącym w galerii obok rzeźby w płomieniu w towarzystwie zwałistego czarnego meczczyzny w surowym w swej prostocie garniturze z zielonego welwełu.

Czesc, jiz - powieździał jej strunarni głosowymi. - Czesc i do widzenia.

Wycofał swoje czucie z jej ciała, a ona podążyła w niego, wysoko ponad Karawane.

- Czesc, Jofe. To naprawdę strasznie wysoko. Ucałowała jego rękę, jego usiami. Uwazaj na siebie, odczekał się jego głos. Potem jiz przerwała kontakt i D'nahi został sam we własnym ciele Szalupa zaczęła wytracać predkosc i zahamowała przy głównym pokładzie toroidalnym „Bell-37”

- Jesteśmy - oznajmił pilot szalupy. - Niech pan wróćdzi przez główną zasłone drgań.

D'nahi zasaliłował mu ironicznie, napomniował pęcherz próżniowy, złapał bagaż i senso-registrator, a następnie przeskokczył kilka metrów przestrzeni na główny podest wejscowy „Bell-37”.

Przeszedłszy przez zasłone drgań, znalazł się ku swemu zdumieniu w ciemnym, komorkowatym pomieszczeniu, w którym nie było widać tunelu spustowego. Okrągłe drzwi w przeciwległej ścianie działołowej rozwarły się nagle i do pomieszczenia wszedł wysoki, bładzi próżniolad.

- Nazywam się Ban Nyborg, panie D'nahi - oświadczył. Zasmiał się, raczej niewesoło. To jest służa powietrzna - wyjaśnił. Urządzenie zabezpieczające

D'nahi automatycznie wycofał definicję nowego określenia: dwudrzwiowa komora umożliwiająca wyjście i wejście na statek, osłonięta błoną drgań.

- Zabawne - orzekł, przechodząc za Nyborgiem przez otwarte drzwi.

- Nawet po utracie napedu i błony drgań, w ten sposób zatrzymujemy powietrze wewnątrz statku - wyjaśnił Nyborg, wrodoć D'nahia obkurcującym, pastelowo-niebieskim korytarzem. - Pasaż radiálny - objasnił. - Prowadz. Jo korytarza okrężającego trzon pochodni. Takich promieni jest jeszcze pięć, tunel na mostek i z powrotem - i to już cały statek.

Dolałi do wymalowanego na spłowywały błękit i żółć korytarza okalającego trzon pochodni, przeszli nim 60 stopni, mając konsoly z aparaturą i pomaranczowy korytarz radiálny, a potem jeszcze 60 stopni i zielonym pasażem radiálnym do niemalowanych materiałnych drzwi.

Nyborg otworzył drzwi i D'nahi wkroczył do ponurej kłiki. Znalazł w niej grawi-płytę, niebieski fotel pneumatyczny, wyjąk symul-orzechową, komode, wylęniały czerwony dywan, a za otwartymi drzwiami - urządze na sanitarne. Sufl był ciemnoszary, a trzy ściany szaro-beżowe. Czwarła ściana był hologram czeluści i, niedogwiedzanej: punkciki gwiazd i zieleńca czern - właśnie na wprost tej ściany umieszczono grawi-płytę.

- Kabina Bandoory - wyjaśnił Nyborg. - Dziewi ją z Sidi.

- Bomba - wycozdział D'nahi. - Jestem głęboko wzruszony.

Statek posiada trzy czesotliwości czuciowe biblioteka, porozumiewanie się członków załogi, zewnętrzna wzrok. Mostek jest chwilowo wyłączony. Możesz odberac nasz odlot na zewnętrznej.

Nyborg odwrócił się, bezceremonialnie wymaszerował z celi i zamknął za sobą drzwi.

D'nahi zadrział. Zdawało mu się, że ściany i sufl zamykają się wokół niego, jakby go chciały wtłoczyć

drobinami materii. Człowiek zaś był jedynie przypadkowym produktem końcowym lancucha chaotycznych i nie mieszczących się w granicach prawdopodobieństwa zdarzeń tych nie znaczących zanęczyś czen. Próżnia ani o nim wiedziała, ani o niego dbała. Próżnia nie istniała. Była wiecznym i nieskończonym nieistnieniem, które pomniejszało i obejmowało sobą to, co istnieje.

D'nahi unosił się w czeluści niebytu, trwając poza czasem, i próżnia poczęła sięgać w głąb jego istnienia czulkami swego nie-ja, sięgając po samo sedno i rdzeń, aż znalazła odbicie w próżni wewnętrznej.

Joef D'nahi doświadczył samego siebie jako cienkiej skorupy bytu wokół rdzenia nicności, unosząc się w beczasowo i bezaforemnie rozległym niebycie. Był błoną grubości pojedynczego atomu między próżnią na zewnątrz a próżnią wewnątrz. Ba anomalia w całej tej nicosci, przypadkowym inkowydym, zawęzowaniem, w którym zdwojona niosc wywozoryła coś świadomości, był, życie. Był niczym, i b był wszystkim, co jest. Był błoną. Nie było go. Był wszystkim. W beczasowym trwaniu Joef D'nahi istni nadal jako banka świadomości w oceanie niebytu, przypadkowy skrawek materii przekompilowany stan, który sam miał przyjemność nazywać życiem, jako ognisko uczucia w nicosci, która nie znała a uczucia, ani: wiedzy o sobie. Był poza lekmem, poza dumą, poza upokorzeniem, w rzeczywistości, gdzie pojęcia nie miały znaczenia, samo znaczenie też nie miało znaczenia.

Spróbował wyobrazić sobie inne banieczki świadomości szubujące w wieżoznotwałej próżni „Bell 37”, na statkach Karawany, na nieznanych planach okrężających abstrakcyjne punkty światła, nie zamierzyszczające sterylną doskonałość czeluści. Lecz tu, w prawdziwej próżni, w tej bezkresnej matrycy niebytu, myśl, że świadomość, a nawet samo życie, jest czymś więcej niż nieprawdopodobnym produktem umikalnego i kruchego lancucha przypadkowych interakcji zachodzących pomiędzy skrawkami przekompilowanej rłosci zwaney materią, wydawała się beznadziejnie jałowa i żalosne antywpocentryczna. Jeden z możliwych lancuchów nieprawdopodobnych zdarzeń prowadził: do życia, wszystkie inne wiodły z powrotem do rłosci. Jeden mylny krok nie istniejącego losu - i niemożliwczary przysna.

Cudem było nie to, że życie powstało w tak nieznacznej ilości, lecz to, że w ogóle powstało. D'nahi unosił się w czerni czeluści, w morzu beczasowego niebytu, uczepliony kół ratunkoweg jednej niepodważalnej prawdy „Ja jestem” - myślał. Ja istnieje, a każda moja myśl, każda rzeczywistość powstała w moim umyśle, istnieje także. Może tak wygląda rzeczywistość prymarna, ale i tak coko wiek jest, jest naprawdę.

Zimno, spokojnie, niemal pogodnie, czekał Joef D'nahi w milczacej, nieruchomej ciemności, n sygnał odwoławczy z „Bell-37”, sygnał do powrotu w niebył próżni, w kruchą złożoność światów czkawieka.

Wszyscy oczekiwali go na podeście, ubrani w pecherze próżniowe. W milczeniu wprowadzili go dwnetrza statku, a oczy ich mówły o nowej wieży, jaka ich wszystkich złączyła. Z niezwykłą ceremonialnością towarzyszyli mu do kabiny dowódcy statku. Bandoora usadził go przy krótszym boku prostoka nego stołu, sam zaś usiadł naprzeciwko, oddzielony od D'nahia o całą długość stołu. Reszta usadowiła się po obu dłuższych bokach. Byłoby nie do usłania, kto siedzi u czoła, a kto u stop stołu, gdyby nby kolejny kosmiczny hologram, tworzący ściane za plecami Bandoory. Był to wlotk na galaktykę z oddk lenia pustki międzygalaktycznej, który otaczał głowę Bandoory aureolą pyłu gwiazdowego i czerni.

Teraz, skoro zmierzyles się już z próżnią, Joef D'nahi - rzekł uroczystcie Bandoora - możesz dzielić nami prawdę.

W rzeczywistość tak niedawnego dla D'nahia doznania na pierwszym froncie świadomości, poczęła się sączyć irytacja. Wszystko zakrawało na jakąś żalosną ceremonię. Czyżby oni zamierzali potraktować jego przeżycie jako uinicjację do jakiegoś pozatowania godnej religii? Z inkantacjami, sekretarni plemier nymi i Bandoora w roli arcykapłana?

- Mów, co masz do powiedzenia, Bandoora - poprosił. Ale oszczędź mi formalności.

- Jak sobie życzysz - odparł Bandoora. Jego wzrok nabrał surowosci, zdawał się chłonać czarne błskawice próżni z holoprzeszreni za plecami. Cokołwiek zaszło między tobą a próżnią, zostanie między tobą a próżnią - rzekł. - Ale poczujesz. A nasze badania potwierdzają to już od ponad pięciuset lat.

oczu od bezkresnej czerni morza, w które za chwilę miał znurować. Miliony punkcikow gwiazd pulsowały i migotały w ciemności, jak igły przyszywając siatkówki jego oczu. Z czelusi pulsował ku niemu bezgłosny ryk, wycie samej wiecznej ciszy. Jego ciało zdawało się kończyć w okolicy kolan. Proznia okazała się namacalną substancją, wyciągającą się teraz, aby go zamknąć w zimnym oceanicznym uskroku. Wiedział, że musi się jej oddać właśnie teraz, bo za chwilę drżący i złany polem zrejteruje w azył psichrzy „Beli-37”.

Do zobaczenia o godzinie 2.000 - nadal z pozorną nonszalancją, aktywując polaryzator grawitacji. Potem ugiął kolana i odbił się stopami od wąskiego metalowego występu w bieżni nieznanego.

Sam skok w czelusz uwolnił go jakby od najgorszego leku, poczuł, że fizycznie wyskakuje z własnego strachu i przez moment było mu tak, jak czasami podczas przeskoku z jednego statku Karawany na drugi, kiedy na chwilę tracił wszystko z oczu. Potem się obejrzał.

„Bela 37” była teraz małym metalowym cylindrem oddalającym się z wolna w gwiazdzistą ciemność. Pięć mikroskopijnych figurek na podłożu w wejścia drżało przez chwilę na granicy widzialności, po czym wtopiło się w bezkresną ciemność. Nie istniało już nic, co miaoby choćby pozory rzeczywistości, D'mahl zadziwił i odwrócił głowę. Dziwne, ale widok czystej próżni był mniej przerażający niż widok ostatniej rzeczy, która go łączyła z tym, co człowiecze, znikającej z pola widzenia w głębiny nicosci.

Przez dłuższy czas nie oglądał się za siebie. Kiedy to wreszcie uczynił, jego wszechświat nie miał już ani tyłu, ani przodu, ani stron, ani góry, ani dołu. Wszystko wokół było nieskończoną czarną dziurą usianą pyłem nic nie znaczących gwiazd, a jedynym kierunkiem wydawał się być kierunek w dół. Umysł D'mahla stanął dęba, przekoziołkował i odrzucił te niemożliwe dane sensoryczne

★
Czas nie upływał, ale istniała ciemność. D'mahl unosił się w próżni i czekał. Przyszło pragnienie, nasycił je, czekał dalej. Przyszedł głód, zaspokoił go szczypta pożywienia, czekał dalej. Uświadomił sobie bicie własnego serca, pulsowanie krwi w żyłach, czekał dalej. Kłopotliwa świadomość funkcji cielesnych oślabła. Czekał dalej.

Nic się nie poruszało. Nic nie żyło. Nic się nie zmieniało. Cisza nie miała granic. Stopniowo, pomatu i z nieskończoną subtelnością, percepcja D'mahla poczęła znów ulegać zmianie. Kołata iluzja bezpiecznego zamknięcia w przezroczystej osłonie zawieszanej w skończonej rzeczywistości ograniczonej malowaną w gwiazdy kurtyną, zaczęła ustępować pod nieznosnym ciśnieniem czasu, który nie zna upływu, i wymuszonej kontemplacji. Kryształowo czysta substancja przestrzeżeni stopniała w nicosć, z której przedtem wywabił ją swoją myślą, i w tej samej chwili gwiazdy przestały być punktami farby na odległych ścianach, a stały się drobinami świetlistej materii, odległymi o całą wieczność, o przepastne jary nicosci absolutnej. Wszelagarniająca ciemność nie była już malowana ścianą kieszonkowej rzeczywistości, lecz totalną nieobecnością wszystkiego - światła, ciepła, dźwięku, ruchu, barwy życia - rozciągnięta w dal, bez granic, które nadałyby jej kształt, bez najmniejszej szczeliny, która nadałaby jej znaczenie.

To była próżnia, a on był w niej.

★
D'mahl stwierdził ze zdziwieniem, że umysł jego jest w stanie ogarnąć te bezlitosnie prawdziwą percepcję rzeczywistości - jakkolwiek groźną, jakkolwiek przerażającą - bez tarczy iluzji. Bezczasowe trwanie obdarło go ze zdolności podziwiania iluzji, a mając do wyboru rozdygotany lek i chłodną, zdystansowaną akceptację jednej rzeczywistości, wobec której stał, umysł jego wybrał to drugie.

Był, i był w próżni. To była jego rzeczywistość. Poruszał się, a wszystko wokół trwało w bezruchu. To był fakt. Słyszał własny oddech, a wszystko inne było ciszą. To była prawda, przed którą nie sposób uciec. Kształt własnego ciała odbierał jako błonę oddzielającą jego rzeczywistość wewnętrzną od nicosci na zewnątrz, a wszystko inne było na zawsze pozbawione formy, w przestrzemi i w czasie. To była próżnia. To był wszechświat. To była prymarna rzeczywistość. Rzeczywistość, od której ludzie uciekali w religię, w sny, w sztukę, w poezję, w filozofię, w literaturę, w film, w muzykę, w wojnę, w miłość w nienawiść, w paranoję, w sens i w kontakt sensoryczny. W nieskończoną liczbę rzeczywistości mieszczących się wewnątrz człowieka.

Poza rzeczywistościami umysłu, istniała tylko nicosć bez formy i końca, szczałkowo zamietyszczona

w rzeczywistość hologramu. Stwierdził, że wpatruje się intensywnie w pole gwiazdne, wyciągające się ku niemu, jakby go chciało w siebie wessać.

Zamrugnął gwałtownie świadom nieżytkości tego doznania, co skierowało jego uwagę z hologramu na sensorejestrator. Trzeba to zarejestrować. Włączył sensorejestrator, wrzucił do środka kratek na sto godzin mikrofilmu, dostrzelił urządzenie do własnego układu zmysłowego. Lecz pierwszy moment oszołomienia już minął: teraz znajdował się po prostu w nieznośnie nujakim pokoju z olbrzymim hologramem pola gwiazdowego na jednej ścianie.

D'mahl nastawił grawi-płytę na jedną dziesiątą g, tyle tylko, żeby utrzymać się w miejscu, i leżał na materacu. Stwierdził, że znów wpatruje się w hologram pola gwiazdowego, tym razem z pozycji leżącej. Może Bandoorze sprawiło przyjemność, kiedy ten widok wysłał go w siebie?

Bandoora włączył się w niego, tylko na audio:

Witaj na „Beli-37”, D'mahl. Za chwilę przebijemy błonę. Jeśli chcesz, możesz to zakodować.

Dziękuję, nadal w odpowiedzi D'mahl na częstotliwości wewnętrznej. Wolałbym jednak zarejestrować to cieleśnie z mostka.

Przykro mi, ale mostek jest teraz poza twoim terenem. Powiedział Bandoora i zerwał kontakt. Bomba! - parsknął D'mahl do pustego pokoju i z irytacją włączył się na zewnętrzna częstotliwość wizyjną statku.

Był beczelnym punktem widzenia podróżującym poprzez głuchą, pozbawioną tarcia, czerni przestrzeni. Czuł się jak w pecherzu próżniowym, a zarazem i nie jak w pecherzu, gdyż odrzucił był teraz od wszelkich doznanych zewnętrznych i wewnętrznych oprócz wizji. Stwierdził, że może wybrać częstotliwość decydując o kierunku wizji - coś w rodzaju możliwości obracania nie istniejącej głową. Pod nim, Karawana błyszczała jak klejnot nieskończonego subtelności swała, kurczący się z wolna w aksamielnej czerni. Wszystkie inne wektory zdominowała błona wodorowa leżącej jasności niebo, które zdawało się go otaczać ze wszystkich stron.

Był to poruszający spektakl wzrokowy, a jednak brak subtelności pełnego odbioru zmysłowego czynił go zarazem tragicznym i napełniał D'mahla nieuchwytnym smutkiem. W miarę jak leżący pobłask błony wodorowej zbliżał się coraz bardziej, smutek przeszedł na wektor nostalgia związanej z rychłą ulatną kontakt z bankami Karawany. Energie błony zablokują banki na długo przed wysłapieniem różnicy czasu i osłabieniem bodźców. Miał ostatnią szansę pożegnać wieloraką rzeczywistość Karawany przed zesłaniem w nieznana i niezmienną próżnię.

Włączył się z częstotliwości wizyjnej statku i błyskawicznie przeleciał przez całą mnogość częstotliwości Karawany, jak człowiek, który na lozu śmierci przegląda własną ścieżkę sensoryczną, zanim ją odesłaje do banków pośmiertnych.

Stanął wśród kryształowych drzew własnego grand-salonu. Był Daltą Reed wnoszącym przez Krowę Jezioro na „Lothorienie”, i był Erią Rambliu w trakcie uprawiania m łoszi z Johnem Beniną na jego balkonie wychodzącym na Korytarz Słońca, na pokładzie „Czarodziejkiej Gory”. Z ciała spawacza pracującego na kadłubie obserwował budowę „Excelsiora”, przeżywał też finałową sekwencję „Wedrujących Holendrów”. Przerzucił następnie własną ścieżkę sensoryczną, pieszczoły z jej pięć lat temu, gdzieś na pokładzie rolnym, urywki z dziesięciu bankietów, lanco lanczone w dziecinistwie na płycie zero grawitacyjnej, monia „Wedrujących Holendrów” w studio montażowym - i nagle uzmystowił sobie, że wraz ze światłem wspomnień pozostawia za sobą i cały świat teraźniejszości. Na koniec przelotnie przez ciało Jiz Rumoku, prowadzącej meczynę w zielonym welwetowym garniturze wzdłuż holoramy Baletu Odległego Spojrzenia, tańczącego „Jezioro Łabędzia” w zero-grawitacji, a potem już kontakt mu się urwał i leżał na grawi-płycie w „Beli-37”, niezdołny go odnowić.

Włączył się na częstotliwość wizyjną statku i stwierdził, że wkracza oto w wypełniającą cały świat jasność błony wodorowej za jutrzniową kulą pola poboru paliwa pochodni „Beli 37”. Mała terza dostęta wielkiej D'mahl w jednej chwili znalazł się w głorii pola „Beli-37”, tworzącego wybrzuszenie w zjednoczonym polu światła Karawany, wybrzuszenie, które obejmowało statek zwiadowczy i D'mahla, które na moment przeistoczyło się w zamkniętą kulę pełnego widma światła, po czym przebiło błonę wodorową z zawrotną szybkością, od której istnienie D'mahla w zapierającym dech wirze wystyrzeliło w twardą czerni otwartej próżni.

czyszy czuł się jeszcze bardziej obcy na „Bell 37”, coraz bardziej samotny, i coraz bardziej ciekaw, co zachodzi pomiędzy umysłem człowieka a proznią. Teraz, gdy przebywał tam ostatni z nich, D’mani czuł, że cały proces zmierza ku spełnieniu, a dźwięki monotonnej struny wypełnia jego istnie swoją harmo-

iną.
Czy słyszysz wreszcie, Jofe D'mab? odczuwał się tuż obok cichy głos Areth Lorenzi
słyszysz wezwanie? Czy wreszcie

– Nie jestem pewien, co słysze – odparł D'nahi, nie odwracając oczu od żeluzci za ścianą pleksi. Moze to być wołanie mojego ego. Muszę zarejestrować ssanie prozai na taśmie, inaczej cały spekulacyjny czas pojździe na marne.

– Te jest wzwanie orzekła Areth. Znam się na tym. Do każdego przychodzi po jego własnym

D'mahl obrócił się do niej z wysiłkiem.
- Wy coś przede mną ukrywacie - powiedział. - Czuję to. Wiem.
Tenz Aarh nie patrzyła na niego, lecz we wszechobecną otchłń.

Dość ich szynów! zbiłował się D... Co to za kosmiczna prawda, która mnie wciąż druzdziczy! powiedziała – jest przestizen stanowiąca jadro wszystkich Nasza prawda, której ty zaprzeczasz.

Dość tych sztytów! Zbuntował się D... Co to za kosmiczna prawda, która mnie wciąż drażni? Żeby ją poznać, muszę zasmakować myśli

- Żeby ją poznać, musisz zasmakować pyłmi.
- Dlaczego?
- Żeby wiedzieć dlaczego, musisz odpowiedzieć na wezwanie

Z gardła D'mahla eksplodował bezniewny jęk złości i frustracji.

Myslisz, że nie rozumiem tej gry w którą wy tu gracie? wybuchnął

robienie? Tylko dlatego? I dlatego tak się uwzięliście, żeby mnie wysłać w prożnię? A przede wszystkim...

- Bo jesteś tym, kim jesteś, Jofe D'mahl - odparła Areth. - Bo zrobiłeś „Wiedzących Holendrów”. Bo możesz być tym, kim chcesz być. Możesz być tym, który potrafi podzielić z nami prawdę i zdiąć brzemie z naszych dusz.

- To już komplementy, prawda? Arekch odwróciła twarz ku niemu, a wtedy skulił się niemal jak pod ciosem od bólu, rozpaczy i bluzania, które dostrzegł w jej oczach.

To nie komplementy - powiedziała. - To nadzieja. Proszę cie, jak jedna ludzka istota drugiej ludzkiej pomóż nam. Bandoora by tego nie zrobił, ja to zrobię. Zdejmij z nas ten ciężar, D'mahl, przyspiesz wzwanie i zdejmij z nas ten ciężar.

nie było już widać, lecz coś z dala istotnie przyzywało go niewidzialną dionią, przywoływało niosły się a innym głosem. Nawet jego lek wydawał się być częścią tego, wyzywał go na spotkanie z proźnią wewnątrz i proźnią na zewnątrz, do wytrzeźwienia z proźni czegoś czegośkolwiek, jeżeli był człowiekiem.

Niech będzie - powiedział cicho, do Arethi, do Bandoory, do nich wszystkich i do tego, co czekało za kopułą plexi. Wygraiscie Kiedy wróc Bandoora, ja odpowiem na to wasze przeklecie wezwanie. Jak to już kiedyś powiedziałem, mam w życiu tylko jedno do zrobienia: ośmielać się.

Lecz człowiek, który niedgdy wytrzymał te słowa, wydawał się teraz przesyłać i daleki.

Wszyscy wyszli na zewnątrz, na podest przed wejściem, ubrani w pederze (pi... wyc, aby pożegnać D'macha.

Dłmali bez słowa kiwnął głową, zamknął w swoim pecherzu. Sprawdzili później położenie manierek z wodą i kasey z racją żywytostową. Ustalił czas na 4 346. Ani na chwile nie był w stanie oderwać

Stojąc na wąskiej metalowej poście, D'mahl poczuł się całkowicie we władzy czarnych bezmiarów, bezkresnej przepaści, w której niepewnie wisiał statek. Było to całkiem niepodobne do widoku z grand salonu, gdyż bez wienca statków, bez śladu przejsia Karawany, nie nie umniejszało ciśnienia próżni na duszę człowieka. Był to malenki statek, abstrakcyjne gwiazdy, trzy drobne postacie i bezmiar nicosi. D'mahl skulił się i zadrał pod ciosem, który przeszył sam rdzeń jego istnienia.

- Dwa dziesiąta cztery godziny. Harris przekazał Doru na czesłoliwości zabogowej. Rozpostarł ramiona, włączył polaryzator grawitacji i odbił się w górę, w czern międzygwieżdnej czelusi.

Co on robi? - krzyknął własnym głosem D'mahl. Zreflektował się i nadał to samo pytanie do Bandoora, kiedy Doru począł już nabierać szybkości i zanikać w czerni po linii wektora pod kątem prostym do trajektorii statku.

Przez dwadzieścia cztery godziny będzie się żywił próżnią - odpowiedział Bandoora na tej samej czesłoliwości. - Stawiał się na wezwanie. Oddał się od statku tak, żeby stracić go z oczu i pozostanie tam przez jedną standardową dobę.

Doru był już tylko niewyraźną sylwetką poruszającą się na tle gwieżdnego pola. Na oczach D'mahla, sylwetka skurczyła się w bezformy punkt.

- Co on tam będzie robił? - zapytał cicho D'mahl, drząc na całym ciele.

Cokolwiek dzieje się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią.

- Czy to... bezpieczne?

- Bezpieczne? Mam z nim kontakt i znajduje się nadal w zasięgu stózka naszej błony. Jego ciało jest bezpieczne. Jego umysł... to już zostanie między Rajem a próżnią.

Teraz D'mahl już w ogóle nie widział Doru. Prozniojad zniknął... w próżni. D'mahl powoli wychodził z umysłowej zadyszki, uświadamiając sobie, że traci oto jedyny prymarny materiał do sensu, jaki mu się do tej pory zdarzył. Spróbował dosięgnąć Doru na czesłoliwości zabogowej statku, ale jedynym sygnałem jaki otrzymał, był sygnał odmowy.

- Ja to muszę mieć na taśmie, Bandoora! A on odrzuca mój sygnał!

Mówiłem ci przecież: cokolwiek dzieje się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią. Jest tylko jeden sposób na to, abyś przywołał do domu sensu tej rzeczywistości, D'mahl doświadczyć jej na własnym ciele i zarejestrować samego siebie.

D'mahl spojrzął w ziemie, nieruchome oczy Bandoora, potem wzrok jego przyciągnęły czarne gwiazdyiste głębie, w których zniknął Doru. Którym Doru oddał się dobrowolnie, wręcz ekstatycznie. Lęk walczył w nim z fascynacją. Stał oto wobec doświadczenia, od konieplacji którego miękły mu kolana, serce dudniło, a w duszy hulał zimny wicher. A było to zarazem doświadczenie, którego parametrow nie potrafił przewidzieć ani stworzyć - a więc coś, z czym nigdy jeszcze nie miał do czynienia i nie myślał, że mu się trafi coś, co leżało u podstaw odpowiedzi na pytanie: kim są prózniojady? A zatem sam rdzeń sensu, w imię którego znosił te niekonieczne się miesiające nudy. A zatem musi nieodwołalnie stawiać temu czoła.

Po co ty to robisz? - nadał pytanie do Bandoora, odwracając się od czelusi, żeby zająrzeć mu w oczy.

Każdy ma swój własny powód - odparł prózniojad. Wezwanie ma wiele głosów. Uśmiechnął się tajemniczo. - Ty, D'mahl, też zaczynasz się słyszeć, w swoim własnym języku.

D'mahl zadrał, gdyż gdzieś w głębi niego istnienie zadzwoniło pierwszą toną symfoniczną, odległą muzykę z oichlami poza nim i wewnątrz niego.

★

Stojąc na moszku i patrząc, jak Bandoora znika w próżni, Jofe D'mahl poczuł się jak przepastne pudło rezonansowe instrumentu wibrującego pod drganiem tej samej struny bez końca. W ciągu trzech ostatnich tygodni Doru, Nyborg, Areth, Sidi, a nareszcie i Bandoora, oddawali się w czelust próżni. Areth i Nyborg po dwa razy. Każde z nich odmówiło D'mahlowi kontaktu na bieżąco, a nawet pozniejszej rozmowy o przyczynach i każde powracało jakies odmiennie. Doru sprawiał wrażenie, jakby mu upuścił spórą dozwolności Nyborg stał się jeszcze mniej rozmowny, bliski katonii. Areth była jakby młodsza, może odrobnie mniej wyobcowana. Sidi zaś poczęła go niemal zupełnie ignorować. D'mahl nie potrafił znaleźć wspólnego mianownika, może tylko to, że z każdym kolejnym prózniojassaniem towa

- Raj! - warknął Bandoora. Nastąpiło zwanie energii psychicznych, obaj mezczyźni przez chwilę mierzyli się w milczeniu wściekłym wzrokiem.

Zobaczmy, co będzie jak wielki D'mahl tyknie trochę próżni, Harris, wtedy zobaczymy!

- Wszystko w swoim czasie - odparł Bandoora. - Ten czas jeszcze nie nadszedł.

- Raj jest niecierpliwy - wyjaśniła Sidi.

- To dość szczególna cecha u prózniojady - zauważył kasiwie D'mahl.

Ci ludzie zaczęli ranic jego świadomość. Wydawali się wyzuci z poczucia humoru, pełni obsesji, zdesynchronizowani z własnym rdzeniem, jakby nicosi, w której nurzali się stale i z maniackalnym upodobaniem opróżnia ich wnętrza, napełniając je sobą.

D'mahl stwierdził, że patrzy do góry, w gwiazdzistą czern ochlani, zastanawiając się, czy ten kosmiczny chłód potrafi z czasem przeniknąć i do jego rdzenia, czy nie jest przypadkiem tak, że umysł ludzki nie ogarnia po prostu takich rozmiarów nicosi, zachowując jednocześnie panowanie nad własnym wektorem.

- Cierpliwość jest tutaj cechą neutralną - odezwiała się Areth. Nie była to specjalnie krzepiąca myśl.

Rozdział III

Co ci ludzie robią całymi dniami?, zastanawiał się Jofe D'mahl, po raz, jak mu się zdawało, tysięczny okrążając bez celu i nerwowo kołysty korytarz wokół trzonu pochodni. Zaledwie tydzień na pokładzie „Beli 37”, a jego już miodło z nudów. Ile w końcu można grać w szachy, albo w zero-grawitacyjnego tenisa? Banki biblioteczne statku były polowania godne - kilka set tasm encyklopedycznych, pięćdziesiąt kieszek pornografii, sto klasycznych sensosów (w tym, co odnolował z zadowoleniem, cztery jego autorstwa) i nieprzebrana kupa nudnych jak flaki z olejem raportów statków zwiadowczych.

Cierpliwość jest tutaj cechą neutralną - powiedziała Areth Lorenzi. D'mahlowi wydawała się ona w tych warunkach jedyną możliwą cnotą, a jego własne zasoby cierpliwości topniały w tempie zaskraczającym.

Przed sobą usłyszał kroki: ktoś nadchodził pasażem radialnym i w chwili poznanej jego wektor przetrząsał się z wektorem Sidi. sunącej ku niemu pięknie i zimno na podobieństwo robota wymulowanego w ludzkie ciało. Nawet tak silny początkowo pociąg do Sidi zaczynał już słabnąć. Sidi, w czarepię abstrakcyjnego piękna, wydawała się nie mniej niż cała reszta oderwana od jakiegokolwiek rzeczywistości, w której chciałby uczestniczyć.

- Witaj, D'mahl - odezwiała się wyniośle. - Dobry zbierasz materiał na sensu?

D'mahl skrzywił się.

- Jezeli za dobry materiał uznać półtora krazka nudy... odpowiedział Bandoora obierając mi coś transcendentnego - gdzie to jest?

- Kiepsko się rozglądasz.

D'mahl wskazał ruchem głowy ku górze, w pułap statku i przestrzeń poza nim.

- Tam? To samo widzę ze swojego grand-salonu.

- Poczekaj.

- Na co?

- Na wezwanie.

- Jakże wezwanie?

- Kiedy przyjdzie, będziesz wiedział - powiedziała Sidi i minawszy go, poszła dalej korytarzem D'mahl pokręcił głową: Doru - wrogos, Bandoora - tania metafizyka, Nyborg - od czasu do czasu chrząknięcie. Areth Lorenzi kilka gier w szachy, niemal bez słowa. A teraz testy na inteligencję od Sidi! Czy to możliwe, że ci ludzie nie więcej w sobie nie mają? Tyko kulka marnych szurzek wokół rdzenia wewnętrznej próżni? A między nimi a nudą - tylko ich własne obsesje? Byłoby z tego ratkiem interesujące sensu, gdyby wykombinował sposób na dramatyzację nicosi. Westchnął. Teraz miał przynajmniej istotne artystyczne zagadnienie do zabawy.

★

- To czyta tylko na rzekł Ban Nyborg, nachylając swą wysoką postać nad ekranem odczytów, po którym pełży wolno dwie kolumny liter i cyfr. - Numery katalogowe gwiazd masz po lewej, masy otaczających je ciemnych ciał - po prawej.

Mógłby to nadzorować jeden prosty program - zauważył D'mahl. - Dlaczego ty to robisz?

- Robił to komputer, ja tylko kontroluję. Trzeba się czymś zająć.

D'mahl pokreślił głową. Do kompu centrum wszedł całkiem przypadkowo zaden z próżnioladów, gdy nawet o nim nie wspominał. A przecież to tu znajdowało się prawie całe wyposażenie istotne dla misji statku. odczyty, grawskopu i cały szereg konsol z przyrządami, po których objaśnienie musiały sięgać do banków. Mimo to, niaka szara kabina techna klimałem zapamiętania.

- Mówisz, jakbyś był co najmniej tak znudzony, jak ja - powiedział D'mahl.

Nyborg kiwnął głową, nie podnosząc oczu.

- Nie tylko czekać, aż przyjdzie wezwanie.

- Wezwanie? Jakże wezwanie?

Nyborg odwrócił się do niego i po raz pierwszy od blisko dwóch standardowych tygodni D'mahl

ostreżę na jego wydłużonym obliczu wyraz ożywienia, jakis cienia, może nawet wspomnienie ekstazy.

- Kiedy prozonia wzywa cie do siebie. - powiedział - Sam zobaczysz. O tym się nie mówi. Otrzymu-

sz wezwanie i idziesz - to wszystko. Po to tu wszyscy jesteśmy.

- Po co tu jesteście? A to wszystko? D'mahl zakreślił ręką krąg, wskazując nagromadzenie przyrzą-

ów.

Wyrażenie doszły, jak z twarzy Nyborga uchodzi życie; na ognie w jego oczach spadły zasłony i

now był jak przedtem, Nyborgiem-cyborgiem.

To jest misja - burknął, odwracając się z powrotem do ekranu odczytów. Misja nas tutaj przynosi.

le my przybywamy dla wezwania. Dlaczego, jak myślisz, mówią o nas „próżniolady”?

No, dlaczego?

- Bo my żywny się próżnią - odparł Nyborg.

To znaczy, że nie zależy wam na misji? Nie poświęcacie się dobowolnie, aby nam znaleźć nowy,

ny świat?

Bzdury! burknął Nyborg. - Stalki zwiadowcze nas nie potrzebują, same sę mogą obsługiwać. To

ich potrzebujemy: żeby się dostać do próżni.

Celowo markował zainteresowanie tym, co robi i D'mahl nie wyciągnął z niego ani sylaby więcej.

*

Właściwie od jak dawna lałasz na stalkach zwiadowczych, Areth? - zapytał Jofe D'mahl, podnosząc

zrok znad beznadziejnej sytuacji dla siebie na szachownicy.

Z półtora wieku - odparła Areth Lorenzi, nie przerywając planowania następnego ruchu. Jak

awsze, nie dodała nic od siebie.

Musisz być naprawdę oddana misji, skoro tyle lat spędzasz tutaj, w nicości zauważył D'mahl,

siłując cokolwiek z niej wyciągnąć. Te oczy tak wiele dawały do zrozumienia, a te usta tak mało mowi-

- Za każdym razem słyszałam wezwanie.

- Co to za wezwanie, o którym wszyscy tu mówią?

- Wezwanie próżni. Dla tych, którzy otrzymali wezwanie, nie ma nic poza próżnią. Ty myślisz, że my

ę poświęcamy dla dobra ludzkości?

- A nie?

Areth Lorenzi popatrzyła na niego, swymi wiekowymi, kryształowymi oczami.

Obsługujemy stątki, aby dostać się w próżnię; nie zmagamy się z próżnią, żeby obsługiwać stątki

wiedziada. Nie poświęcamy nic prócz iluzji żyjemy w prawdzie żyjemy dla prawdy.

i prawda was wyzwoli? - spytał cierpko D'mahl. Uwaga ta nie dotarła jednak do Areth, gdyż Areth

nie miała jak zasięgnąć wyjaśnienia z banków.

Spuściła wzrok. W jej głosie zabrzmiała nutka goryczy.

Nikt nie jest winny o to prawda. Przesumowaniem wiedzy dała D'mahlowi podwójnego szacha, króla i królowej. Szach-mat w trzech ruchach, D'mahl - oświadczyła.

*

D'mahl zasiał Harisa Bandoora samego na mostku, zapatrzonego wstecz, tam, gdzie jeszcze do nie-

dawna widac było Karawanę w postaci małego swietelnego krąka wśród punkcikow gwiazd. Teraz

Karawana, jeżeli w ogóle widoczna, była jedynie punkcikiem swiatła zagubionym postoi milionow

takich samych punkcikow. „Bela 37” jak zażyła w czarnym, kryształowym ogromie, usianym niernu

chomymi drobinkami skrzającego się pyłu w abstrakcyjnym wszechświecie wątpliwej realności.

D'mahlą przeszył dreszcz trwoży, przełotne doznanie całkowitego osamotnienia. W tej martwej, obu-

jętej nocy, nawet obecność enigmatycznego i wyniosłego Bandoora działała jak promyk ludzkiego cie-

pla.

Obezwładniające, prawda? - odezwał się Bandoora, odwracając głowę na odgłos kroków D'mahla.

Sto miliardow gwiazd, planet pewnie tyle samo, a to przecież tylko jedna galaktyka, okrucn materii

dryfujący w nieskończonej nicości. - W jego ciemnych, bezdennych oczach było teraz wiele tkliwości,

niemał ławie zaniepokojenie. - Kim my jesteśmy, D'mahl? Niegdyś byliśmy częścią pewnej nieznaczącej

anomali zwaney zyciem, która zanieczyszcza drobinkę pyłu wrzującego w okrucn materii, zagubio-

nym w obłoczku innych okrucn, który sam w sobie stanowił miernie zanieczyszczenie wszechswia-

towej próżni. Dzisiaj już nawet tym nie jesteśmy...

- Jesteśmy liczącym się elementem - odparł D'mahl.

- Dla kogo? - Bandoora ruchem głowy wskazał czeleść. - Dla tego?

Dla siebie samych. Dla jakiegokolwiek istoi obdarzonych świadomością, na którejkolwiek z planet

obiegających słonecznik w gwiazd. Liczy się nauka, Bandoora. Reszta to tylko produkty uboczne

D'mahl zaśmiał się głucho. - Jeżeli nawet to ślipsiszym, niech nam służy jak najdłużej.

- Gdybyś ty wiedział...

- Gdybym wiedział - co?

Bandoora uśmiechnął się ironicznie.

- To, czego się dowiesz. Po to tu jesteś. Nie możemy pozostać z tym sami na zawsze.

- Ale co...

- Usłyszałem wezwanie, Haris - Raj Doru już wcześniej dostał się na mostek, a teraz podszedł spiesz-

nie i stanął u boku Bandoora. Jego brązowe oczy plonęły gorączką, a w ruchach znac było niecodzienną

ociężałość.

- Kiedy? - spytał cierpko Bandoora.

- Teraz.

- Jak długo?

- Dwadzieścia cztery godziny.

Bandoora odwrócił się i podał za Doru do tunelu windy.

- Co się dzieje? - pytał D'mahl, depcząc im po piętach.

- Raj wybiera się ssac próżnię odrzeka Bandoora. - Dostał wezwanie. Masz ochotę pomóc mi go

wyprowadzić?

*

Przy okrągłej klapie wjazdu Raj Doru pobrał z polki sprzęt do podróżowania w próżni, ubrał się w

niego wziął butelkę wody i kasetę żywnościową z zamkniętą szalki, przypiął je zastrząskiem do pasa

spodenek. Jego oczy patrzyły gdzieś w nieodgadnioną rzeczywistość, z którą D'mahl nawet nie próbował

łapać synu.

- Co ty robisz, Doru? - zapytał

Doru nie odpowiedział, zdawało się, że w ogóle nie zauważa obecności D'mahla

- Zażoż pecherz próżniowy i sam się przekonał. - powiedział Bandoora zdejmując z polki dwa zesta-

wy i podając jeden D'mahlowi.

Ubrał się, po czym Bandoora otworzył drzwi wjazdu i we trzech przeszli do komory blokady powie-

trza. Niepompowali pecherze, Bandoora szczerze zamknął drzwi i przez błone drgan przeszli na podest

wejściowy statku.



Piotr N. A. Gociek

Wielka ucieczka

Wyróżnienie w konkursie
„Fantastyki”

Po raz pierwszy spotkałem go kiedy byłem jeszcze małym brzdącem. Pojawił się na kartach jednej z moich późniejszych ulubionych książek. Po latach jego wizerunek zatęchł w czasie; w brudnym kieracie życia, pracy i spraw domowych zapomniałem o nim. Ale pokazał mi się znów.

Stałem wtedy w długim ogonku do kasy biletowej na dworcu autobusowym. Zaledwie kilka osób dzieliło mnie od okienka, gdy wszczął się tam jakiś rwytes. Stojący przede mną korpulentny jegomość o spoconej twarzy, ubrany w ciężkie futro krzyknął nagle:

– Co pan sobie myśli! Streszczaj się pan, nie będziemy przez takich dziadów stać tutaj wiecznie!

Rozgorączkowany tłumek dał upust swej złości i przyłączył się do słów tego faceta, wyglądającego na jakiegoś badylarza, który dziesięć szklarni odziedziczył po ojcu, a drugie tyle wybudował sam, kupił lancję i stwierdził, że ma wszystko gdzieś, ale któremu auto się zepsuło zmuszając go do skorzystania z tak poniżającego środka lokomocji jak autobus.

Po chwili zobaczyłem przyczynę całego zajścia. Spod kasy wymknął się, jakby przyciśnięty do brudnej podłogi ogromem zarzutów, drobny staruszek o zmęczonym wyglądzie i drżących rękach mnących ze wstydem kupiony przed chwilą bilet. Kiedy przechodził koło mnie, zobaczyłem, że w kącikach jego oczu kłębi się łzy. Utykał na jedną nogę, dlatego nie mógł chodzić zbyt szybko. Jak wiezień przed plutonem egzekucyjnym przemaszerował wzdłuż kolejki, obrzucany szczerze obelgami i wyzw-

skami, w których przodował stojący obok mnie i wspomniany już krezus. Zbierając powoli siły, aby przeciwstawić się tłumowi wymyślającemu staruszkowi, najechałem na krzykacza.

– Niech pan uważa – powiedziałem podnosząc głos jeszcze parę latek i sam pan będzie kuśtykał o laseczce. Ciekawe jak wtedy się pan poczuje. W każdym razie obiecuję, że ja będę pierwszym, który nazwie pana zawadzającym we wszystkim dziadym.

Zamurowało go. Tłum również. Tylko staruszek pośpiesznie ruszył dalej, spoglądając na mnie z niewypowiedzianą wdzięcznością. Tymczasem kolejka otrząsnęła się już z osłupienia i ryknęła na mnie zgodnym wrzaskiem.

Ty gówniarzu jeden na co sobie pozwalasz – usłyszałem za uchem. Nie musiałem odgadywać, to mój najbliższy sąsiad zareagował. Z tyłu któraś z przekupiek krzyknęła histerycznie.

– Na takich to tylko milicji trzeba! Długowłosey cham, jaki młody, proszę i już ze starszymi zadziera!

Wysliznałem się z kolejki. I wtedy go zobaczyłem. Poznałem jego jasną czuprynę od razu, tylko nie mogłem sobie przypomnieć jak się nazywa. Wiedziałem jedynie, że należy do nielicznego grona moich Przyjaciół z Dzieciństwa. Siedział na ławce niedaleko kasy i kiedy podszedłem do niego powiedział:

– Chrzań to.

– Nie mogę – odrzekłem – przecież nie wszyscy ludzie są tacy.

– Chrzań to – powtórzył. – To jest bez sensu.

Nie posłuchałem tej rady. Odwróciłem się na chwilę, by spojrzeć w kierunku kasy; ale gdy zaraz potem wróciłem wzrokiem ku ławce, Przyjaciela z Dzieciństwa już na niej nie było.

Dругi raz spotkałem go kiedy czuwałem w szpitalu, przy łóżku kolegi ciężko pobitego przez niezidentyfikowanych sprawców. Dochodziła północ. Poczułem, że ktoś na mnie patrzy. Rzuciłem okiem w stronę wejścia na sale. On tam stał, poprawiał swój żółty szal, opierając się plecami o framugę drzwi.

– Dalej wierzysz w siebie i w innych? – spytał z rozbażeniem. – Chrzań to.

– Robię co mogę – powiedziałem obserwując unoszącą się w nierównym oddechu pierś mojego kolegi.

– Zastanów się – szepnął Przyjaciel z Dzieciństwa, choć w ciszy śpiącego szpitala ten szept zabrzmiał jak grzmot.

Zniknął.

Nie minęło wiele czasu, a znów go zobaczyłem. Czekalem wówczas na pociąg, stojąc na jednym z peronów wielkiego dworca kolejowego. Zapalałem właśnie papierosa, kiedy podszedł do mnie skromnie ubrany mężczyzna. Mógł mieć gdzieś około pięćdziesiątki, może trochę więcej. Kaszlał ciężko.

– Ja bardzo pana przepraszam – powiedział cicho – to taka drażliwa i głupia sprawa. Ja wiem, że to nie wypada, ale jestem w takiej sytuacji – zakrztusił się nagle. – Wracam do domu, nie było mnie tam od czterech lat. I zabrakło mi pieniędzy na przejazd. Mam bilet tylko do połowy drogi. Więc gdyby pan był tak dobry... – zawiesił głos w oczekiwaniu i spojrzał na mnie błagalnie, wciąż kaszając i dusząc się. Chyba gruźlica albo astma – skonstatowałem w duchu. Jak na złość nie miałem przy sobie ani grosza. Z przepraszanym uśmiechem poinformowałem go o tym. Przeprosił jeszcze raz i ze spuszczoną głową odszedł. Wsiadając do pociągu widziałem go jeszcze, krążącego bezradnie po kamiennej posadzce peronu, wśród ludzi równie zimnych jak stalowa wstęga szyn prowadząca mnie do domu. Znów wyczułem czyjaś obecność. Przyjaciela z Dzieciństwa siedział naprzeciwko mnie w pustym przedziale.

– Nie pomogłeś mi – stwierdził raczej niż spytał.

Poczułem, że się czerwienię.

– Nie mam pieniędzy – odparłem.

– Zostaw to wszystko. Chrzań ten świat i nie przejmuj się niczym.

Skrzywiłem się.

– Nie.

Przyjaciel z Dzieciństwa rozwiął się jak poranna mgła.

Jeszcze wielokrotnie namawiał mnie do rzucenia wszystkiego w diabły. Opierałem się temu z całą stanowczością. Mijały miesiące, potem lata. Przetrwiałem odejście w niebyt paru przyjaciół, dwa razy wyrzucono mnie z pracy, niemal natychmiast po tym jak mnie zaangażowano, pochowałem brata, przeżyłem pożar hotelu spowodowany przez schlanego na amen windziarza, widziałem jak katuje się ludzi, jak męczy się zwierzęta. Schowany za murem moich humanistycznych poglądów walczyłem ze wszystkimi grzechami ludzkości. Ale ponosiłem porażki. Ponosiłem ich zbyt wiele. Chciałem poprawiać świat nie wiedząc nawet, że stoję na straconej pozycji. I zawsze, gdziekolwiek byłem, towarzyszył mi Przyjaciół z Dzieciństwa. Czekał na mnie.

Owego dnia wróciłem do domu później niż zwykle. Na ulicy zwrócił mą uwagę tłum niespotykany zazwyczaj w naszej spokojnej dzielnicy. Podeszedłem bliżej. Moja żona leżała na asfalcie w kałuży krwi. Załamałem się. Dobilo mnie jeszcze to fałszywe współczucie ludzi, którzy napatrzyli się do syta na zwłoki i śpieszyli teraz do domów, by z wypiekami na twarzy opowiedzieć o wszystkim rodzinie. Nie wiedziałem nawet, kiedy zabrano ciało i odwieziono je do miejskiej kostnicy. Wróciłem do pustego mieszkanka w milczeniu, chwytając ciężko powietrze i podpierając się dłońmi o ściane.

W moim gabinecie czekał już Przyjaciół z Dzieciństwa. Na mój widok wstał.

- Chrzan to - powiedział. - Zrozumiałeś już?

Kiwnąłem z rezygnacją głową. Przyjaciół z Dzieciństwa chwycił mnie za rękę.

- Uważaj - powiedział - lecimy.

Poczułem, jakby coś mnie kolnęło.

Byłem wolny. Poda mna widniały zarysy szarych górskich szczytów, a nad głową miałem czyste niebo. Błękitne, nie zasnułe dymami potężnych kominów. Widziałem po raz pierwszy w życiu czystą wodę w rzekach i strumieniach, drzewa obsypujące się listowiem, którego już nigdy nie miały zrzucić, słońce wesoło pieszczące promieniami wszystko co żywe, ptaki szybujące w beztróskim locie pod pułapem niebios. Czulem, że też moge latać, wzbić się wysoko ponad ziemię, więc leciałem coraz wyżej, aż w pewnym momencie lazur zastąpiła czerń Wszechświata. Gwiazdy zatoczyły wokół mnie jak zalotne dziewczęta. Widziałem mgławice, obłoki, konstelacje... Nurzałem się w tym oceanie nicości, skapany w świetle dalekich słońc. Wreszcie postanowiłem wrócić. Pojawiłem się tuż nad lasem, pikując w stronę szmaragdowego jeziora. „Jestem szczęśliwy - chciałem krzyczeć na cały głos - szczęśliwy!”

Ludzie... - pomyślałem - jacy są tu ludzie? I naraz ujrzałem w głębi duszy obraz pięknych półbógów, wiecznie zadowolonych z życia. Ludzie tu nie zabijali i nie byli zabijani. Ktoś kiedyś powiedział: „Bądźcie dla siebie nawzajem dobrzy” i ci, których zobaczyłem, byli pierwszymi istotami ludzkimi, jakie żyły według tego przykazania, ważniejszego niż wszystkie dziesięć punktów dekalogu. Wirowałem wśród chmur, nurkowałem ku ziemi, by zaraz potem wzbić się hen, pod słońce. Bałem się z wiatrem w berka i byłem szczęśliwy. Naprawdę.

Ocknąłem się nagle i niespodziewanie. W fotelu naprzeciw mnie siedział Przyjaciół z Dzieciństwa. Wówczas poznałem go. Zespoliłem w jedną całość jego wygląd i imię. Przypomniłem sobie, że jego wizerunek towarzyszył mi od dawna. Wąska mała szpada, ciemne buciki z cholewami, białe spodnie i takież koszula, a na tym wszystkim czerwono-niebieski płaszcz. Ni stąd, ni zowąd z zakamarków pamięci wypłynął widok baranka jedzącego różę i małej planetki obrośniętej trzema drzewami.

- Dziękuję - powiedziałem i popatrzyłem w jego błękitne oczy, biorąc z ciepłych i szczupłych dłoni Małego Księcia przezroczysty woreczek z trawą.

Opole, 1985

Piotr N. A. Gociek



Tomasz Zakrzewski

SPRAWA HONORU

Katarzyna Kuligowska

Jaka straszna może być cisza. a przecież kiedyś uwielbiałem bezgłośnie narastanie napięcia, zharmozowane z delikatnym szmerem płytkich, przyspieszonych oddechów. Wbrew logice - usiłowałem jeszcze walczyć.

- Ja wam pokażę - wyłem - przyprowadzę moją matkę i ona powie wam kim jestem!

Cisza rozsypała się nagle jak stos kamieni.

- Nie wpuszczimy tej ostarskiej dziwki!

- Każemy jej zdjąć majtki!

- Wyliżę całą podłogę!

- Ogolimy ją, jak ty ogoliłeś Wie!

- Podniosłeś rękę na Munka - to Attbo, mój przyjaciel.

Nie zwiódł mnie spokojny ton jego głosu, odskoczyłem uderzając plecami o ściane. Nóż Attbo przekroził ze świstem powietrze w miejscu, gdzie przed sekundą trzymałem ręce.

Rzuciłem się do ucieczki. Ktoś podłożył mi nogę, pełznąc po podłodze czulem w ustach słony smak krwi. Bałem się, cholernie się bałem.

Mój świat trzasnął jak lód pod butem w marcowy poranek. Zaatakowany przez setki wspomnień, dygotałem skulony na ławce w parku.

- Czy jest ci tu źle, synku? Inne dzieci nie mają własnego ogródka...

Wierce się niespokojnie na jej kolanach.

- A mnie się tu nudzi! Wolałbym mieszkać w bloku, jeździć windą. Wszyscy koledzy mieszkają w blokach! Ty nie lubisz moich kolegów!

- Arite, ojciec ciężko pracuje, jemu też potrzebny jest spokój.

- Nieprawda! Kiedyś słyszałem jak mówił przez telefon...

Pamiętam uczucie oburzenia, kiedy brutalnie zepchnęła mnie na ziemię, poderwała się i wybiegła z pokoju.

- Mamo, otwórz - żądałem, kopiąc nogą w drzwi, za którymi zniknęła. Nie odpowiadała i nie wpuszczała nikogo. Zresztą oprócz mnie nikt nie chciał tam wejść.

Matka ma znowu humory. Skwitowała ojciec tak jak stał, w butach i z tęczką wszedł do kuchni. Na świeżo wypastowanej podłodze zasychały wężyki brunatnej gliny. - Ma czas, nic nie robi, to posprząta jeszcze raz - mruknął do siebie.

Patrzyłem jak je, jak zbiera sos kawalkami chleba i pakuje je do ust. Żarłoczny, niski mężczyzna.

- Nie gap się, Arite, idź na górę i odrabiaj lekcje.

Lekcja historii.

- Kiedyś trzymano ich w klatkach - opowiadał nauczyciel z twarzą rozmarzonego anioła - nie mogli wyjść poza wyznaczony teren, więziły ich druty wysokiego napięcia. Podobno niektórzy rzucali się na te druty, nie chcieli umierać z głodu. Teraz chociaż wszyscy brzydymy się tym rodem brudasów, bez kultury i dorobku intelektualnego, mają wyznaczone dzielnice, gdzie mogą mieszkać. Za zabicie Ostarsa, którego przylapie się w naszych dzielnicach trzeba płacić karę pieniężną.

- Jak wysoką? - zapytał Attbo.

Nauczyciel wymienił sumę. Zapadła pełna niedowierzania cisza.

- Mam na dwóch - ryknął Attbo, wysypując z kieszeni drobne.

- A ja na trzech!

- Sąsiad pokazywał mi szufladę w biurku, pełną pokwitowań za zapłacone kary. On bierze tylko kobiety w ciąży, bo każą płacić za jednego, a jest dwoje albo troje, no nie?

- Chłopaki, zbieramy pieniądze!

- Zrobimy polowanie!

- Jak możecie, świnię, jak się nie wstydzicie!

Zulena, córka dyrektora szkoły stała w ławce blada, z wściekłością szarpiąc koniec warkocza. Jej głos wibrował piskliwie.

- Szkoda, że nikt nie pozabijał waszych matek! Potwory!

- Chcesz koniecznie, żeby twój ojciec stracił pracę - syknął nauczyciel, niby cicho, ale tak, żeby wszyscy usłyszeli.

- Już i tak napisał pan dosyć anonimów - wrzasnęła, rozplakała się i wybiegła z klasy.

Przez chwilę jeszcze siedzieliśmy w milczeniu, zanim poprawiając machinalnie krawat nie podjął przerwanego tak nagle wykładu...

-Mamo, dlaczego się malujesz?

Nie pasowały do niej te jaskrawe usta i różowe placki na policzkach. Starannie prowadząc ołówek wzdłuż brwi, gestem wolnej ręki wskazała mi leżącą na dywanie szarą kopertę.

Przebiegłem szybko wzrokiem druczek - „Urząd Kontroli Czystości Rasy wzywa Ob... do stawienia się... dnia... w pokoju... w razie niestawienia wyciągnięte zostaną konsekwencje zgodnie z Rozporządzeniem... § 6, pkt. 9...”

- Kiedy oni się od nas odczepią? - takie druczki coraz częściej wyjmowałem ze skrzynki na listy.

- Arite, to tylko rutynowe badanie. Idź do kuchni, zrobiłam ci budyn z wisniami.

Wychodząc zobaczyłem przez moment odbicie jej twarzy w lustrze. Bezgłośnie poruszała ustami. Modliła się?

Na boisku, pod drzewami sterczał nieforemny drewniany pal. Ostars, którego tam przywiązaliśmy był mały i chudy. Modlił się głośno. Nie chcieliśmy mu nic zrobić, rzucaliśmy nożami, obrysowując ostrzami kontur jego ciała. Zamykał gwałtownie oczy, łyzy spływały żłobiąc ścieżki na brudnej buzi. W końcu nie wytrzymał, zaczął rzygać, pobrudził sobie koszulę i spodnie.

To Attbo rzucał ostatni, przygwoździł tamtemu skórę przedramienia do pala. Ciemny, wąski strumyczek krwi wsiąkał w suchą ziemię.

Roztrzaskając nas biegła Wie. Wyszarpnęła ten noż, poleciał kresząc szeroki huk i upadł na murawę tuż przy moich stopach. Podniosłem go.

- Uciekaj stąd - rzuciła, nachylając się do nóg Ostarsa.

Chyba nie słyszał, jego ciałem wstrząsała gwałtowna czkawka, zsikał się, brudząc dłonie dziewczyny, nie otwierając oczu kiwał monotonna głową.

- Durniu, idź stąd - wrzasnęła rozplątując sznur. Nie chciał. Uderzyła go z całej siły w twarz. Skomlać żałośnie osunął się, upadł, mocno obejmując pal zakrwawionymi ramionami.

Kiedy Wie odwróciła się, otaczaliśmy ją już milczącym kregiem. Popychany spojrzeniami kolegów goilem do gołej skóry jej piękne, miękkie łoki, puszyste i ciepłe.

Wie nie wróciła już do naszej klasy. Nigdy jej nie spotkałem. A wóz od śmieci przyjechał godzinę później i zabrał ciało spod drzew. Zanim przyjechali, wszystkie maluchy, pod wodzą rudowłosego Teari zatykając demonstracyjnie nosy pluły na zwłoki.

Chłód wygonił mnie w koncu z parku. Bałem się wsiąść do tramwaju, klucząc zaułkami dotarłem do domu. Opanowało mnie straszliwe podejrzenie, że każdy przechodzień wie.

Jestem Munkiem, prawowitym obywatelem swojego kraju - jęczałem do siebie przez zaciśnięte zęby, nie pomagało, myślałem o jednym, o jednym banknocie, który wyznaczał wartość mojego życia.

Drzwi otworzyła matka, rzuciłem się do niej, całowałem łapczywie blade policzki.

- Powiedz, że to nieprawda - prosiłem kłękając z twarzą w jej spodnicy. Podniosła mi głowę do góry.

- Pakuj się, wyjeżdżamy do innej dzielnicy. Zaraz. Ja już się spakowałam. - I sucho dorzuciła - zrób to szybko, póki nie ma ojca.

Ostarskie dzielnice. Byliśmy tam kiedyś na wycieczce. Baraki sklejone z drewna. Spoglądając ostrożnie dookoła kobieta w brudnej zapasce przegarniała nogą śmieci na wysypisku, inna, młoda, nie opodał karmila dziecko piersią wydając ostrzegawczy gwizd, gdy zbliżał się ktoś obcy.

Pod płachtą z brezentu Ostarka odcina kupony i rzuca na łade wąskie, czarne bochenki chleba. Kolejka posuwa się w milczeniu. Dziewczynka w bawełnianej sukience na nasz widok uśmiecha się szeroko, pokazując wyszczerbione ząbki. Odwracamy głowy, idziemy dalej. Zostaje sama ze swoim niepotrzebnym uśmiechem.

Stoje oparty o framugę drzwi. Domyśliła się, na co czekam.

- Ojciec bardzo kochał mnie... kiedyś. Wierz mi, nie chciałam zostać jego żoną, nie chciałam nawet ciebie. Nie powinienam. Ale potem... tak bardzo pragnęłam uchronić mojego małego Arite... Przecież Munki i Ostarsi są takimi samymi ludźmi, prawda?

Miała rację. Przytulilem się do niej.

- Obiecuję, mamu, nie bedziesz kraść resztek na śmietnikach. Jestem prawie dorosły i zatroszczę się o ciebie.

Nóż wszedł gładko w środek szyi, oślepiiony fontanną krwi ciągnąłem go z całej siły do góry, aż do zgrzytnięcia o kość podbródka. Mocno zacisnęła ręce na moich ramionach... jak kiedyś.

- Teraz jesteś równa Munkom, mamu - pożegnałem ją, a potem kucnąłem i gładząc ciemne włosy, zaśpiewałem kołysankę, którą zawsze żegnała mnie na całą noc, pełną dzieciennych snów i strachów.

Gwiazda błyszczy hen, na niebie,

A ja bardzo kocham ciebie.

Mały kotek ziewa słodko,

A ja kocham cie, Pieszczotko.

I wtedy zrozumiałem naprawdę wszystko. Zobaczyłem cień płynnie przesuwający się do kuchni. On tu był! Mój ojciec, czekał zaczajony za drzwiami, czekał na rzeźnię, na odgłos padającego ciała, które dla niego oznaczało tylko jedno - wolność.

Głośno stukając butami i demonstracyjnie pogwizdując, przeszedłem się po kuchni. Byłem Munkiem. Naprawdę byłem Munkiem. Zanim wbiłem sobie nóż, zakleilem starannie usta plastrzem, żeby nie usłyszał, żeby się nie doczekał, żeby drżał za drzwiami w lekku i nadziei, ściskając w dłoni kaucję za nas, nie wiedząc czy już... I niech tam stoi jak najdłużej!

Max Asprayd, postać dwuznaczna i niepokojąca, to bohater najnowszej powieści Macieja Parowskiego, którą planuje skończyć do jesieni 1988 roku i złożyć w wydawnictwie „Czytelnik”. Akcja książki rozgrywa się w Szwajcarii na początku XXI wieku. Na Księżycu istnieje już niezależne państwo – modne centrum turystyczne i bankowe świata. Szwajcaria traci na rzecz Księżyca swoją dotychczasową pozycję. Mały i piękny kraj, będący w poprzednich wiekach oazą dobrobytu i spokoju, gwałtownie ubożeje, ogarniają go też różnego rodzaju konflikty. Ich uśmierzaniem, obok policji, zajmuje się specjalna formacja mildgorow (goryle ładu). Powieść opowiada o losach jednego z nich.

(an)

MILD

(fragment powieści)

– **A** sprayd, zgłoś się!
.....
Max, słyszysz mnie? Powiedz coś. Tylko coś powiedz. Proszę cię!

Głos woła z podłogi. Jest brzęczący, niedoskonały, pasmo okrojone z góry i z dołu. Żadnej finezji, żadnego hi-fi. Sam chrobot. Głos bloxa.

– Max Asprayd, tu oficer dyżurny, Kurt Eckart. Mówi Centrala. Dziś twój dzień. Odbiór.

– Czego chcesz?

– Obudziłeś się, Max? – Głos drży radością. To słychać wyraźnie, mimo że piguła bloxa leży na podłodze, wpięta w kołnierz bluzy, przywalonej spodniami. – Znaczą, Max – woła Kurt – znaczą, z grubsza biorąc, jesteś do wzięcia!

– A bo co? Która godzina?

– Nie masz zegarka?

Rozglądam się. Bransoletka leży pod oknem. W jej pobliżu Girojet. Mam nadzieję, że zabezpieczony. Krzesło z powieszoną kurtką zastygło półwywrócone, oparte o szafę. Wychylam się z łóżka. Bluza jest zmięta, spodnie także, ale plam na nich nie widać.

– Jak bym miał, to bym nie pytał. Jest gdzieś poza zasięgiem. Która?

– Pięć po dziesiątej. Mam dla ciebie robotę, Max!

Poruszam głową. Zamykam oczy. Otwieram. Słońce. Zimne powietrze od okna. Bise. Żadnego bólu. Pełnia pełnia, ale w sumie można wytrzymać. Pytam.

– Jaki stopień trudności?

– Najprostsz. Trzeba przywołać do porządku szczeniaka. Jest zalecenie, żeby błyskawicznie.

– Kurt, litości. Jeśli najprostsz, wez Scharfe.

– Scharfe nie da rady. Trochę zapila – zawiesza głos, po czym dodaje krótko i niewyraźnie. – Poza tym ma okres.

– Wczoraj, o ile pamiętam, raczej nie miała.

Chwila ciszy. Słyszę przeciągłe westchnienie. Kurt to porządny chłopak. Taką ma opinie wśród wszystkich służb.

– Więc to ty ją sprawdzałeś, Max – pyta z zainteresowaniem – a ja myślałem...

– No nie, nie wczoraj. Ale widziałem, jak się ówijała wokół Gozenkranca. Była bardzo oblecująca.

Kurt śmieje się. Tu w mieszkaniu metaliczny charkot bloxa usłusze opowiedzieć o jego rechocie.

– Więc przyjmij do wiadomości, że chyba jednak miała. I przyszło jej do głowy, żeby Goz choć raz w życiu pozalecał się do paniutki bezinteresownie. Oberwała za to. Potem sama trochę mu przyłożyła. Potem wypili

wspólnie następną butelkę i zaczęli się godzić. Oboje nie do użytku.

Ladne. I nawet brzmiałoby przekonująco, gdyby nie było beczelną próbą wrobienia mnie w robotę, której mogę uniknąć.

– Skądże tak dokładnie o tym wiesz?... Czemu nie wezwiesz Rildensterna? Dziś także jego dzień. A inni?

– Wiem, Max. Nie zawracałbym ci głowy, gdybym nie musiał. I proszę, ani słowa o Rildensternie. Kompletny denat. Delirka przez najbliższe pięć godzin.

– No tak mówię przytomnie.

Aż taki kiepski szczęśliwie nie jestem. Żołądek w nocy nie wytrzymał i dzięki temu głowa pracuje teraz zupełnie przyzwolcie. Tylko pić, chce mi się pić. No i pod czaszką czuję delikatne mrowienie. Jeszcze godzinka w łóżku i będę dobry.

Blox znowu brzęczy.

– To zresztą nie jest robota dla Rilda. Nie chcę, żeby po małej lekcji grzeczności musieli zaraz pakować człowieka w gips i na wyciąg.

Widzę niebo, chmury, zimowe słońce: pod nimi szare dachy sąsiednich bloków. Marzę o jednym – pozwólcie mi teraz zamknąć oczy i głęboko pooddychać zimnym powietrzem. Przez godzinę.

– Przeceniasz mnie, Kurt, ale ja też jestem trup – powoli cedzę słowa. – Umówmy się. Nie było tej rozmowy. A ty poszukasz sobie...

Przerywa mi bezlitośnie. Po tonie poznaje, że zastawił dobrą pułapkę, że tkwie w niej po uszy.

– Mam przed sobą stoper – mówi zimno. – Gadamy dwie minuty i jedenaście sekund. Jesteś znakomicie poukładany, Max. Nie jeczysz, nie wykrecasz się, znajdujesz na poczekaniu odpowiednie słowa. Rildenstern, kiedy go dopadłem, tylko coś zabalgotał i wyłączył bloxa. Ty nie umierasz, nic z tego. Ubieraj się!

Walałem pięścią w łóżko, aż zajęczały sprężyny. Ostrożnie, głowa!

– Podprowadziłeś mnie, sukinsynu – wołam do czarnej gałki wpiętej w bluzy. – Podprowadziłeś mnie, ale i tak...

– Nie powiedziałem najważniejszego, Max. Zgodnie z procedurą rejestruję rozmowę. Tym razem nie oszczędzam taśmy.

Taki jest Kurt Eckart. Grzeczny, elegancki, koleżeński. Podobno ludzie go onieśmielają, nie umie podnosić głosu, klócić się. Wziął tę robotę, bo nie mógł znaleźć innej, ale nie łączy z nami po mieście, bo nie ma siły przebicia. I wykonuje swoje, jak może najlepiej.

– Niech ci będzie, zapamiętam to – mówię. – Więc daj mi moje regulaminowe pięć minut. Napiję się czegoś zimnego, pokażesz faceta i powiesz, co jest grane. Potem

go dopadnę, wyrwę mu wszystkie kończyny i wysłę całą piątkę na adres klienta.

- Dobra, dobra!
- A ty, do diabła, wyjaśnij jeszcze, skąd ten pośpiech?

Mam inny pomysł. Wszystkie dane wyświetle ci w wozie. Teraz weź prysznic - Kurt jest przyjacielski i odpreżony. - Wyjeżdżasz w stronę Weinberg Strasse, skręcasz w most dworcowy i zatrzymujesz się na Bahnhof

BIENVENUS A LA LUNE XXX PRIX BAS XXX TARIFF REDUIT POUR LES JEUNES MARIÉS. ZAPRASZAMY NA KSIĘŻYC. PRZYSTĘPNE CENY, ZNIŻKA DLA NOWOŻEŃCÓW. Zapala się to na przemian. Po francusku, po naszemu. Potem jeszcze po włosku i po angielsku. Zwłaszcza ten angielski i w dodatku Księżyc... Zawsze kiedy tedy przejeżdżam, krew uderza mi do głowy. Cholerne międzynarodowe komisje wzięły nas za twarz i robią, co chcą. Ale teorie wymyśliły ładną - międzynarodowa

GOR

Maciej Parowski

Qual. W drodze poznasz szczegóły i dalej sam decydujesz.

Przytakuje bloxowi z wdzięcznością. Wstaje i ostrożnie, żeby nie podrażnić żadnego nerwu, idzie w stronę łazienki. Prysznic to jest pomysł najlepszy ze wszystkich. A po nim szklanka toniku.

- Dwa słowa - brzęczy blox.
- Co jest? - pytam bluzy.
- Zaraz tamto skasuje, przepraszam Max. Dużo chłopów poszło już w miasto. Jest coś takiego w powietrzu. Naprawdę nie miałem wolnego człowieka.

Cały Kurt Eckart. Zrobi swoje, a potem wykona jeden drobny gest. On po prostu lubi uchodzić za równego faceta. Kiedyś się na tym ostro przejedzie.

W garażu ręce wcale mi się nie trzęsły. Drogi wyjazdowe z osiedla były wyczyszczone i wysypane jak należy, dopiero na autostradzie przednie koła zaczęły skakać na muldach, a kierownica trzępnęła mi parę razy w dłoniach, jak ranny ptak. Widać drogowcy z Wipkingen znowu zalali pałki i ich żółte traktorki nie wyjechały na drogi.

Nie powinienem jeździć do śródmiescia i tresować nieznanego szczeniaka. Należało zawrócić do Wipkingen i pogadać z szefem drogowców. Na przykład strzelić go w nalany pysk i podbić mu jego podkrażone, przekrwione oczka. Tylko skąd pewność, że facet pił tej nocy? Gdyby nie pił, droga byłaby równa jak stół, a dziesiątki muld nie odbijałyby się drganiem kół i seriami nieprzyjemnych wstrząsów w mojej głowie.

- Max, podaje rysopis - mówi Kurt z aparatury - włącz tele.

- Miło cię słyszeć. Nareszcie przestałeś charczec jak zarzynany. Stereo dodaje ci wdzięku.

Nie odpowiada. Na ekraniku, przy biegach, zjawia się chłopieca twarz. Zdjęcie do kenkarty. Ryż włosy, piegi, wargi ułożone nierówno, jak do uśmiechu. Ciemne, piwne oczy patrzą na świat prosto i szczerze. Gówniarz!

- I cóż on zrobił? Dotarł do twierdzy George'a Gordona i wysadził całą górę w powietrze? Pociąg go za to i zasolić, czy wystarczy, jak przestrzele mu brzuch?

- To się rejestruje, Max!

- Ale potem kasuje.

Dojeżdżam do wielopasmowego skrzyżowania Buchegg z Nord Strasse. Już kilka kilometrów wcześniej widać królującą nad wszystkim, wysoki na parę nasek pięter, żywy plakat reklamowy Biura Turystycznego BONE-STEEL. Nad dziełowym księżycowym krajobrazem, na granatowoczarńnym niebie, obok białej kuli z poświatą imitującej słońce zapalają się i gasną czerwone literki.

wspólnota ruchu turystycznego. Żeby choć prawdą było to, co powtarzano nam na szkoleniach, że George Gordon skończy z reklamowaniem Księżycy i Lunatyków, kiedy tylko wyjdziemy w gospodarce na prostą. Kurcze, kiedy to będzie!

Znowu słyszę głos Kurta.
- Zapamiętałeś szczeniaka?
- To piwniak. I fliker. Ale nie wygląda na takiego, co wysługuje się Lunatykom.

- Bo się nie wysługuje. Drugie pokolenie w naszej strefie. Był konkurs na młodego kasjera w Schweizerische Volksbank. Chłopak tam wystartował...

- Schweizerische Volksbank? Jeszcze nie zbankrutował?

- Balansują na krawędzi. Chłopak napłócił im coś i narozrabiał. Zachował się w czasie tego konkursu jak pijany i dyrektor zadzwonił do nas. Chcą szczawia pouczyć. Jean Marc Lovay, tak się nazywa. Ten chłopak, nie dyrektor.

Zerkam na ekranik. Szczeniak zniknął.

- Pokaż gnoja jeszcze raz - mówię.

Kurt znowu wyświetla uśmiechniętego piwniaka. Jean Marc Lovay ma na zdjęciu nie więcej jak dwadzieścia dwa, trzy lata. Rok w naszej strefie? Swoją drogą, czemu nie zmienił swego flikerskiego nazwiska na jakieś inne.

- A tak konkretnie, to co on zrobił?

- Zajrże do raportu. Poczekaj... Śmiał się. Zionął wodą. Gadał bez sensu. Śpiewał. Powtarzał bankowe formuły: procent składany, hipoteka, akcje, transfer, bottom line.

- Bottom line, co to takiego?

- A skąd mam wiedzieć?! Czekał... Powiedział, że dyrektor banku jest wielką kolorową żabą w ciąży i że on... jest, on fruuwa w powietrzu i musi uważać, żeby mu nie zleciał but z nogi i nie rozwalili temu dyrektorowi gęby. Zrozumiałeś?

- Dobrze. Chcesz mi wmówić, że dyrektor osobiście prowadził konkurs na młodsze kasjera?

- Nie męcz mnie, Max. Może kierownik wydziału. Nie przyjmowałem tego zlecenia. Przejąłem nagraną sprawę. Zobacz, co jest jeszcze.

Przed Schaffhuser Platz stali już chłopcy z radarem. Jeden z policjantów uradowany wylazł na jezdnię z lizakiem, ale włączyłem Elektroniczny Identyfikator Służb i w ich aparaturze rozległ się sygnał EIS. Szeregowiec cofnął się, za szybko mignęła jego wściekła gęba, fioletowa z zimna. Mandat za przekroczenie prędkości przeleciał mu koło nosa.

Kurt Eckert szeleści papierami i milczy.

- Zasnąłeś? Zjeżdżam już na Weinberg i nadal nic nie wiem. Mało mamy na tego Jean Marca

Jest najważniejsze - krzyczy - Nazwał George'a Gordona, nazwał Gordona... cholera. Nie zanotowali! Mówił coś na Gordona, ale nie wiem co. Czekał. Wszedł na ten konkurs z papierosem w gbie. Palł cały czas. Kiedy

Gadant. Jeśli wiedział od razu, czemu słowa nie pisał

Przepuściłem na zakrecie dwa fiaty. Niech gnają, jeśli muszą. W powietrze poszły bryzgi wody i śniegu. Przy



Andrzej Brzezicki

zwrócili mu uwagę... Wszystko w porządku, o co chodzi, nie oddam mojego kochanego papieroska... Tak powiedział.

Pytam, czy to rzeczywiście już wszystko, ale Kurt znowu nabiera wody w usta.

Z góry po prawej widać zbliżający się dworzec Zurich. Trochę przed nim zameczek Muzeum Ludowego. Nad dworcem i zameczkiem unosi się wielki, jeszcze większy niż przed Nordstrasse kolejny plakat Bonestella: WITAMY NA ZIEMI. BONJOUR SUR LA TERRE... Migocą czerwone literki układające się na przemian w napis w każdym z czterech języków. Niżej, pod literkami - Alpy, chłop z kijem w dłoni, krowa z olbrzymim dzwonkiem na karku i trochę świerzków. Alpy są zasnieżone jak na dzieciętnym obrazku. Wszystko w bladofioletowej tonacji. Dokładnie taki obrazek, tyle że stokrotnie mniejszy, oglądałem w dzieciństwie na tabliczkach mlecznej czekolady. Nie miałem tej czekolady w ustach ładnych parę lat. Plakat jest wielki, zasłania połowę panoramy Zurichu. Krowa macha ogonem i kręci głową, chłop podnosi i opuszcza kij. Dzwon podryguje. Reszta jest nieruchoma.

Zastanawiam się nad tym wszystkim tylko przez chwilę.

- Maryha! - strzelam
- Co ty gadasz? - pyta Kurt.
- No, gancia. Marihuana. Wzmocniona marihuana. Bardzo szybko to kupił.
- Też coś takiego chodziło mi po głowie. Masz rację

Max. W dodatku ten papieros. Od razu czułem, że to nie może być wódka.

ostrym zjeżdżając w dół trochę zakreciło mi się w żołądku. Zatrzymałem się tuż za mostem po południowej stronie i przez szybę patrzyłem na płynący powoli Limat. Potem odwróciłem głowę. Mnóstwo ludzi tłoczyło się przed dworcem. Sporo było długich, niezdarnych Lunatyków. Przed nimi maszerowali mężczyźni - niscy, pekaci, gorzej ubrani. Niesli w dłoniach torby i walizki albo pchali je przed sobą na małych wózkach. Nasi tragarze. Na to akurat nie chciałem patrzeć. Spojrzałem z powrotem na Limat. W dole sunęła bura struga pokryta pianą, niosąc kawałki lodu i śniegu. Dalej szare, brudne nadszarpnięte, nie lepsze mosty, wieże Grossmunster i Fraumundsturm. Nad wszystkim unosiła się połokrag i kopuła obserwatorium. Zadnego plakatu Bonestella. Dobrze, że przynajmniej tutaj go nie wpuszcili.

I tak to wyglądało. Dokładnie. Lamigłowka przezroczyła się jak szkło: szczeniak, ten Jean Marc, ze strachu przed egzaminami sięga po dopalacz. Traf chce, że przedawko wuje, więc zaczyna bredzić. Tych w banku zrazu zatrzyma, więc pozwalają mu wyjść. Potem pomniejsza gnida z ambicjami odwrotnie proporcjonalnymi do znaczenia, czuje gwałtowną urazę i postanawia gówniarza skarcie. Moimi rękami. Należy w tym celu zamówić interwencję w mildgorlager, zerwać pieczęć i wypuścić go wolnego mildgora z łóża boles i doprowadzić go na miejsce zbrodni. Zanim mildgor wstanie, otrzaska się i dojedzie, jest już tak wściekły, że mógłby pozrec człowieka żywcem.

- To było piętnaście przed dziesiątą, Max. Uwiniesz się, to trafisz go koło banku na miejsce. Jak nie pójdziesz na adres domowy. Klient życzy sobie express. Jeśli zdąży przed dwunastą, leci premia.

nich musiałbym osobście przytoczyć, żeby to się zmieniło?

- Ty wierzysz, że chłopak powiedział coś na Gordona? - pytam. - Wierzysz, że gdyby to była prawda, bankowcy wymieniliby taki zarzut na końcu listy? Nie zaczęliby właśnie od tego?

- Powiedzieć ci szczerze, Max? - sęka Kurt. I nie kończy.

- Według mnie nie mogą mu darować tej kolorowej żaby. O to im idzie.

Zamiast potwierdzenia słyszę ciężkie westchnienie. W dole płynie brudny Limat. W ogóle jest szaro. Lunatycy panoszą się przed dworcem. Głowa mnie boli. Szlag by to trafił

- Też tak myślę - odzywa się w końcu. - I dlatego - Kurt raptem zmienia ton na bardziej stanowczy - ja tylko przejąłem zlecenie, Max... Ale za to leci już przelew... - urywa. - Przecież dlatego nalegałem, żebyś ty to załatwił, a nie Rildenstern - kończy błagalnie.

Tak to wyglądało. Dokładnie. Im jesteś łagodniejszy, pocziwszy, tym więcej zwalą ci na głowę i plecy. Całkiem rozsądna zasada. Świat byłby już zupełnie nie do zniesienia, gdyby jego biegu doglądały same kanale.

Mógł zrobić jedną z kilku rzeczy. Poszedł w stronę jeziora prosto Bahnhof Strasse albo ruszył w kierunku dworca. Jeśli tak, to znaczy, że idzie w moją stronę albo dawno mnie minął. Mógł sprzed banku, z Parade Platz, wejść w Post Strasse, zajrzeć do Fraumünster i przykleknąć przed witrażem Chagalla, by przeprosić Boga za swoją głupotę. Powiedzmy, że do flikera było to nawet podobne.

Nazywał się Jean Marc Lovay i ciężko obraził urzędnika Schweizerische Volksbank. Kilka minut przed wejściem zapalił skreta, wszedł na egzamin, narozrabiał, a potem objając się od klientów po prostu wyszedł. W drzwiach banku, od razu na trotuarze, stwierdził, że przechodnie, ulica i witryny, wykopytneli mu się na głowę. Działanie maryhy ustawało, psychika przestała tańczyć jak małpa na linie, miał przed sobą świat, z którego wyciekają kolory. Czas jakiś bujał się na krawedzi obu światów.

To musiało być jak przebudzenie po ciosie. Po słodkim ciosie zadany puchową rękawicą. Albo raczej jak przebudzenie od ciosu. Poprawie mu z drugiej strony i zapamięta do końca życia, że nasze banki, nawet teraz, gdy Lunatycy przechwycili niemal wszystko, co było do przechwycenia, są poważną instytucją, z którą trzeba się liczyć. A używania marihuany zakazano. Stał w drzwiach banku i pomyślał - co ja narobiłem! A potem jeszcze - jak mi się cholernie chce pić!

Nieżyły trop. Cała reszta może być równie dobrze bredzeniem. Mógł przecież pojsć tam dla jaj. Mógł przygotować sobie skreta po raz setny i dokładnie wiedział, co go czeka. Ale nie, do diabła, z tego, co widziałem, nie wyglądał na nałogowca. Ani na takiego, co rozrabia dla samej rozróby. Ani na hipa czy pucuna. Raczej nie. Wyglądał jak rasowy mobo. Natomiast to z pragnieniem było dobre. Jak mi się cholernie chce pić... I co dalej? Nie pobię przecież gasić pragnienia w Limacie. Ani w jeziorze. Nie pomógł sobie brudnym, zdeptanym śniegiem. Pozostawały kafejki.

Nie było go w pierwszych dwu lokalach. W dwu następnych także. Odbijałem się od ścian ulicy jak kulka w fliperze. Wszędzie stoliki, dym, lustra, mężczyźni i pokiśliwe światełka przy barkach pełnych kolorowych butelek. Najbardziej rzuciły się w oczy wysokie choinki z różnobarwnymi migoczącymi żarówkami. Przy stolikach siedziały kobiety z papierosami w dłoniach, nadęte, czujne, znakomicie zrobione, zupełnie niepodobne do kobiet wystających w kolejkach do marketów. To do tych kobiet przysiadali się dhudzy, wytworni, spoceni i zasapani Lu-

załowałem, że nie zaglądam tu dla nich.

Na wysokości Urania Strasse coś mnie tknęło. Skreśliłem w prawo. Jest tam taki mały przytulny barek. Gdybym był Jeanem Markiem Lovayem, właśnie tam bym przycupnął.

I tam by mnie dopadli.

Siedział na wysokim barowym stolku, przy marmurowym szynkwasie, z pełną szklanką. Gapił się na lustro po drugiej stronie. Od razu w wejściu mignęła mi jego nieprzyzwoicie ruda pałka. Po paru krokach spostrzegłem, że jego twarz jest dokładnie taka jak na zdjęciu - młodzieńcza, wręcz dziecienna. Jean Marc miał zaczerwienione, nieco szkliste oczy i wpatrywał się w lustro z niemym pytaniem. Jego odbicie uparcie milczało nie udzielając mu żadnych wyjaśnień. Chcąc nie chcąc musiałem przyłączyć się do towarzystwa tych dwóch mruków.

To żadna filozofia. Zaciska się dłoń w pięść i wali faceta w dowolny punkt pleców poniżej łopatek. Prawie nikt tego nie zauważa. Ludzie myślą, że facet przekroczył miarę i po prostu spadł. On sam sądzi, że szarpnął mu się w plecach jakiś cholerny nerw.

Spojrzał na mnie z podłogi z bezdennym smutkiem. Usta miał teraz otwarte, z trudem łapał oddech. Wypisz, wymaluj, święteczny karp. Nie próbował nawet wstać, tylko rzucał głową w lewo i prawo, jakby chciał czemuś zaprzeczyć. Pochyliłem się nad nim i zawolałem wesolo:

Witaj Jean Marc, co porabiasz?

Od strony szatni wychylił się wykidajło. Widziałem go kątem oka. Na dźwięk mojego powitania zatrzymał się. Mrugnąłem i przytknąłem dwa złożone palce do skroni. Wrócił na swoje miejsce.

- Wiem, przysłali pana z banku - wykrztusił Jean Marc. - Ale ja nic nie rozumiem. - Podciągnął prawą nogę i chwycił słupek od krzesła. - To nie miało być tak. To nie ja.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zabolało go chyba kolano. Jęknął. Puścił słupek i opadł z powrotem na siedzenie. Wziąłem go pod pachy i uniosłem.

- Co to znaczy, nie ja! Może to ja narozrabiałem?

- Nie, dziękuję panu. - Stęknął, otrzepując spodnie. Poczystowano mnie tym papierosem. Camele w firmowym opakowaniu... Ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby mnie...

O takiej możliwości nie pomyślałem.

- Co on pije? - spytałem barmana, wskazując na szklanczkę Lovaya. - Bierz to, idź do stolika i zaczekaj na mnie - rozkazałem chłopakowi

- Tonic z małym ginem - powiedział barman.

- Dobrze, idę - szepnął Jean Marc

- Dla mnie to samo - zawolałem.

Barman błyskawicznie podał mi pełną szklankę. Była prawie tak zimna jak powietrze za oknem. On sam miał bardzo dumny wyraz twarzy. Można było pomyśleć, że przed trzydziestoma minutami osobście wydał zlecenie i naprowadził mnie na Jean Marca.

- Dla pana gratis. Na koszt firmy - oświadczył.

- Podwójne orzechowe z kremem - zamówił gość obok.

- Chwila - powiedział barman, ale nie odrywał ode mnie porozumiewawczego spojrzenia.

Już nie patrzyłem na jego twarz. Patrzyłem na jego plecy. Nieżyły pomysł z tym lustrem. Barman splótł ręce za sobą, odbity w lustro wskazujący palec jego dłoni wymierzony był w głąb sali, która także odbijała się w lustro. Wszystko widziałem, a uszy także mam niezłe. Widząc, że rozumiałem, o co chodzi, barman parsknął krotko i przykucnął przy lodowce. W głębi sali długi, cienki jak świeczka z choinki Lunatyk pochylał się nad Lovayem wskazując ręką na bar.

- Do you speak english? - spytał chłopaka.

- Nie!



- Parlez vous français - zapytał ponownie nieprzytomny i tym razem trafili.

- Oui - raczej przytaknął niż powiedział Jean Marc.

Lunatyk pochylił się jeszcze bardziej i pospiesznie wyrzucił z siebie zle akcentowaną francuszczyznę.

C'est ce monsieur avec qui vous avez parlé... C'est lui qui vous a frappé... Il faut appeler la police. Je peux...

- Mon dieu - cichutko krzyknął Jean Marc - bardzo pana proszę... Alez vous-en! Tout est bien!

- Tout est bien? - powtórzył z niedowierzaniem Lunatyk.

Pociągnąłem zdrowy tyk i ze szklaneczką w dłoni ruszyłem w ich stronę. Niezle ubrana, zgrabna kobieta o ciemnych włosach i kurewskiej twarzy złapała gadatliwego Lunatyka za dłoń i próbowała odciągnąć go na bok. Spojrzałem nań z bliska, z metra, z półtora metra. Widziałem jego spoconą, niemal białą skórę, obciążającą długie kruche kości. Oddychał ciężko, no cóż, dźwigał ciężar sześć razy większy niż u siebie na Księżycu. Śmierdziało odeń potem i jakąś drogą wodą kolońską. Włosy lepiły mu się do wydłużonej czaszki. Patrzył na mnie nieco z gory.

- Obcokrajowcy won stąd - wrzasnąłem po niemiecku, patrząc prosto w jego wyblakłe oczy. - Gnida z Księżycy nie będzie przeszkadzać, kiedy dwaj szwajcarscy obywatele zechcą ze sobą porozmawiać w swoim kraju!

Aż się zatrzęsł. Tak w sobie, w środku. Twarz pobiładła mu jeszcze bardziej.

- Paszot won - powtórzyłem spoglądając na szklaneczkę i na niego, jakbym się zastanawiał, czy rzucić mu w twarz szkłem, czy tylko chlusnąć zawartością.

- Pedro, go! - krzyknęła kobieta, szarpnęła dłoń Lunatyka aż się zachwiał i zrobiła krok w stronę wyjścia.

Jean Marc jęknął spłoszony, wstał i błagalnie dotknął mej dłoni.

- Vous ne comprenez rien - powiedział zwracając się do swego niewydarzonego obrońcy. - Alez vous en! Bardzo pana proszę. Pardon!

Wysoki mężczyzna coś zabełkotał. Działgaj ile chcesz. To wasza wina! Gdyby nie Lunatycy, nasi bankierzy nie staliby się drażliwi i delikatni jak mimozы, a tacy jak ja nie musieliby wykonywać różnych durnych poleceń.

- Zjeżdżajcie stąd, ale już! - krzyknąłem.

Szedł w naszą stronę wykidajło z damskim futerkiem i długim męskim płaszczem przewieszonym przez ramię.

- Szef lokalu zaprasza państwa o innej porze. Bardzo dziękujemy. Polecamy się.

Lunatyk wyszarpnął z jego rąk swój szynel. Dobrą chwilę mełł wargami, aż wreszcie znalazł właściwe słowa.

- Moja stopy nigdzie tu nie postawić - syknął wściekle łamaną, księżycową, niemczyzną. - Ta duża skandal. I pohanbiona...

- Państwa numerki proszę - upomniął się wykidajło.

- Przychodziliśmy tu nigdy nie jestem - rozpedzał się Lunatyk wymachując rękami. - I moja kolega mówię. Wszistka mówię.

- Rozumiem, przebolejemy to - zimno rzekł wykidajło.

Podawał już kobiecie futerko i delikatnie, ale stanowczo zaczął przesuwając oboje ku drzwiom. Towarzyszyłem im krok w krok. To był kompletny pogrom. Złość zupełnie ze mnie wyciekła.

- Ja pamiętać oblicze pana. Pan nie ma u mnie życia na Luna - koncertował Lunatyk szamocząc się z guzikami. - Ta planeta... ta gwiazda... ta satelita - poprawiał się - ta prawdziwa demokracja od dziś n'egzistez pas pour vous - urwał, głęboko zaczerpnął powietrza, po czym pisnął: - faszystowcy!

- Spadaj! - rzekł wykidajło i na pożegnanie pchnął za tą parą automatyczne drzwi. W mechanizmie coś pucilo i drzwi zamknęły się z trzaskiem. - Merdam na panski raj, rozumiesz pan!

Wzruszyłem ramionami i zacząłem się zbliżać do drzwi. Tak czy inaczej usmiechałem się doń i dotknąłem palcami do skroni.

- Strasznie się już panoszą - powiedziałem. - Myślą, że wszystko im wolno.

Machnął dłoń, że nie ma sprawy.

- Panski drugi klient - mruknął ostrzegawczo. - Niedobrze się czuje.

Poszedłem za wzrokiem wykidajły. Jean Marc siedział i dygotał nad szklaneczką wstrząsany falami bezgłosnego śmiechu! Wzbudzał tym małą towarzyską sensację. Parę szybkich kroków i byłem przy nim. Goście pospiesznie odwrócili głowy. Położyłem dłoń na ramieniu i potrząsnąłem nim kilka razy.

- Jeszcze nie skończyliśmy. To tylko tobie tak się zdawało.

Podniósł rozjaśnioną twarz. Znowu zajrzał w inny czas, w inną przestrzeń. Patrzył mi w oczy. Dziwiła go moja obecność.

- To. Sie. Na chwilę. Cofnęło. - Powoli zestawiał słowa, jakby grał nimi w domino. - Byli tacy śmieszni. Bardzo kolorowi. Czego chcieli?

Klapnąłem obok i pociągnąłem ostro ze szklanki.

- Powiedz jeszcze, że i ja jestem kolorową żabą, a rozbije ci twarz i wszystko sobie przypominisz.

Usta rozciągnęły mu się od ucha do ucha.

- Jest pan - podchwycił skwapliwie - jest pan... - powtórzył. Zmiana dokonana się nagle. Twarz mu się skurczyła, w oczach pojawiła się panika. - Ci z banku... Pan jest od nich. Ale ja nie chciałem.

- Oprzytomniałeś już?

Kiwnął głową.

- Skończyło się. O, jak tu szaro - zauważył ze smutkiem.

- Któryś z tych bankierów ci to podsunął? Przedtem podpadles im jakos?

Energicznie pokręcił głową. Był to gest przeczenia, ale jednocześnie próba doprowadzenia się do przytomności.

- Nie, nie... tam, w poczekalni był szczupły chłopak, no... mężczyzna z wąsikami. W kraciastej marynarce. Też na egzamin. Mówił, że mu wszystko jedno, czy się dostanie czy nie.

- I on cię poczestował?

Jean Marc Lovay westchnął.

- On. Ale dlaczego?

- Może wcale nie było mu wszystko jedno.

Lina, na której rozkołysała się jego psychika, musiała znowu drgnąć. Spojrzał na mnie, patrząc gdzieś poza mnie.

- To tak, jakby ziemia uciekała człowiekowi spod nog - wyznał z rozmarzeniem. - W ogóle wszystko uciekało. Fruwałem. Nie mogłem o niczym myśleć dłużej, bo to znikało. A potem wracało. Myśli, każda osobna. Fru, fru - machnął dłoń w powietrzu. - I nie mogłem uchwycić jej, poki sama nie przyszła...

- Wiem.

- Pan wie? - ocknął się. - Wie pan. No tak. Najpierw mnie to przeraziło. A potem zrobiło się jakos...

- Wszystko jedno. Zaczęło cię to bawić.

- I wtedy wyszedł referent i powiedział: Pan Jean Marc Lovay, prosimy. Chryste! I był taki gruby, i taki śmieszny, i taki dystygnowany...

A więc referent! Zaledwie. Od paru chwil myślałem, że nie mamy zbyt wiele czasu. Ale trochę jeszcze zostało.

- Poznałbys go? - przerwałem opowieść chłopaka.

- Tego referenta?

- Na razie nie. Tego sukinsyna, który zrobił ci kawał.

- Pewnie.

- To wstawaj. Może jeszcze go złapie.

Jean Marc Lovay chwycił obiema rękami za biał.

- Nigdzie nie ide. Nie chcę. Proszę... Zrobiłem tam z siebie idiota.

- Tylko mi go pokażesz. Mam cię siłą zaciągnąć?

Złożył ręce jak do modlitwy.

- Po tym co im nagadałem? Ja się wsty... Był w kolejce po mnie. Przedzierały nas jeszcze dwie kobiety. Opisze go panu.

- Jedyne człowiek w tym wieku? Jedyne młody meż-

tem, z góry znając odpowiedź.

Opuścił głowę.

- No nie, było tam paru.

Czy chciałbym mieć takiego syna? Takiego nie. Ale nie chciałbym być w skórze tego, który memu, nawet nie-udanemu synowi, wyciął podobny numer.

- Dobrze, nie pójdziemy do banku - powiedziałem - zrobimy mu portret pamięciowy u mnie w wozie. Tylko pośpiesz się i wysił mózgowicę.

Zupełnie nie dbał o te swoją mózgowicę. Nie zważając na mróz szedł z odkrytą głową, a wiatr rozwiewał mu rude włosy. Szedł wyprostowany, spreżysty, na szczyt pływ, długich nogach. Nie wytrzymałbym w jego króciutkiej kurtce nawet godziny, a tak ubierała się większość jego rówieśników. To sprawa wieku. I mody. Rozrzutnie pozbywają się ciepła, którego kiedyś zacznie im brakować.

Sprawnie wsiadł do wozu. Rozejrzał się łapczywie, dostrzegł aparaturę i oczy rozszerzyły mu się w szczenięcym zachwycie. Włączyłem PPAF, na ekraniku przy biegach ukazała się standardowa maska małpoluda. Portret Pamięciowy Animacja Foniczna.

- Zaczynamy. Co trzeba zmienić w tej twarzy, żeby zaczęła przypominać tamtego dowcipasa? Oczy, broda, policzki, wąsy, włosy... Tylko mów wyraźnie - ostrzegłem go.

Poprawił się na siedzeniu, a potem pochylił i dotknął ekranu.

- Kurcze, model foniczny. Nie wiedziałem, że macie coś takiego.

- Myślałeś, że to gra tylko w filmach? Mamy wiele różnych rzeczy. Zaczynam!

Strasznie się pieścił. Gadał i gadał. Był jak rysownicy spod Grosmünster i z przystani nad jeziorem, którzy latem robią ołówkowe portrety Lunatykom i innym turystom. Po prostu nie mógł skończyć. Jeszcze kreseczka. I jeszcze. Może jeszcze jedna? A teraz proszę. Nie. A może jeszcze jedno muśnięcie? Upajał się tym. Samą linię brwi poprawiał kilkunastoma poleceniami. Na zakończenie czeplił się wąsów. Widziałem tego faceta już zupełnie wyraźnie, ale Jean Marc postanowił zmienić coś w jego nosie.

- Nos milimetr krótszy - powiedział. - Od strony nasady - dodał. - Nie! Pół milimetra.

- Starczy, nie jesteśmy w Künsthause - warknąłem. - Ani nie wyrabiamy mu kenkarty.

Patrzył na swoje dzieło jak urzeczony. Z niechęcią odrywał się od aparatury.

- Może być - oznajmił w końcu. - Ale gdyby mi pan dał trochę czasu...

- Dałem ci znacznie więcej. Nie rozbiłem ci geby.

- Wiem, miał pan prawo - szepnął zakłopotany. - Dziękuję. - Wyglądało, że zbiera się, żeby wyjść z wozu.

Zatrzymałem go.

- Zadzwońisz do banku - powiedziałem surowo. Jeszcze dziś przed piętnastą. Linia wizyjna. I przeprosisz ich.

Spojrzał przestraszony.

- Błagam, ja...

- Nie skończyłem. Na twarzy będziesz miał przyklejony plaster. Nie - przerwałem i wbiłem mu palec w pierś - dwa plastry. Jeden na czole, drugi na policzku. Powiesz, że rozumiesz swój błąd, że przepraszasz... A później, uważaj, dopiero później opowiesz historijkę o papierosie. Wtedy może przyjmą cię na tego kasjera, a przy najmniej pozwolą powtórnie zdawać.

- Kiedy ja już nie chcę!

- Zdawać nie musisz. Ale oni muszą zobaczyć pokaleczoną gebę Jeana Marca Lovaya... Napchaj pod te plastry trochę waty, żeby wyglądało na opuchliznę. Jutro cie sprawdzę. Mam twój adres domowy.

- Dziękuję, zrobię to - przerwał skwapliwie. - Kupuję plaster i dzwonię do nich. Dziękuję... A co pan robi z nim? - pokazał ekranik.

- Obejrzę go sobie. A przy okazji sprawdzę i ciebie. Pilnuj się lepiej, Lovay. Następnym razem możesz mieć mniej szczęścia. Z twoim flikerskim nazwiskiem powinienś tak czy owak uważać.

...ahnął się.

- Jestem tak samo dobrym Szwajcarem jak pan - powiedział - jestem...

Fala zimnego powietrza uderzyła mnie w twarz.

Spylaj stąd, Szwajcarze, ale już - powiedziałem szorstko. - Żebyś cię więcej na oczy nie widział.

Poczerwieniał. Wsiadł w milczeniu i porząpał na swoich długich nogach. Wydały mi się mniej spreżyste niż przed kwadransiem. Plecy miał zgarbione. Szedł wolniutko. Odwróć się, pomyślałem, odwróć się choć na chwilę. Daj mi szansę. Nie przeszedł dwudziestu kroków i odwrócił głowę. Zbliżyłem twarz do szyby, uśmiechnąłem się krzywo, przeciągnąłem palcami po czole i policzkach tak silnie, że chyba porobiły mi się pęgi. Plaster - powiedziałem bezgłośnie samymi wargami - nie zapomnij plastra. I pogroziłem mu pięścią.

Otrząsnął się, jakby zgubił wielki ciężar. Tak jest, nie zapomni. Absolutnie. Pokazywał mi to grymasem twarzy, dłońmi, całym ciałem. W końcu zasalutował do ryżej czupryny i spreżysty, wyprostowany wmieszał się w tłum przed dworcem.

- No, musisz przyznać, że się nie przemoczyłeś - odzywa się Kurt z aparatury. - Ładnie ci poszło.

Trochę mnie zatyka. To tak zawsze, kiedy człowiek nadto wczuwa się w rolę.

- Zupełnie o was zapominałem - wyrzucam ze zdrewniałego gardła. - Słuchałeś cały czas, czy włączyłeś się dopiero przed chwilą?

- Od plastra. Z tego zrobił się twój stały numer, Max.

- Chrzanisz! Alfonsa przed tygodniem napieprzyłem naprawdę.

- Dlatego dałem ci tego Lovaya. Możesz teraz wrócić do domu. Zrobie wszystko, żeby nikt nie budził cię przez trzy godziny.

Kurt wcześniej czy później, zawsze wymysli coś takiego, co mnie doprowadzi do szału.

- Chyba udajesz głupiego. Został mi przecież palancik, który wcisnął gówniarzowi maryhe. Myślisz, że mu przepuszcze?

- Jak chcesz, ale to będzie już prywatna sprawa.

- Prywatna sprawa? To ja demoluje chłopakowi gebę...

Nie mówi nic, tylko chrząka znacząco.

- Zamknij się. Ja tłukę chłopaka, a kiedy pojawia się prawdziwy winowajca, odsyłasz mnie do domu? To nie jest prywatna sprawa. Możesz ją swobodnie dopisać do bankowego rachunku Volksbanku. Od tego nie zbankrutują...

- Dopiszę. Ale... - Czuje, że Kurt coś ukrywa i nie myle się. - Prawdę mówiąc, włączyłem nasłuch wcześniej, kiedy łuskaliście faceta na PPAF - wyjaśnia niepewnie. - Gdybyś pytał, mógłbym powiedzieć jego nazwisko. Ale ty mnie nie pytasz, prawda, Max?

- Chrzanile jego nazwisko. Bez łaski. I anonimowo obrobie go na cacy.

- Tego nie radzę.

- Dlaczego?

- Dlatego. I dobrze pamiętaj, co ci powiedziałem.

- A co powiedziałeś?

- Absolutnie nic - mówi Kurt.

Gdy zjawiłem się na Parade Platz, akurat wychodził. Stojąc w drzwiach banku dopinał kozuszek, pod którym miał kraciastą marynarkę. Wyglądał na zadowolonego i rozbawionego, przyglądał lewą dłonią mały wąsik, a prawą wkładał czapkę. Dostępnego zabawił w tym banku. Rysy twarzy widziałem nieco gorzej, ale to na pewno był on. Po namyśle skreślił w lewo, szedł wprost na mnie wolnym, nieco rozkołysanym krokiem. Miał może pięć lat więcej niż Lovay. Patrzył na przechodniów niewidzącymi oczyma, najpewniej też spróbował małej dawki specjału, który podsunął Jean Marcowi. Ale w przeciwieństwie do Lovaya był uśmiechnięty, zadowolony. Czuł się zupełnie bezkarny. Postanowiłem pozabawić go tego uczucia.

Miałem faceta na widelcu. Za nic! Bez żmudnej bieganiny i podtykania bankowcom odbitki z PPAF. Ruszyłem mu na spotkanie. Najpierw szybkim krokiem. Potem biegiem. Dostrzegł mnie i stanął. Twarz mu się skurczyła, była teraz lisa i przestraszona, oczka biegały mu na wszystkie strony. Utracił poprzednią pogodę ducha. Znakomicie. Biegiem wprost na niego patrząc mu prosto w twarz. Nie wytrzymał, odwrócił się na piecie i zaczął uciekać. Czy mogło być bardziej prostackie przyzna-

bietę, Sądząc, że sięgł w lewo, w Post Strasse, albo czmychnie między domy po lewej, ale trzymał się tłumy. Kluczył, potraçał przechodniów, lecz nie uciekał w boczne uliczki. Wybrał najgorszy wariant, im bardziej kluczył, tym bardziej było pewne, że szybko go dopadnie. Łudził się sądząc, że się powstrzymam ze względu na kibiców. Interwencje mildgorów mają sens właśnie wtedy, kiedy ogląda je dużo ludzi.

Podstawiłem mu nogę. Śmiesznie zamachał rękami i rytmną głową naprzód w śniegową przyłmę. Stałem nad nim. Zaczął na czworakach gramolić się wstecz, otrzepywać głowę i ramiona. Dostał kopniaka w tylek i zanurkował jeszcze raz. Zupełnie zgłupiał w tej przyłmie

- Czemu pan go bije?

Mężczyzna nie skończył jeszcze pytać, kiedy odszukałem go wzrokiem w małej grupce gapiów. Wymierzyłem weń palec. Miał wygląd ubogiego i sponiewieranego przez życie obroncy sprawiedliwości. Dzielnym, głupi Szwajcar. Nakaz moralny kazał mu być odważnym. Już po paru sekundach żałował swojej odwagi. Moją wyciągnięty palec i sroga mina bardzo go peszyły.

- Znasz się na tym?! - warknąłem ostro.

Cofnął się. Chciał się skryć za innymi. Po prostu skrecało go ze wstydu.

- Jak się nie znasz, to spieprzaj - rzuciłem mu w twarz, odwróciłem się i jeszcze mocniej kopnąłem młodzieńca. - Człowieku, wylaż ze śniegu, bo się przeziebiesz - powiedziałem. - I dawaj dokumenty i te wspaniałe papieroski, po których ludzie dostają kota. - Złapałem go za kołnierz, potrząsałem parę razy. - Wylaż, szczeniaku. Chciał - nie chciał i ty też nie bedziesz kasjerem.

Stał przede mną pokryty śniegiem. Kotłował się na drżących nogach, usta miał wykrzywione w grymasie wściekłości, ściekała z nich strużka śliny. Spiorunował mnie wzrokiem i nerwowym gestem wyszarpnął zza pazuchoy skórzany portfel.

Masz, łapsie i przeczytaj sobie - wyciągnął dłoń w moją stronę. - A nie, nie... - wściekłość nie pozwalała mu mówić. - A nie odważysz się ani razu więcej.

Przyszła mi do głowy pewna myśl. Bardzo zabawna myśl, więc uśmiechnąłem się do niej. Szerokim gestem odsunąłem dłoń chłopaka

- Ślusznie, zupełnie słusznie - powiedziałem z powagą, a potem strzeliłem go w twarz otwartą dłonią. Siadał w śniegu na prostych nogach, powoli, majestatycznie, jak wieża, która się wywraca.

- Wypadły panu bardzo ważne dokumenty - zauważyłem. - Proszę je koniecznie pozbić. Nie darowałbym sobie, gdyby pan miał ponieść jakieś straty.

Rysy mu się rozmazały, wargi ułożyły jak do płaczu. Przekreślił się na czworaki, sięgnął po portfel i zajechał

- Chce mnie pan załuc w tym śniegu?

- „Łapsy”, mow mi „łapsie”. My łapsy już tacy jesteśmy. Jak zaczniemy, nie możemy skończyć.

Kopnąłem go w bok. Ale tym razem łagodniej. Dla zasady. Ot, żeby utrwalił sobie przerobiony materiał.

- Wspominałem też o papieroskach. Byles łaskaw zapomnieć?

Sięgnął głęboko w którąś z wewnętrznych kieszeni kózuska. Ale nie wyciągnął z niej fajek. Wstał nagle i unosił dłoń wysoko w górę. Miał w niej mały, błyszczący przedmiotik wielkości walkie-talkie. Kurczowo wciskał w nim małą galke i patrzył na mnie ze złością.

- Musiałem. Nie dales mi szans. Zmusiłeś mnie, żebym użył alarmu EIS. Sadysta!

Cały czas chciało mi się śmiać.

Wmawiasz mi, że też jesteś w służbach? Taki gówniarz jak ty? I mając zezwolenie na EIS wciskasz dzieciakom maryhe. Stracisz to cacko szybciej niż przypuszczasz.

Na chwile opuścił rękę i zdjął palec z przycisku. Różczał się przestraszony. Ale po chwili z powrotem unosił dłoń.

- Nie ja - sapnął z dumą - mój ojciec. - Jest większy niż przypuszczasz - dodał z przekąsem. - Uderzyłeś mnie. Nie ujdzie ci to na sucho.

Zabawne myśli mają to do siebie, że kiedy zaczął mnie już nawiedzać, nie moge się od nich opędzić. Zrobiłem krok w jego stronę.

- Jak weźmie cię na barana, będziecie we dwu z ojcem jeszcze więksi. A tak cię urządzą, że nie ruszysz się o własnych siłach.

zapomniał o niej, nogi mu się splątały i rytmną na plecy. Pochyliłem się, podając mu prawą dłoń i przymierzając lewą.

- Nie mówiłem? Sam widzisz, że nie obejdzie się bez łatusia

- Proszę natychmiast dać chłopcu spokój! - odezwał się stanowczy, męski głos za moimi plecami.

Zbagatelizowałem to.

- No i łatusz już przyszedł - zacząłem błaznować, lecz czyjaś ciężka dłoń chwyciła mnie za ramię zmuszając bym potraktował sprawę poważnie. Odwróciłem się.

Stało przede mną dwu policjantów. Jeden duży i tegi miażdżył moje ramię i wbijał we mnie spojrzenie groźnych jasnoblekitnych oczu. Drugi, drobniejszy, uzbrojony w miernik EIS wpatrywał się weń z uwagą, a na mnie lypał kątem oka. Nie znałem ich. Nawet w takiej dziurze jak Zurich nie sposób poznać ich wszystkich. I oni nie znali mnie także. Zza ich pleców wyglądało kilkudziesięciu kibiców, głównie mężczyzn, którzy wcale nie byli po mojej stronie.

- Właśnie kończę, jesteście wolni, chłopcy - powiedziałem do tego, który mnie trzymał, próbując bezskutecznie strząsnąć jego dłoń. - Gówniarz był niegrzeczny, ale się poprawi.

Skrzywili się jak na komendę i jednocześnie oczami wskazali pracujący miernik EIS, robiąc wymowne miny. Urządzenie sygnalizowało punkt zero piszcząc cichutko. Sprawdziłem to kątem oka - rzeczywiście, chłopak siedział w przyłmie i nie zdejmował palca z przycisku.

- To wariat - krzyknął zza pleców policjantów znany mi już obrońca sprawiedliwości. - Rżnie tajniaka i bije tego chłopca bez żadnego powodu.

Policjant z miernikiem w dłoni szarpnął się w jego stronę jak na sprężynie.

- Proszę się nie wyrażać - burknął. - Może gość jest rzeczywiście funkcjonariuszem cywilnym. Każdego może ponieść - wyjaśnił reszcie kibiców. - Sprawdzimy to. Proszę się nie wtrącać. I... rozejść się. A wy, chodźcie za mną - zakomenderował.

Piecdziesięcioletni obrońca sprawiedliwości po raz drugi w ciągu paru minut zrobił minę obitego psa. Był wyjątkowo tępy jak na swój wiek i widać nie umiał zrezygnować ze złudzeń. Policjanci pomogli wstać chłopakowi. Ten większy wyjął mu EIS z rozedrganych dłoni, sprawdzili numer urządzenia. Zgadzało się, EIS nie był lipny. Szliśmy razem do ich wozu czekającego w bocznej uliczce. Gówniarz ze mną w środku, gliniarze po bokach. Publika szeptała, a szczeniak, który nieco ochłonał, otrząpywał się z brudnego śniegu.

- Jesteś niezły skurwielek - szepnąłem po parunastu krokach i zniemacka uderzyłem go łokciem w bok aż jęknęło

- Bię! Znowu mnie bije - wrzasnął zwijając się z bólu.

Wyższy policjant bez chwili wahania wymierzył mi identyczny cios. Miał dużą krzepę. Wylapałem uderzenie, ale trochę mną zatrzęsło. Zerknął na mnie bez złości

- Nie rozrabiaj, mildgor, bo ci wpięprzymy - powiedział z nutką życzliwej perswazji. - Co ci zrobił, że tak go pukasz? Widzisz przecież, że facet jest z lepszych.

- Sprawdź go. Sprawdźcie go szybko, póki nie wyrzucił tego w śnieg - doradziłem im. - Powinien mieć przy sobie twardą maryhe. Rozdawał ją na lewo i prawo.

No więc posłuchali mnie. Zrobili szczeniakiowi w wozie klasyczne przeszukiwanie. Siedziałem z boku i dokładnie widziałem. Pracowali bez żadnej lipy. Wywrócili mu na drugą stronę wszystkie kieszenie, nie było tam nawet jednego podejrzanego paprocha. Jak skończyli, spojrzeli pytająco w moją stronę. Rozłożyłem dłonie.

- Zobaczcie jego oczy - oczy miał faktycznie nieco maślane, zaczerwienione, ale i to przemijało. - Zdażył wyrzucić?

- Facet ma EIS. Legalny EIS - powiedział niższy, opiekujący się aparaturą nadawczą. - Nazwisko się zgadza. Tylko imię...

- Ojciec - przerwał mu chłopak - mój ojciec...

- Co ojciec, co ojciec - wydarł się nagle glina o dłoniach jak imadła. Pobito cię? Zgłaszasz skargę? Wielka kosmiczna krzywdą, tak? Nooo, spróbuj.

- Nie, nie chce panom robić kłopotu - powiedział chłopak i uśmiechnął się beczelnie. - Rezygnuje ze skargi...

spojrzenia.

- A idź do diabła!

Chciałem pożegnać gówniarza kopniakiem, ale miałem dość trochę daleko. W dodatku przedzielał nas poli-cjant o stalowych dłoniach.

- No i puścił cię filuta. Tyle jego, ile dostał ode mnie. To jakaś znacznieszka fiska? - spytałem zbierając się do wyjścia. - Znaczą jego father?

Twardziel wrzucił lekceważąco ramionami.

- Cholera wie. Myślisz, że znam się na tych rzeczach?

Dla niego sprawa była skończona. Może kłamał, a może nie. Cholera wie

Facet od aparatury przytrzymał mnie delikatnie.

- Ja 75 - szczerknął do mikrofonu - zlokalizowaliśmy awanturę. Mildgor turbował faceta z EIS. Niezupełnie bez powodu. Zatrzymaliśmy go. Nie obydwu... znaczą mildgora. - Urwał, klarowali mu coś przez słuchawki. - No nie, tak to nie. Tak jest - podsumował po chwili. - Zrozumiałem.

Spojrzał na mnie z czymś takim w oczach, co miało chyba oznaczać współczucie. Było mu z tym do twarzy, jak krowie z wiankiem.

- Ty, mówią tutaj, że Dryfel będzie chciał cię zobaczyć - powiedział zdejmując słuchawki. - Pułkownik Dryfel. Zawsze chce osobiście obejrzeć i opieprzyć wszystkich mildgorów, którzy nadużywają kłów i pazurów. Dobrze,

no - A jeśli nie pójdę z wami?

Ten większy spojrzał wymownie na swoje wielkie dłonie.

- No wiesz, nas jest dwóch - zauważył skromnie - po co ci to? Dryfel cię nie ugryzie. On tylko uwielbia prawić kazania.

- Wypchaj się. Cholera!

Drugi wyłączył aparaturę.

- Trochę na niego poczeka - powiedział do kolegi - Dryfel przychodzi dziś po piętnastej. Ale zamknijemy cię w wygodnej celi, mildgor - zwrócił się do mnie. - Będziesz się mógł zdrzemnąć.

- Słyszysz, Kurt, co ty na to? - powiedziałem do bloxa.

Nikt mi nie odpowiadał.

- W wozie jest pełne ekranowanie. Bez zewnętrznej anteny nie połączysz się stąd - przypomniał fachowo policjant od aparatury.

Ten z pięściami, które wiele mogły, położył delikatnie dłoń na moim ramieniu i uśmiechnął się szczerze.

- Miałeś pracowitą noc. Widać to i nawet trochę czuć. Damy ci coś zimnego i sandwicha. Nie zaszkodzi, jak odpoczniesz.

- Mam jakieś inne wyjście? - spytałem dla porządku.

- Jakby ci to powiedzieć... - zamyślił się i zerknął na swoje dłonie wielkie jak bochny.

Maciej Parowski

słownik polskich autorów fantastyki

**Parowski
Maciej**

(ur. 1946)

**Dziennikarz, prozaik,
krytyk filmowy**

Urodził się w Warszawie 27 grudnia 1946 r. Ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej. Pracował cztery lata jako inżynier. Debiutował w prasie studenckiej w 1967 r., w 1969 zaczął prowadzić w „Politechniku” cotygodniowy felieton kulturalny „Z pozycji gaduły” (do 1981 r.). Od 1974 r. jest zawodowym dziennikarzem, kierownikiem działu kultury, sekretarzem redakcji i redaktorem naczelnym (w roku 1981) Tygodnika Studenckiego „Politechnik”. Jednocześnie jest kierownikiem działu krytyki i nauki (1977), starszym publicystą (1979) tygodnika „Razem”. Począwszy od 1968 r. publikuje opowiadania i felietony w „Życiu Warszawy”, „Na przelaj”, „Literaturze”, „Kulturze”, „Ekranie”, „Polityce”. W 1978 r. ukazuje się jego zbiór felietonów i szkiców „Bez dubbingu”. Od 1982 r. - kierownik działu literatury polskiej w miesięczniku „Fantastyka”. Współpracuje z „Przeglądem Technicznym” jako promotor fantastyki. Członek World SF.

Jako autor SF debiutował w tygodniku „Na przelaj” opowiadaniem „Bunt robotów” (1970/25). Swoje teksty zamieszczał w „Fantastyce”, „Przeglądzie Technicznym”, „Problemach”, „Politechniku”, „ITD”. W 1973 r. uzyskał wyróżnienie w konkursie „Młodego Technika” za opowiadanie „Poczucie pełni”. Przedruki opowiadań Macieja Parowskiego ukazywały się również w antologiach „Wołanie na Miecznej Drodze” (1976), „Bunt robotów” (Górzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej, 1981), „Spotkanie w przestworzach” (t. 2, 1982). W 1982 r. Maciej Parowski opublikował powieść „Twarz ku ziemi” (Czytelnik), a w 1985 r. zbiór opowiadań „Sposób na kobiety” (KAW; zawartość: Muchy, Bunt robotów, Fontanna też, Bicie piany, Mężczyźni są szalen, Geniusz, Ostatnia przygoda Funky’ego Sposób na kobiety,

Pomóż swojej gwiazdzie, Dziura metafizyczna, Ekspertyza, Tandem, Atlantyda, Deus ex machina, Poczucie pełni, Bigos, Krach w branży weków, Wkład w przedstawienie świata, Studnia, Sentymentalny i M-R, Stary, wspaniały świat, Wiwał Bastylia, Eksplodujące bałwanstwo, Najszybszy człowiek świata, Drzewo wiadomości, To zdarza się co dzień, Euklides, Nieubłagany bieg postępu). W 1986 r. nakładem wydawnictwa „Iskry” ukazał się zredagowany przez niego wybór opowiadań „Bliższe spotkania”, a w rok później „Bliższe spotkania II”. W wydawnictwie „Glob” przygotowywana jest do druku jego książka krytyczna „Czas fantastyki”.

Maciej Parowski należy do bardziej znanych autorów debiutujących na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, piszących fantastykę o charakterze społeczno-politycznym. Krytyk, specjalizujący się w tematyce socjologicznej, filmowej i literackiej, publikuje swoje felietony, omówienia i recenzje na łamach „Fantastyki” (wyróżniony za tekst „Gremińssy atakują!!!” w plebiscycie-ankiecie czytelników dotyczącej roku 1986). Autor terminu „czwarta generacja” (oznaczającego pokolenie debiutujące w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych) wprowadzonego w postawie do współredagowanej przez niego książki „Trzecia brama” (Wydawnictwo Literackie 1987; wybór opowiadań nagrodzonych na pierwszym konkursie literackim „Fantastyki”). Opowiadania Macieja Parowskiego z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, zebrane w tomie „Sposób na kobiety” są rodzajem prozy społeczno-obyczajowej, scenami rodzajowymi obdarzonymi sporą dawką aluzji, humoru, introspekcji. Jeśli w tekstach Parowskiego pojawiają się motywy SF (np. „Poczucie pełni”, „Krach w branży weków”) to stanowią jedynie pretekst do podkreślenia treści socjologicznych sytuacji człowieka zagubionego w chaosie wartości, poddawane presji różnych ideologii, próbującego ocalić swoją niezależność, osobisty prywatny sposób przeżywania świata. Wydarzenia zmieniające się jak w kalejdoskopie, pośpieszne, urywane dialogi bliskie naszemu codziennemu przeżywaniu rze-

czywistości; chandlerowskie postacie, a także styl narracji: zwięzły, ostry, nerwowy - doskonale oddają problematykę utworów Parowskiego, które niekiedy sięgają do niebanalnych (choć sprawdzonych!) rozwiązań literackich (np. konwencja autotematyczna w opowiadaniu „Deus ex machina”, 1983).

Znaczącą pozycją w polskiej SF lat osiemdziesiątych stała się publikacja powieści „Twarz ku ziemi”, która tematyką, nastrojem, rozwiązaniami fabularnymi wpisała się w nurt socjologicznej prozy tego okresu (książki J. Zajdla, E. Wnuka-Lipińskiego, T. Markowskiego, M. Oramusa, W. Żwikiewicza). W konwencji dystopijnej ukazuje Parowski rzeczywistą realizację programów społecznych epoki, wybiega w przyszłość przedstawiając technicyzowany, bezduszny, totalitarny świat poddany presji środków masowego przekazu, światu terroru psychicznego, w którym - z najwyższym trudem - przychodzi ocalić własną tożsamość. Bohater książki (wzorem klasycznych bohaterów dystopii) próbuje rozpoznać ów świat, dotrzeć do jego prawdziwych mechanizmów, odrzucając fikcję kreśloną uwodzającymi metodami propagandy i w finale utworu zostaje postawiony w sytuacji wyboru egzystencjalnego, zachowania indywidualności bądź przyjęcia postawy konformistycznej. Interesująca jest sama koncepcja „podziemnego miasta utopii” dostępnego klasie rządzącej. Parowski sięga tu do pomysłu H.G. Wellsa (zob. „Wehikuł czasu”), ale odwraca schematy sytuacyjne (podobną techniką posłużył się później J.A. Zajdel w „Paradyżu”).

Książka Macieja Parowskiego sięga do różnego rodzaju odwołań literackich: przedmiot opisu sygnalizuje cytatami z prozy Franza Kafki, które otwierają kolejne rozdziały powieści, zapowiadając atmosferę utworu, próbę odnalezienia wartości w wyalienowanym, zbiurokratyzowanym, technokratycznym świecie.

Bibliografia wybrana:

- J. Stefański (w:) „Tygodnik Kulturalny” 1982/17
- M. Wydmuch (w:) „Kobieta i Życie” 1 12.1982
- Z. D. Buszniewski (w:) „Fantastyka” 1986/2,
- A. Niewiadowski, *Między prometeizmem a katastrofizmem* (w:) „Miesięcznik Literacki” 1987/7

W dniach 2-5 IX 1987 r. odbyła się w Bałtogradzie sesja naukowa poświęcona miejscu science fiction w kulturze współczesnej. W spotkaniu zorganizowanym przez Zakład Estetyki Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Międzywydziałowy Zakład Nauk Społecznych Politechniki Rzeszowskiej udział wzięli zaproszeni z całej Polski (i świata) przedstawiciele nauk ścisłych i humanistycznych – biologowie, ekologowie, fizycy, psychologowie, historycy sztuki, estetycy, futurologowie, architekci... a także historycy literatury, krytycy, publicyści i pisarze. Specjalistów, zajmujących się fantastyką nieokazjonalnie, reprezentował na sesji docent Antoni Smuszkiwicz. Przedstawicielami redakcji byli Maciej Parowski i Rafał A. Ziemkiewicz.

Państwo znacie już wprowadzający do tematyki konferencji referat organizatorki sesji, profesor Marii Gołaszewskiej „Imaginacja w antroposferze” („Fantastyka” nr 8/87). Dzis przedstawiamy odczytany na konferencji zamówiony przez organizatorów referat wstępny Adama Hollanka, ukazujący punkt widzenia pisarza. Organizatorzy przewidują wydanie specjalnej publikacji sumującej dokonania sesji, zawierającej najciekawsze wystąpienia, a także zapis dyskusji zamykającej imprezę. Będzie to książka na pewno interesująca i dla ludzi przyglądających się fantastyce z boku, i dla fanów. Na sesji zderzyły się bowiem różne kompetencje, różne sposoby widzenia fantastyki, co dla uczestniczących w niej redaktorów było i pouczające, i zabawne, i czasem irytujące. Świat nauki patrzy na fantastykę inaczej niż fanowie i pisarze, mówi o niej różnymi językami, zgłasza czasem pod jej adresem oczekiwania i postulaty, nam miłośnikom wydające się nieaktualne bądź niemożliwe do spełnienia.

Do sesji i jej dorobku spróbujemy wracać na naszych łamach.

(mp)

A jednak romantyzm

Adam Hollanek

Szanowni Państwo, czuję się zaszczycony ze jako dawny trochę ślepy zwolennik science fiction: wszędzie tam, „gdzie wzrok nie sięga”, a później rozczarowany już, ale jeszcze niepewny swej pozycji, jej przeciwnik, mogę przekazać tutaj wśród jednej z ostatnich oraz autentycznej natury w Bieszczadach swoich parę uwag o tej najbardziej dyskusyjnej gałęzi pisarstwa, która wśród nas szczególnie, wśród mieszkańców tego kraju, zawsze „rozumnych szaleń” wbrew wszystkiemu, co dzieje się dookoła, a może właśnie na skutek tego co się dzieje, rozrasta się świeci triumfy.

Według naszych rozeznań – a także i rozeznań na przykład amerykańskiego magazynu „Ana log”, przeciętny czytelnik tego typu literatury (jesli przeciętność w ogóle wchodzi tu w rachubę) ma wykształcenie ponadpodstawowe, w tym 45 procent jest po gimnazjum, a blisko 15 procent po szkołach wyższych. Inżynierowie wśród „fanów SF” (proszę wybaczyć, że razę tym określeniem estetyków) stanowią około 17 procent, członkowie kierownictwa – 15 procent, nauczyciele (szkoł średnich i wyższych) – 9,5 procent, elektrycy – 10 procent, pracownicy różnych dziedzin tzw. kosmologii i kosmonautyki – 8 procent, badacze – 3 procent, w tym badacze z dziedziny techniki i fizyki jądra atomowego 1,6 procent. Jakie to dziwne i burzące wszelkie schematy dane, toż ideał fantastyki, uważanej za gałąź najbardziej popularnej sztuki, nie tylko sięgnął bruku, lecz na tymże bruku znalazł zwolenników wcale, wcale nie prymitywnych.

Przecież science fiction uprawiają i odbierają z

zainteresowaniem graniczącym często z maniactwem, zarówno intelektualiści, jak i ludzie wcale nie prości (byłoby bezsensownym uproszczeniem tak twierdzić). Wyposażeni w każdym razie w wiedzę, która pozwala im co najmniej, jak na praktycznej wykorzystywać swoją ziemską egzystencję. Jesli fantastyka jest nową, tą najbardziej powściągliwą autentycznego romantyzmu, o czym zdaje się świadczyć wiele jej cech, typowych dla romantycznych kierunków w sztuce (w życiu tak że) to ci, co tej fał się poddają w sensie biernym i ci, co ją wznoszą, dalecy bywają zarówno intelektualnie jak i emocjonalnie od romantyków dawnych epok. Proszę zwrócić uwagę, że prawdziwy bohater romantyczny Byrona, Mickiewicza, Słowackiego, nawet Goethego, cierpił za miłoty. Tak dzieło się dawniej dzisiejsza fantastyka na romantyczność natomiast to pokaz cierpienia milionów (wielkie jednostki np. w pisarstwie Ursuli Le Guin czy Zaydla występują rzadko lub w ogóle ich nie ma) – w tym sensie jest ona sztuką czy piśmownictwem anty-literackim, gdyż stara się operować nie jednostkowymi, lecz zbiorowymi, bohaterami, zaprzeczając w gruncie rzeczy istocie arcyzmu. Dopiero bowiem dzięki jednostkowym demonstrowanym przezyci przemyslen uzyskiwało się w sztuce literaturze ogólnoudzielne wymiary prawdy i paradygmaty.

Tak czy owak wspólną cechą każdego romantyzmu stanowi jego wartość moralizatorska i ona bywa największym łącznikiem między dawnymi a nowymi laty. Także i romantyzm fantastyczny oparty jak wszelkie ruchy romantyczne na anty-historyzmie (space opera) i na baśni, na miedzi i

legendzie (fantasy wyrasta z egzotyki (Conan) i szuka egzotycznych wrażeń. Przeważa w nim mimo iż wywodzi się on z nauki – irracjonalizm (Oramus) nad argumentacją racjonalistyczną. Inne jego charakterystyczne cechy to „udowosć, czy raczej ludomania (Bulyczow) i tym przypominająca neoromantyzm ubiegłego stulecia sc. e. u. katastrofizm i eklektyzm (Zelazny, Falkowski). Czerpiąc zaś z różnych innych dziedzin sztuki oraz z prawdziwego życia, tak swoje tworzywo łączy i tak je transmutuje, że staje się ono czymś zupełnie nowym – syntetyzuje jak gdyby zdobyte stare, nawet tam, gdzie usiłuje się odciąć od tradycji. Dziełem swym i szeroko kuszającym to, co tutaj Państwu przedstawiam stała się cała twórczość Stanisława Lema, który wciągnął losy ludzkości do swoich romantycznych cierpień, ale również i do swego racjonalistycznego, opartego na empirii stosunku do wszystkiego, co ludzkie – jego twórczość wyrasta przecież z wiary w wszechpotęgę nauki i w końcu grzebie tę naukę. Utworem jak gdyby koronującym romantyczne Lemowe łamania człowieczeństwa kołami nauki natury i niewiadomego losu na przemian wydaje mi się „Fiasko”. To jak gdyby wyciąg z wszelkich objawień dawniej nowej fantastyki, subtelny bezradności człowieka wobec isolał identycznych, a więc człowieka wobec człowieka i tej bezradności, tej straszliwej samotności w tłumie nie potrafią odmienić żadne, najwspanialsze nawet zdobycze intelektu czy techniki, wszystko, co wynaleziono jest w gruncie rzeczy marne i nieprzydatne w daleku między słotami rozumnymi i czującymi – oto szczyty romantyzmu. Na tym ile wszelkie deliracje fantastyki, wypowiedziane przez różnych jej twórców podczas różnorodnych okazji stają się jest nie śmieszne, to w każdym razie małe, niewiele znaczące utwórki. Wolfgang Jeschke, znany autor i wydawca zachodniemiecki powiedział że SF to wyraz zyczeń i strachów, Frederick Pohl z USA drwił iż SF jest odpowiadającym prawdziwej rozszerzeniem kłamstwa Brian Aldiss science fiction jest to to, co na polkach księgarń jako fantastyki się reklamuje. Nazwę jak kaze mi Hugo Gernsback nadal tej całej dziedzinie piśmownictwa w 1929 r. i jego imieniem chrzczą dziś Amerykanie największych ich zdaniem autorów powieści i opowiadań, a także i powieści i opowiadań Harrisonów czy Zelaznych, którzy w swojej robotce do pięć nie dorosli nawet nas Jerzemu Żuławskiemu czy Stanisławowi Lemu.

Nieprzypadkowo ma on więc liczne styczności z światową zaobawy nadzwyczajne, grafiomania.

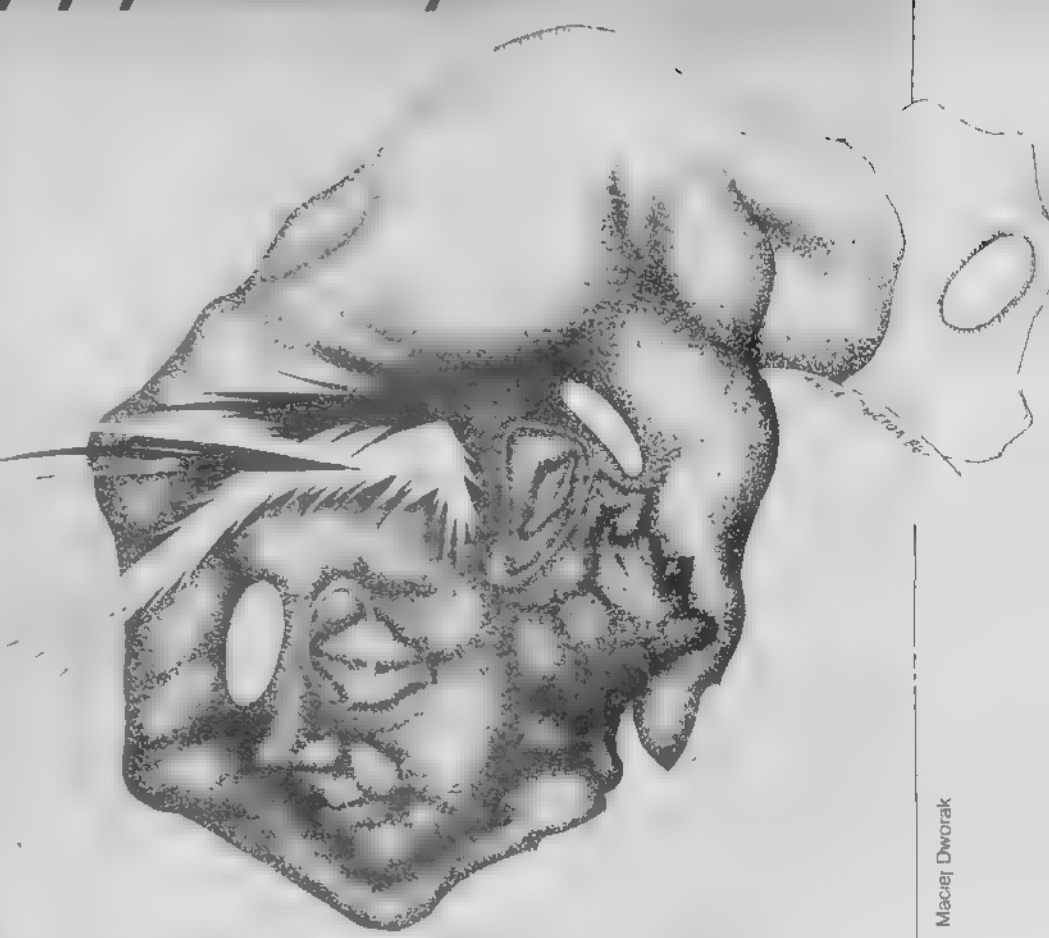
Za pierwszą autentyczną powieść science fiction ziejacą ponurym romantyzmem rodem ze średniowiecza, uważa brytyjski krytyk i pisarz Brian Aldiss, mniej niż „ego zaoceniczni fanie” skazony manią przekazywania swoim czytelnikom nadzwyczajnych pomysłów, nadających się barożej do księgi rekordowych, szmrowanych dziwactw – księga Guinnessa zwanych – powieść o Frankensteinie pani Mary Shelley z 1818 roku. Specjalnie podkreślam pięć autorki, no co to baba pełna przewrotności, nie zaś mężczyzna wspięła się na szczył marzenia o stworzeniu szlucznego istoty myślącej – mężczyzny – szczył przerażenia z powodu, swego strasznego dzieła. W tej powieści był już więc zadatek tych wszystkich okropności, które w sobie i w swoich bliznich z sadystyczną satysfakcją odnajdują i pisarze science fiction, jaką odpornością na najbardziej znane dzieła science fiction epoki o około 100 lat późniejszej musiał wykazać się Jerzy Żuławski, pisząc swą trylogię, swoje czarodziejskie „Na srebrnym globie” żeby nie pisać o miazmatom Frankenstein czy Poeego, a o najwinnym bajdurzeniu o przyszłości Verne’a, o pseudonaukowym wizjonizmie Wellisa. Ta polska fantastyka Żuławskiego, jakże inna od zagranicznych, nie miała jednak światowego rozgłosu, podobnie jak liczne utwory dzisiejszych polskich twórców fantastyki, co, zawierała ona przecież te

wszystkie elementy, których nie skąpią współcześni nam pisarze rodzimej science fiction, a co nie bardzo podoba się publiczności pragnącej, czyste, rozrywki, podejrziliwość w stosunku do nauki, próby przewyciężenia jej tyranii, problemy inner space, obsesje religijne i nostalgiczne wartości i szaleństwa na temat wolności społecznej i wolności jednostki. Co jednak warta fantastyka bez tej problematyki? Dla Lema była ona drzwiami kuchennymi prowadzącymi w końcu do salontów literatury startować w latach powojennych wtajemniczonym nie było łatwo. Z jednej bowiem strony brzemień tego, co się przeżyło, co tkwiło jeszcze głęboko w ludzkich umysłach, co nurtowało każdego wielkiego i małego, nie dawało się udźwignąć. Nie każdemu dane było zresztą znaleźć kod, którym potrafiłby przekazać to, co czuje, co pasuje do jego czasów, a kod okazywał się tym bardziej konieczny, im wcześniej były wymagania mecenasów ówczesnych.

Współczesną powieść Lema, jak wiadomo, przetrzymała kilka lat, tak że gdy ją wreszcie wydała, stała się właściwie książką historyczną. Należała do przeszłości, coraz szybciej od tamtych lat płynął nam czas, życie stało się bardziej nerwowe, mijają mody i idole, nie tylko w prozie, zmieniają się jeden po drugim. Fantastyka nauczyła się historii i teraźniejszość lokować w przyszłości, uzyskiwała więc przez to jakby tajemniczą siłę przepowiadania, wróżenia, palzenia z góry, jej templa można było reguować według gustów i potrzeb jej treści, przepajając drastycznością, żeby budziła wstrząs nawet u tych, którzy przywykli do silnych wrażeń.

Zasługa tej literatury czy antyliteratury polega na tym, że bezczelnie zadaje ona proste, najprostsze pytania, których wstydzi się już zarówno "normalna" literatura, jak i filozofia. Ona przecież pyta o takie dotychczas niewymierne sprawy jak losy jednostek i społeczeństw, szuka bezkompromisowych paradygmatów etycznych, komplikując życie swych bohaterów i idoli, stawianiem przed nimi najwymyślniejszych i najokrutniejszych przeszkód kosmicznych. Jej utopie i antyutopie bywają najczęściej mniej lub bardziej wymyślnymi karykaturami tego, co w nas i wokół, co robimy i co zrobić możemy.

Poszukujemy też o romantycznym charakterze, rodzaju pęd do legend i baśni, w których przecież prawie zawsze chodzi o nauki, moralne, podawane w bardzo atrakcyjnym opakowaniu, tak żeby nie czuć bezpośrednio ich ostrzy skierowanych w nasze sumienia. Ta właśnie niesamowita atrakcyjność opakowań, przesłan fantastyki stała się zarówno nadzieją, jak i nieszczęściem fantastyki, pozwalając w końcu zerować na tym gatunku całą plejadę grafomanów. Ale już doszło do tego, że większość skomercjalizowane, produkcyjnej fantastyki na Zachodzie zalega półki księgarskie, a w naszym kraju, tak ego pięknie dla słabeuszki i niedoświadczonych literackich jeszcze nie stworzone, przeciwnie – fantastyka coraz bardziej rozchwytywana, skłaniając autorów, jak i wydawców do traktowania jej jako źródła łatwych zarobków. Nasz ubogi, ze względu na przykroćką papierową koldrę i słabości poligrafii, rynek księgarski długo jeszcze nie ujawni różnic między dobrą a złą rodzimą science fiction. Dlatego to w jednej z redakcyjnych dyskusji wyraziłem się *dajcie mi tylko więcej papieru, a natychmiast zniszczę fantastykę*. Miałem rzecz jasną, na myśl twórczość dać jej o umiejętności i walorów literackich. Pasjonujące fabuły sprzyjają komercyjnej zachci, deprawują nawet najlepszych twórców i niszczą czytelników. Książki fantastyczne buduje się przecież zwykle z jednego pomysłu, jednego „chwytu”, starczy tego zaedwie na opowiadanie, na nowelę, na najlepszym razie, powieści, robi się, uzwyczajnie na siłę, w każdym jednak wypadku pomysły fan-



Maciej Dworak

tasłów muszą być tak mocne, aby – przy częstym niedoborze umiejętności twórczych – chwylał czytelnika za gardło, naczej błąd autorowi. Po myśli z konieczności poczną się jednak wyczerpywać, powtarzać, już obserwujemy zjawisko, które znacznie wyrzucić poza nawias autorów słabszych nie znajdujących się na literaturze, jedynie tylko amatorów sztuki, pisarskiej. Nie wyobrażam sobie również, aby mogli rozwijać gatunek, ludzie nie mający wiele wspólnego z surrealizmem, którzy wiele przecież ma związków z freudyzmem i

czy quasi-nauki, bez teorii, głębokiej studium świadomości, nie byłoby współczesnej fantastyki, stanowiącej przecież na pewno jakieś odgałęzienie nie doświadczeń surrealistycznych. Cała estetyka fantastyki obejmująca treść, pisarskie obrazy w płaszczyźnie czy także w filmie, bez bańkowo-sensacyjnej fantazji straciłaby po prostu swój podciągający publiczność wyraz, igrająca z kiczem dbałość o zainteresowanie widza nie powinna się jednak spotykać z ostrzejszymi sprzeczwymi krytyki, z pogardą krytyków, przecież oni się nalepiej orientują – więc wywalam tutaj otwarte drzwi – że bez nacąganych napięć typu kryminalnego nie byłoby wspaniałej dramaturgii Szekspira. Stwierdzenie, czy chociażby pasjonującej fabuły „Pana Tadeusza” naszego Wieszcza. Conrad wielki angielski pisarz pochodzenia polskiego wciskał się w angielską literaturę, jakże ciężką do zdobycia dla Słowianina, alekując marynistyczne gusty i maniactwa Anglików. Obyczajowe drastyczności Wilkacego miały służyć epatowaniu mieszczaństwa, nawet Joyceowski system przekazu, kontaktu międzyludzkiego, zbudowany ze „strumienia świadomości”, miał kusić outsiderów i clerków, którzy, jak słusznie, zresztą zapewne rozumował autor, dysponują identyczną mechaniką rozumowania. Dlatego zamykanie się w jakichś marzeniach o literaturze elitarniej i estetyce dla wybranych, tak częste w rozproszonym świecie, w latach krytyki, brzemienia niebezpiecznego, a palenie na zjawiska literackie z takich wyłącznie pozycji nabiera cech korpuse, su, który nazwałbym kompleksem Amadeusza.

Zazdrości o swą dominację, o swe parnasowskie uplasowanie w hierarchii artystycznej, spadkobiercy mentalności Saliergo nie mogą, nie potrafią znieść popularności innych rodzajów twórczości, niż ta przez nich wyłącznie proponowana, nie lubią po prostu Amadeusza lub stwarzają własnych, ci zaś jednakże najczęściej nie budzą szerszego odzewu. Charakterystycznym przykładem niech tu będzie sprawa tzw. „rewolucji językowej”, przypominająca mi jako żywo dyskusję i prelekcje młodopolskie na temat „sztuki dla

Charakterystyczny również wydaje mi się przykład wydawnictwa „Iskry”, które próbowało produkować niby-eksperymentalną tego rodzaju literaturę, nie znajdując jednak na nią większej liczby czytelników. Nawet wnikliwa, pogłębiająca na wydawnictwo młodych fantastów w większości tych samych, których utwory publikujemy w „Fantastyce”, poddaniu ich chirurgii krytyki elitarniej, w wykonaniu takich majstrów chirurgii krytycznej, jak Bereza, Sadowski, Mysliwski czy Zieliński, nie wzbudziła szerszego zainteresowania publiczności literackiej, z trudem rozszedł się dwutyśeczny za edwie nakład tym sposobem spreparowane, fantastyki. Proszę Państwa, bo role się odwracają. Dziś estetyka fantastyki, żonglująca na krawędzi kiczu, staje się – podobnie jak muzyka – nie muzyka, zwana rockową – sztuką już nie tylko młodzieży pop-artem mauczki, pracującą przecież dla niej, na więksi twórcy zawodowi, na cały świat rozprzestrzeniły się elementy mody punków, a Lem, który u nas w Polsce startował jako pisarz dla tłumy, zepchnięty przemocą niejako do tego pięknieka popularności, stał się z czasem twórcą dla elity. Dziwnymi doprawdy drogami, chadza nowoczesność w sztuce. I nie Petruszka dyktują dziś prawa elegancji, tak czy owak, proszę Państwa, trochę boję się o losy samej fantastyki, a także o wartości, które ta popularna już nie tylko w pisarstwie, lecz i w plastyce, w kinie i w teatrze dziedzinie pop-romantyczna – będzie proponować. Sztuka ta bowiem staje się stopniowo narzędziem kultury, bardzo przewrotnym czasem już bardziej niż ta, którą określa się jako „główną” czy „normalną”.

Dwie ostatnie książki Stanisława Lema zbulwersowały krytykę i publiczność. O pierwszej, która nie jest bezpośrednio odautorskim przekazem, napiszemy osobno – to nagrodzone przez „Fantastykę” „Rozmowy z Lemem” Beresia, rzecz, która jak gdyby stanowi pendant „Wysokiego Zamku”, to znaczy jeshby uznać „Wysoki Zamek” za utwór przedstawiający dziecinny i młodzieńczy ogląd świata, za klamrę świeżo otwartej księgi życia – „Rozmowy z Lemem” byłyby tej księgi podsumowaniem, klamrą zamykającą. Niezmiernie interesującym „od-do”.

Natomiast „Fiasko” uważa się za powrót Lema do jego najdawniejszych tradycji beletrystyki fantastycznej, a raczej do typowej science fiction. Są to jakby „Astronauty”, wzbogaceni o całe doświadczenie i o całą, zdobyta podczas dotychczasowego życia, wiedzę pisarza. Coż za pole do porównania, do dyskusji o drodze przebytej, o rozwoju talentu, o przemianach światopoglądu, prawdziwe cymelium dla krytyka, ale nie tylko dla niego, bo i dla wiernego Lemowi czytelnika również.

Ja osobiście uważam tę najnowszą rzecz o tragicznej niemożności porozumienia za dzieło niezwykle konsekwentne w ciągu całej twórczości autora „Astronautów” i „Solaris”, za coś, co musiało się wreszcie ujawnić i w pełni wyrazić jako résumé wszystkich utworów genialnego myśliciela i upartego antyutopisty. Jeśli „Astronauty” byli pierwszym ostrzeżeniem ludzkości przed jej własnym charakterem i wynikającymi z niego katastroficznymi perspektywami, „Fiasko” to ostrzeżenie rozpaczliwe w swej ostateczności.

Jak to odbierają krytycy, jak różnie załamują się pod ich piórem apokaliptyczne literackie wizje Stanisława Lema, niech choć w części ukazą fragmenty drukowanych poniżej recenzji amerykańskich, niemieckich oraz ocena krajowa. Ja już tutaj powiedziałem o „Fiasku” swoje własne zdanie. Oto ci inni.

Adam Hollanek

„FIASKO”

Stanisława Lema

Model termitiery

(...) Cywilizacja planety Kwinta pozwala Lemowi na przedstawienie takiego rozwoju wydarzeń, jakiego spodziewa się na Ziemi. W centrum uwagi autora znajduje się „inicjatywa obrony strategicznej” Reagana, będąca tematem numer jeden toczącej się dziś pomiędzy wielkimi mocarstwami dyskusji. A ściślej polityczne, militarne, technologiczne i ekologiczne aspekty projektu „gwiazdowych wojen”.

Na planetę Kwinta statek kosmiczny wysłany z Ziemi dociera w chwili, kiedy dwa bloki mocarstw, które – podobnie jak na Ziemi – stoją naprzeciw siebie na dwóch kontynentach, przenoszą swoje konflikty militarne w kosmos. Gigantyczny wysiłek technologiczny nie tylko wyczerpał tu do reszty wszelkie zasoby, ale przyniósł też niepowetowane szkody biosferze. Chroniąc się przed groźnymi atakami z kosmosu, mieszkańcy wycofują się do wnętrza planety niczym do środka olbrzymiej termitiery. Kiedy obydwie strony zdołały już sparaliżować wzajemnie łączność radiową przeciwnika, systemy satelitarne, odcięte od swoich ośrodków sterujących, z konieczności zaprogramowane na sterowanie automatyczne, osiągnęły próg, za którym broń przekształca się z samodzielnej w taką, która działa na własną rękę.

Napięcie książki rodzi się z niepewności czy przy całej samowol, systemów obronnych uda się jeszcze nawiązać kontakt z mieszkańcami. Lem kreśli model przerażającej sytuacji polity-

nej, w której dwa wielkie mocarstwa usiłują się porozumieć, ale są ukształtowane przez skrajnie odmienne kategorie i światopoglądy. Angażując swą przeważającą technologię wojenną, statek kosmiczny wymusza zgodę na lądowanie wystarca jednak kilka banalnych przypadków, aby fatalny rozwój wydarzeń (wzajemna nieufność rodzi brak zrozumienia i w konsekwencji jeszcze silniejszą nieufność) doprowadził do fiaska katastrofy nuklearnej.

Na przykładzie astronautów statku kosmicznego analizuje Lem różnorodne reakcje wobec ekstremalnych obciążeń psychicznych idące krok w krok za ślale zawodzącą próbą porozumienia z inną cywilizacją. Tym samym przekształca swoich bohaterów w kroleki doświadczenia, w nosicieli leż. Pełniąc tę funkcję gasną, nie rzucając żadnych cieni, nie mają historii – przekazany kontekst życia ogranicza się do projektu podróży kosmicznej.

Fakt ten nie umniejsza jednak intelektualnej rozkoszy, jaką odczuwa się przy lekturze powieści, rozkoszy, jaką daje wyrazista gra z hipotezami i modelami natury przyrodniczej, które szybko nabierają charakteru technologicznego a tym samym społecznego. Lem pragnie – podobnie jak Brecht – nakłonić nas do odnalezienia „radości” – w myśleniu podobnie jak Brecht uznaje – zgodnie z kategoriami Oświecenia – dydaktyczna misja literatury. Wciągając czytelnika w swoją intelektualną grę, pragnie, jak sam twierdzi, „usuwać próżne artykulacje”. Chce przezwyciężyć, przepaść dzielącą świadomość jedr-

naukowych języków fachowych w jakich rozstrzygana jest nasza przyszłość

Hansjoachim Bleyl

Frankfurter Allgemeine Zeitung nr 86, kwiecień 1987

Lema machina snów

(...) Określenie Lema mianem pesymisty jest niezupełnie właściwe. Lem nigdy nie sięga po wojny nuklearne, inwazje z kosmosu, zniszczenie warstwy ozonu, przybór morza, cołanę się morza. „Nowe Wspaniałe Swiaty” i „1984” z precyzją czy też inne podobne wykopaliszka literatury SF. Totalna zagłada obchodzi go w równym stopniu jak „Lepsze życie dzięki Chemii” nie interesują go koszmary, które mogą lub nie mogą się zdarzyć, ale raczej te podstawowe problemy ludzkiego istnienia, które sprawiają, że lepsza przyszłość jest niemożliwa. Pełne frustracji poknięcie i pożywi doczne w jego fabulach zawsze wynikają z podstawowych ograniczeń praw fizyki, myśli ludzkiej. Lem nie przepowiada zagłady – jeśli po prostu, tylko uparty.

Siad też bierze się i tytuł jego ostatniej powieści, pomyślanej jako wariant starego tematu SF – pierwszego kontaktu z obcą cywilizacją. (...) Dla Lema przygoda poszukiwania nazywa się „Fiasko” w rozumie jest po prostu „Fiasko” – niepowodzenie, zwarta, niekiedy męcząca drobna zgowa niekiedy piękna, bogata w rozważania na tematy tak bezpośrednie i nas dotykające jak plany „wójen gwiazdowych” i tak wieczne „jak istota odpowiedzialności współczesność za przyszłość, po wiesci ta, jest największym od wielu lat osiągnięciem Lema. (...)

Lem nie wierzy, że technologia może odmienić ludzką naturę, a e jest zbyt subtelny, by wnosić z tego iż technologia jest czymś zupełnie obojętnym. Zwiększa ona zasięg oddziaływania ludzkiego szaleństwa i ogranicza ludzką wyobraźnię do tych wyłącznie rzeczy, które mechanizmy czynią możliwymi do osiągnięcia. Typowym przejawem ściśle kontrolowane, ironii Lema jest to, że taki ten uswiadamia nam komputer. W paleolicie w epoce jaskiniowej czy w średniowieczu bardziej muskularny opoent górował nad słabszym. W epoce atomowej może uruchomić raketę dzieci, nacisnąwszy właściwy guzik.

Ludzie powoli uswiadamiają sobie, że Kwinta podąża tą samą drogą. Znajduje się ona w stanie permanentnej wojny prowadzonej przez umieszczoną w przestrzeni kosmicznej zautomatyzowaną broń (proszę sobie wyobrazić – a na, widocznie) uczynił to Lem – świat rządzący przez facelow od SD). Bron Kwintan – koszmarna kombinacja znajomego (bomby atomowej) niezwykle go (szluczny wirus pożerający metal) organizuje wszelkie aspekty życia na planecie zgodnie z prosią logiką wysycu zbrojeń. Wszelkie różnice pomiędzy obydwiema stronami konfliktu są bez znaczenia. Strategia wojenna staje się wagą życia, śmierci, podporządkowując wszystko inne. Opie strony są lustrzanymi odbiciami. Kwintanie – po wiada komputer okrętowy – już nie władają obroną przez siebie strategią. Na odwrót, strategia włada nimi. W nieubłagany sposób ludzie zostają wchłonięci przez ten system. Wspólnym językiem „braci w rozumie” stają się pogrozki i oszustwa.

Bardzo rozbudowana fabuła i starannie nakreślone tło „Fiaska” są w jakimś stopniu odejściem od dotychczasowej stylistyki Lema. Po kilku książkach pełnych błyskotliwej nienaganną pod względem logicznym gimnastyki umysłowej będących często połączeniem beletrystyki i eseju li ozolcznego w tak pełnych ironii formach, jak recenzje z nie istniejących książek („Doskonała prozba”, „...”), została napisana powieść „Fiasko”. W tym „Fiasku” jest nagła

skrzyżowane „Dialogów” Platona z instrukcjami NASA – rozważania są precyzyjne i eleganckie, ale to samo można powiedzieć o szczegółach technicznych – komputera, statku kosmicznego, sposobów szukania czasu.

Zaiste, w przeciwieństwie do wielu innych książek Lema, w których ludzie i miejsca nakreślone są szybką kreską po to, by uzyskać efekt satyrycznego paradoksu, „Fiasko” zmusza nas do tworzenia własnych obrazów nie przez literacką elegancję czy oszczędność słowa, ale za pośrednictwem niejako brutalnej, sły. Opisy obcych krajobrazów i maszyn przyszłości są równie gruntowne w swym zagęszczeniu i precyzji jak conradowskie przypomnienia starych parowców czy też nieba Malajów. (.)

David Berreby

Village Voice Literary Supplement, czerwiec 1987

Rozbite lustro

Odsłaniając to, co zasadnicze, jest „Fiasko” po prostu jeszcze jedną powieścią o istotach ziemskich, usiłujących nawiązać kontakt z obcymi. Ci, którzy przeczytali choćby jedną z licznych książek polskiego autora, wiedzą jednak, że nawet najbardziej oklepany temat może stać się okazją do sprawienia zaskakującej niespodzianki. Międzynarodowa sława Lema opiera się na dwóch założeniach: rzadko występujących wspólnie u jednego człowieka, jest on zarówno znakomitym fantastyką literackim, a także Jorge Luis Borges i Italo Calvino, jak również biegłym filozofem i zwiną technologią. Szczęśliwie dopięciocięciem Lema nie tylko buduje zamki w powietrzu, lecz także dostarcza dokładne projekty ich konstrukcji. (.)

Wymagowana fizyka Lema oczarowuje czytelników. Jednak wspaniałe planowanie i cudowne maszyny, jakie opisuje, nie uwzględnią już proszę tego problemu. Kwintanie nie chcą mówić. Przetalu, acz wysoko nad planetą, załoga „Hermesa” dostrzega wyraźne oznaki wysoko rozwiniętej cywilizacji. Niestety wszelkie próby nawiązania kontaktu spotykają się najpierw z milczeniem, a następnie z wrogoscią, nie udają się nawet starania o przekazanie posłania o pokój. Mieszkańcy Ziemi zaczynają już się nawet zastanawiać, czy przypadkiem ci, którzy zaplanowali tę ich szczytną misję, inwestując w to biliony i czyniąc wszystko, by odnaleźć inną cywilizację, nie oszaleli.

„Hermes” posiada wystarczającą dużą moc by zmusić Kwintę do odpowiedzi lub też ją zniszczyć, jednak jakie zwycięstwo oznaczałoby niepowodzenie. Jeden z członków załogi mówi w pewnym momencie do kapitana: *Jezeli się pan nie wycofa, to każde pana posunięcie, jakiekolwiek by było, spowoduje fiasko*. Kapitan z kolei staje się coraz większym pesymistą, każda próba dokładnego przestudiowania obcej technologii okazuje się bezowocna. Jej elementy, niczym rozczłonkowane rozbitego lustra, nie tworzą logicznego obrazu całości. Są jedynie niejasnym rezultatem tego, co je roztrząsało.

Tego typu rozważania zdają się pasować bardziej do powieści psychologicznej niż do sag o przestrzeni kosmicznej. „Fiasko” reprezentuje jednak obydwa typy literatury. Skonstruowana przez Lema fabuła jest pełna bohaterów i czynów nieograniczonych możliwości i kataklizmowych eksplozji. Równie zajmujące są wplecione w tok akcji dygresje: rozprawy na temat rozwoju komputerów i sztucznej inteligencji, porady z dziedziny teorii gier oraz metod wskrzeszania zmarłych, po ich uprzednim zamrożeniu. Naukowcy mogą uskarżać się na Lema, że miesza swoje teorie z faktami, jednak „wojny gwiazdne” świadczą o czymś wręcz przeciwnym. Czytelnicy o pewnym dystansie odróżniają tu popularną rytmikę, która jest równie skutecznie poważna.

Paul Gray

Time Magazine, czerwiec 1987

Jeśli ktoś potrafił się odenwać od poszczególnych książek i spojrzeć na twórczość Stanisława Lema z pewnego dystansu, dostrzegał wyraźną linię rozwojową, uzasadnioną zresztą przez pisarza różnymi wypowiedziami. Zaczął Lem od prozy beletrystycznej, by później stopniowo skłaniać się ku esejstyce, najpierw jeszcze oscylując wokół problematyki literackiej i filozoficznej, później, jawnie futurologicznej, teoretyczno-literackiej, by znowu wrócić do literatury, ale już manifestując znużenie fabułą. Pisał więc przez ostatnie kilkanaście lat eseje, wypowiadał się na różne tematy, a twórczość beletrystyczna znajdowała się jakby na marginesie jego literackich zainteresowań. Nie ukrywał, że zajmuje go tworzenie sytuacji modelowych, dla prezentacji, w których fabuła wcale nie jest konieczna, równie dobrze można to zrobić używając opisu dyskursywnego lub też tylko referując założenie i zarys ewentualnej fabuły. Wprawdzie co pewien czas pojawiała się nowa proza beletrystyczna Lema, ale zawsze nadawany był sygnał, że mistrz sprzeniewierza się samemu sobie po to, by ulżyć cierpieniom czytelników, wciąż oczekującym na nowe utwory Lema.

Ale przyszedł rok 1987 i poprzedzone rozgłosem zagranicznym w odstępie kilkunastu tygodni dotarły do polskiego czytelnika dwie nowe powieści Lema: „Pokój na Ziemi” i „Fiasko”. Odszerbne, nawiązujące w różny sposób do wcześniejszych utworów autora, „Astronautów” i – dzięki swemu zbiorowemu wejściu na rynek księgarski – znaczące i dające do myślenia. Bo oto Lem, aktywnie odziedziczył się od swych dekadencji i wrócił z rozmachem do beletrystyki. Rodzi się pytanie: dlaczego? Czy chce znowu docierać do masowego czytelnika, dla którego jego eseje pisane hermetycznym językiem i – nie ma co ukrywać – trudne były mało atrakcyjne? Czy chce stanąć do współzawodnicztwa z nowymi autorami i udowodnić im, że on mistrz i prawodawca wielu reguł posługiwania w obrębie gatunku, jeszcze raz poprowadzi ich na nowe obszary odświeżone nowymi możliwościami SF? Czy też po prostu za wszystkim stoi banalne względy komercyjne (nie wiem, jak to było gdzie indziej, ale u nas nowe powieści Lema mają po sto tysięcy nakładu)? A może po prostu chciał się jeszcze raz pobawić fabułami, opisanymi przygodą? Niestety nie bardzo mu się to wszystko udało, niezależnie od motywów, jakie nim kierowały.

Powstały bowiem dwie „zimne” powieści, których bohaterowie pozostawiają właściwie czytelnika obojętnym. Nic się interesującego nie dzieje w ich życiu wewnętrznym, są bardziej nosicielami idei, pretekstem dla wyrażenia pewnych sądów niż pełnokrwistymi postaciami przeżywającymi jakieś dramaty. To zresztą nie jest nowością w twórczości Lema z reguły właśnie takie zadania miały do spełnienia posłaci bohaterów w jego powieściach (najdalej odszedł od tego w „Solaris”, inaczej rzecz się miała ze „Ształem Przemienienia” i „Wysokim Zamkiem”). Zastanawia co innego Otóż Lem powieścią „Fiasko” wyraził nawiązanie do tego modelu SF, jaki uprawiał w latach pięćdziesiątych, co w kontekście współczesnej fantastyki, z reguły bardzo dynamicznej językowo, zmierzającej w stronę nadania narracji możliwie szybkiego tempa, mniej analizującej, a więcej i sprawniej pokazującej, brzmi po prostu anachronicznie. W powieści „Fiasko” jest wiele takich fragmentów, które z powodzeniem mogłyby się znaleźć w „Astronautach” czy „Obłoku Magellana” (por. np. str. 146, 150 czy 169). Lem w ten sam sposób, co wtedy, pragnie teraz po trzydziestu latach pozostawić jak najmniej miejsca dla pracy wyobraźni czytelnika, chce wszystko możliwie dokładnie opisać, a ponieważ jest pisarzem o skłonnościach dyskursywnych, rzadko pozwalającym sobie na pisarskie „szaleństwa” i „odloty” jego opis wymyślonego krajobrazu z rozdziału „Las Bimam” jest nieporównanie przeciągany i rozwieszony, a czytelnicy pewnie i tak go opuszczą. Lem napisał tę powieść tak, jakby nie miał żadnych doświadczeń literackich po „Dialogach”. To zastanawiające.

Wydaje mi się, że jest to wręcz zbyt niewiarygodny model SF i ten sposób pisania, który wyniósł go przed laty na wyżyny i wyraz pogardy dla wszelkiego co wydarzyło się później w SF literaturze w jego. Lem demonstracyjnie odwraca się od dorobku swych następców, może go nawet nie zna i chce pokazać, że on mistrz może sobie pozwolić na wszystko i że tam, w przeszłości, pozostawiała fantastyka, która on lubi, którą chce teraz znowu forsować. Nie chciałbym być złym prorokiem, ale na to może się nabrac tylko pseudokrytyka pseudoliteracka porażona „wiekością nazwiska” – „Fiasko” w księgarskiej jest w dobie i to dość wyraźnie, co może, choć jeszcze nie musi wskazywać, że czytelnicy nie bardzo są to powieścią zainteresowani. Pokażę czas, jak to jest.

„Fiasko” jeszcze z innych względów będzie odgrywać ważną rolę w twórczości Lema. Otóż, jest ono swego rodzaju domkiem piętrem ostatecznym zakończeniem utworów mających za głównego bohatera pilota Pirxa (nie tylko moją ulubioną postać spośród tych, które Lem powołał do życia). Otóż w pierwszym rozdziale tej powieści Pirx ginie spiesząc na ratunek innym ludziom. Później jemu spieszy na ratunek jego uczeń Parvis i również ginie. Po wielu latach zamrożone zwłoki wszystkich zabitych zostają wydobyte, ale tylko jeden zmarły może być reanimowany. Z zachowanych dokumentów wiadomo, że jego nazwisko rozpoczyna się na P i liczy pięć do ośmiu liter (str. 94), co jednak odbierałoby szansę reanimacji Pirxowi (przez cztery litery). Lem poprawia się więc i na str. 107 czytamy, że nazwisko uratowanego człowieka ma 4 do 6 liter, a więc teraz są dwie możliwości: to jest Pirx albo Parvis. W sumie o to zapewne Lemu chodziło od początku, ale się pomylił. Wszystko zmierza do tego, że główną postacią dalszych rozdziałów powieści może (!) być Pirx i choć może to być uczeń Pirxa, a w każdym razie człowiek ten – Marek Tempe – musi posiadać jakieś cechy Pirxa.

I co się teraz dzieje? Jak wiadomo, pilot Pirx wychodzi cało z najróżniejszych opresji dlatego że w technicznie wykształconym, odhumanizowanym świecie był ostatnim nosicielem ludzkich cech i słabości, a przez to nie ufał bezgranicznie maszynom. Tu natomiast Lem dąży do skompromitowania takiej postawy Tempe (czy przypadkowa zbębność nazwisk z bohaterem Szewcow? Witkiewicz?), poddając się czysto ludzkim uczuciom – ciekawości, wściekłości, wreszcie bezradności i rozpacz – udaremnia ostatecznie kontakt ziemskiej wyprawy z mieszkańcami planety Kwinty i doprowadza do zniszczenia całej cywilizacji. Czyli „fiasko”. Zresztą cała ta powieść jest jakby wymierzona w bezwzględność ludzkiej paśli poznawania i eksploracji. Członkowie wyprawy poddani są presji i dążą za wszelką cenę do kontaktu, mimo że cywilizacja, z którą mają się skontaktować, wcale sobie tego nie życzy.

Lem zdaje się ujawniać tą powieścią swą niechęć do ludzkości, może rozczarowanie do niej, po wszystkich życiowych doświadczeniach? A może ten obraz porozumienia nie zrealizowanego, którego chęć prowadzi do totalnej zagłady, ma jakieś odniesienie do współczesności? I może dlatego nie zał mu było poświęcić wzbudzającego tyle sympatii u czytelników Pirxa? W twórczości Lema nic nie dzieje się bez przyczyny.

Leszek Bugajski

Stanisław Lem: „Fiasko”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987. Cena 430 zł.

Fenomen Konrada Fiałkowskiego polega na tym, że choć napisał jedynie dwie powieści i kilkanaście opowiadań, jego proza fantastyczna chwyciła, jest popularna i poszukiwana. Po Stanisławie Lemie miłośnicy gatunku za granicą pytają przede wszystkim o profesora-fantastę z Polski, nie zapominają bowiem o głównym, naukowym zawodzie autora „Wróble Galaktyki” i „Homo Divisus”. A pytają o niego po angielsku, francusku, niemiecku, hiszpańsku, portugalsku, czesku, węgiersku, rosyjsku, japońsku, słowacku, nie wiem czy wymieniałem wszystkie języki, w których ukazały się utwory Konrada Fiałkowskiego.

Najszerzą dyskusję wywołała chyba (znowu w wielu językach świata) najnowsza powieść, zatytułowana „Adam, jeden z nas”, osnuta na motywach Nowego Testamentu, opublikowana przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie. Profesor Fiałkowski, pracujący obecnie w UNIDO, w Wiedniu, i objeżdżający ciągle wiele krajów świata, stał się niejako ambasadorem polskiej fantastyki, pobudzając swoimi utworami zainteresowanie naszą odmianą tego gatunku. Stąd też nagroda za całość jego pisarskiej działalności przyznana mu przez jury nagród literackich „Fantastyki” z okazji pięciolecia pisma. Oto wywiad z laureatem.

A.H.



Fot. Zbigniew Lalata

Sami w kosmosie?

z Konradem Fiałkowskim rozmawia Adam Hollanek

Adam Hollanek: - Panie Profesorze, jaka była Pana reakcja na wiadomość o nagrodzie „Fantastyki”?

Konrad Fiałkowski: - Byłem mile zaskoczony. Jest to moja pierwsza krajowa nagroda tego rodzaju mimo że otrzymywałem już takie za granicą.

- Czym Pan to tłumaczy?

- Gustami tych, co rozdzielają nagrody. Poza tym ja jestem z innej grupy profesjonalnej: tej od nauki, a nie tej od literatury, a etykiety szczególnie w naszym kraju mają zasadnicze znaczenie.

- Właśnie, jak to się stało, że Pan, autor licznych prac naukowych, członek międzynarodowych komite-

tów, jak mi wiadomo projektodawca komputera biomedycznego, jednego z pierwszych w Europie - zajął się fantastyką?

- Pytanie winno brzmieć, dlaczego autor fantastyki zajął się tym wszystkim. Najpierw, jeszcze w liceum, już ponad trzydzieści lat temu zacząłem pisać i pisać, aczkolwiek niewiele, do dzisiaj.

- Ale dlaczego?

- Bo jest to sposób wyrażania myśli i idei, które inaczej trudno wyrazić.

- Jest więc Pan pisarzem fantastyki?

- Tak i to dlatego, że pisarz fantasta, w odróżnieniu od pisarza tradycyjnego trak-

tuje świat, obiekt swego zainteresowania warunkowo, jako jedną z wielu możliwości, których liczba i różnorodność jest ogromna. Pisałem o tym w „Homo Divisus”. Tradycyjny pisarz wariantuje jedynie sylację, ramy i strukturę zapożyczając dosłownie z istniejącego świata. Przy takim rozgraniczeniu wielu pisarzy i wiele dzieł znajduje się w tej pierwszej kategorii, mimo że ich twórcy nawet tego nie podejrzewali. Pokusa, by zmieniać strukturę rzeczywistości, towarzysząca zawsze pisarzom, jest zaproszeniem do fantastyki. Zapewne w przyszłości, gdy przyszła wielowymiarowa, wielowątkowa, interakcyjna z odbiorcą, te ewizja wspomagana komputerami, których dzis

neologizmy SF

Konrad Fiałkowski: Wróble galaktyki

mnemotron - elektroniczne urządzenie pamiętające, służące przechowywaniu i odtworzeniu informacji. Wyraz jest złożeniem z drugiego członem powtarzalnym -tron, będącym częścią słowa *elektron*. Człon pierwszy pochodzi z greckiego *mnēmē* - pamięć. Złożenie to zostało utworzone na wzór funkcjonujących w polskim języku technicznych nazw urządzeń elektronicznych (np. *perceptron*, *plazmotron*). Człon drugi -tron dołączany jest w takich wypadkach do pierwszego, zawsze obcego (zawycząj z języków klasycznych - tak np. *perceptron* z łac. *perceptio*-postrzeżenie). Podobnie utworzył Fiałkowski *konceptjotron*, w którym człon pierwszy pochodzi z łac. *conceptio*. Nazwa oznacza urządzenie do stawiania hipotez i ich sprawdzania.

kosmogator - złożenie w zasadzie niegodne z polskim systemem słowotwor-

czym, utworzony w ten sam sposób, co omówiony (patrz: „Fantastyka” nr 10/85) neologizm Lema - *astrogator Kosmogator* to człowiek wyznaczający trasę lotu kosmicznego.

automed - automat medyczny. To złożenie, w którym członem powtarzalnym jest człon pierwszy. W języku polskim wyrazów z pierwszym członem *auto-* (sam-, samo-, czynny, automatyczny) jest bardzo wiele. Człon drugi pochodzi z łac. *medicus* - lekarz. W neologizmie tym mamy więc do czynienia z ucięciem części wyrazu będącego podstawą drugiego członu złożenia, a więc z derywacją dezintegracyjną.

aerolot - pojazd służący do poruszania się w atmosferze. Utworzony podobnie jak omówiony neologizm Lema *gwiazdolot*. Jest to połączenie wrostkiem -o- złożenie dwóch członów powtarzalnych. Pierwszy pochodzący z gr. *aer* - powietrze wskazuje materię, w której pojazd może się poruszać, drugi - *lot* (od *latać*) wskazuje na sposób tego poruszania.

autowitalizator - automat witalizujący (znów przywracający człowieka do życia ze stanu anabiozy (stanu zahamowania procesów życiowych). Jest to złożenie z pierwszym członem powtarzalnym *auto-* i drugim pochodzącym od *witalizować*. Mamy tu dodatków do czynienia z derywacją przyrostkową. Przyrostek -ator tworzy nazwy wykonawców czynności od czasowników na -ować (tu: *witalizować*). Przyrostek ten tworzy często nazwy będące równocześnie nazwami osobowych i niesobowych (urządzenia) wykonawców czynności (jak np. *powielator*). Jest on więc funkcjonalny w fantastyce naukowej, w której opisywane urządzenia są często układami obdarzonymi pewnym stopniem „świadomości”, co zbliża je do człowieka. Nazwy utworzone w języku polskim przyrostkiem -ator to najczęściej nazwy nowe. Przyrostek ten dopiero stosunkowo niedawno stał się produktywny. Podobnie powstał neologizm Fiałkowskiego *homosymulator* - automat symulujący elektroniczne działanie po-



jeszcze nie ma, stanie się częścią rzeczywistości człowieka, a pytanie „co jest na prawdę?” przyjdzie rozstrzygać z coraz większą trudnością, literatura niełatwa słyszana będzie miała kłopoty, by taką pozostać

– *Zawsze będzie mogła odwołać się do nauk ścisłych, które mówią, jaki świat jest naprawdę.*

– I pozostać literaturą?

– Tak.

– To nie takie proste. W naukach przyrodniczych, przynajmniej tak jak je dzisiaj rozumiemy pytanie „jak?” jest zawsze poprawne pytanie „po co?” lub w mniejszym stopniu „dlaczego?” jest co najmniej podważane. A literatura która odpowiada tylko na to pierwsze pytanie jest wykładem popularyzatorskim. Dla człowieka, jej odbiorcy, wszystkie te pytania są równie istotne. Przecież literatura to pomysły i modele interakcji człowieka z innym, ludzi w stałej strukturze – w wydaniu tradycyjnym, lub interakcji z innymi ludźmi i ze zmieniającą strukturą, czasem także pomysła na, w fantastyce. Ale człowiek jest niezmennym i bez niego nie ma literatury.

– *Poza te ramy wykracza chyba kontakt z inną cywilizacją. Przynajmniej takie były Pana poglądy. Jest Pan chyba tworcą idei „niespełnionego kontaktu”, bo Pana opowiadanie „Wróble Galaktyki” z 1959 roku należy do wcześniejszych od „Pikniku na skraju drogi” Strugackich i od „Ramy” Clarke’a.*

– Inna cywilizacja to chyba największa niewiadoma, z jaką może się spotkać ludzkość. Jeśli oni nas znajdą, to będą mieli dla nas wymiar Boga i Szatana równocześnie do tego będą, jeszcze bardziej, odlegli i niezrozumiali. Jest, my ich znamy, proporcje mogą być dla nas bardziej korzystne. Ale wie Pan, na poważnie, nie wierzę, by do tego doszło. Przez ostatnie dziesięć lat zajmowałem się po stronie nauki mechaniz-

mem powstania mózgu człowieka jako efektu ubocznego adaptacji, nie mającej nic wspólnego z myśleniem. Zrobiłem ten model. Jeśli jest on prawdziwy to jest on uniwersalny, bowiem jego założenia niekoniecznie wiążą się z konkretnymi warunkami ścinającymi na naszej planecie. Wynika z niego również że równoczesne występowanie myślącego mózgu i rak – efektów tak jak u człowieka, jest przypadkiem, koincydencją, a nie przyczynowo związanymi zdarzeniami. Dużo bardziej prawdopodobnym rezultatem ewolucyjnym, według tego modelu, jest „inteligencja obserwująca” coś jak na przykład inteligencja wielorybów, czy lewowskiego Solaris, która nie zmienia otoczenia i nie manifestuje tymi zmianami swojej obecności. Na gruncie tego modelu takie cywilizacje jak nasza są o wiele rzadziej wielkości mniej prawdopodobne od dotychczasowych szacowań i prawie niemożliwe. Z tego punktu widzenia program SETI jest praktycznie bezcelowy. Tyle model i dedukcja.

– *Czyli samotni w kosmosie. Jak Pan, fantasta, może niszczyć idee „braci w rozumie”?*

– Dedukcja jest odporna na nasze tęsknoty. Ale może model jest nieprawdziwy. Jest on opublikowany w międzynarodowym piśmiennictwie antropologicznym i łęgie głowy szukają w nim luk. Może znajdą jedno z większych marzeń ludzkości uniknięcie zepchnięcia w zakres tak małych prawdopodobieństw że niemożliwość jest dla nich poprawnym, praktycznym, okresem niemożliwości.

– *A inne marzenie ludzkości: uczłowiczone automaty?*

– W odrożeniu od podróży na Marsa czy dalej, których perspektywa jakos się przybliża, w zakresie maszyn naprawdę myślących – im więcej wiemy o komputerach i mózgu tym bardziej ich perspektywa się oddala.

– *Jednak wielu uczonych widzi to inaczej.*

– W naukach przyrodniczych nie ustają się prawd w wyniku głosowania. A ani modelu ani nawet koncepcji takich maszyn nie ma.

– *I nie będzie?*

– Nie wiem. Istnienie człowieka jest do wódem, że co najmniej takie urządzenia przetwarzające informacje jak nasz mózg można zrealizować. Czy wystarczy ludzkości czasu i chęci, by do tego dojść – to jest pytanie.

– *Jesli ewolucja wytworzyła człowieka metodą „prob i błędów”, to świadome działanie powinno przynieść znacznie szybsze rezultaty.*

– Ale ile czasu to zajęło ewolucji. Czas ewolucyjny jest dużo bardziej odległy naszej intuicji i pojmowaniu niż odległości międzygwiazdne.

– *Tych kilka czy nawet kilkadziesiąt tysięcy lat naszej cywilizacji to przecież nie tak dużo.*

– Pan wyłacznie ocenia czas rezultatów. Ale to tak jak ze wspinaczką wysokogorską. Jeden niewielki krok ten ostatni na szczyt ten, o którym Pan mówi, i widzi się całą panoramę. Ale przedtem trzeba wykonać te dziesięć tysięcy kroków, by szczyt ten osiągnąć. Nasi najbliżsi krewni w ewolucji są kilka metrów od szczytu. Tylko, że oni go nigdy nie osiągnęli. I nie jedynie dlatego, że bardzo trudno jest tam błaznąć, trafić ale także dlatego, że nawet gdyby ta niestychanie mało prawdopodobna możliwość była przed nimi, nigdy im na to nie pozwolimy.

– *A może ktoś nas na ten szczyt zaprowadzi?*

– Kosmici? Bog? Może. W takim razie powinien również dobrze zadbać byśmy z niego nie spadli w przepaść. Ale to jest logika człowiecza i zapewne w przypadku kosmicznych przewodników nie obowiązują.

– *Dziękuję za rozmowę.*

neologizmy SF

szczególnych narządów człowieka i współpracę między nimi. To także złożenie z pierwszym członem powtarzalnym *homo-* (z gr. *homos* – taki sam, równy) i drugim pochodzącym od *symulować* i tu od czasownika *ować* utworzono nowy wyraz przyrostkiem *-ator* (tak też derywowane *certifikator*, *dezintegrator*).

helidrom – lotnisko helikopterów. Utworzony na wzór wyrazu *kosmodrom* (lotnisko statków kosmicznych). Dla utworzenia tego wyrazu wykorzystano pierwszy człon złożenia *helikopter* z gr. *helikos* – skręcony (w wyrazie *helikopter* człon drugi pochodzi z *ptéron* – skrzydło). Człon drugi *-drom* (pochodzący z gr. *dromos* – bieg) został wyabstrahowany ze słowa *kosmodrom*.

telewizofon – odpowiednik telefonu, służący do przekazywania wizji i dźwięku. Złożenie *wizofon* o tym samym znaczeniu omówiono w odcinku dotyczącym Stanisława Lema. Neologizm Fiałkowskiego to złożenie trzech członów, z których pierwszy to człon powtarzalny *tele-* (z gr. *tele* – daleko)

Jak piszą autorki słownictwa rzeczowników Renata Grzegorzczkowska i Jadwiga Puzyńska większość złożów „z członem *tele* to konstrukcje, w których człon ten jest skrótem wyrazu *telewizja* lub *telewizyjny*”. Tak też jest w następnym złożeniu Fiałkowskiego *telemapa* – oznaczającym mapę przekazywaną zdalnie i odtwarzaną na ekranie. Ten sam człon jest jedną z podstaw złożenia *teletext* – list przekazywany zdalnie (stąd właśnie *tele-*) bezpośrednio do adresata.

terroplan – pojazd służący do komunikacji między Ziemią a sztucznymi satelitami Ziemi. Pierwszy człon złożenia pochodzi z łac. *terra* – ziemia. Natomiast człon drugi został sztucznie wydzielony z wyrazu *aeroplan* – samolot, który jest zapożyczeniem francuskiego *aeroplane*. Wydzielenie takie stało się możliwe gdyż wiele jest złożów utworzonych na gruncie języka polskiego z pierwszym członem *aero-*. Stąd także jako złożenie został potraktowany *aeroplan*.

Znaczenie neologizmów ze zbioru opo-

wiadań Konrada Fiałkowskiego zostało wprowadzone wyjaśnione w pierwszym wydaniu tej książki, ale są one typowe dla całej twórczości autora, a przede wszystkim dla pozostałych opowiadań „Kosmodromu” (poza włączonymi do tego tomu opowiadaniem ze zbioru „Wróble galaktyki”), gdzie wyjaśnienia te nie zostały powtórzone. Poza tym wyjaśnienia znaczeń nie wskazują żadnych związków z budową neologizmów – dlatego też zdecydowałam się na ich omówienie.

Jolanta Tambor

Przypominamy, że wprowadzenie do słownika neologizmów SF wydrukowaliśmy w „Fantastyce” nr 10/85 natomiast w poprzednich odcinkach tego słownika J. Tambor analizowała neologizmy utworzone przez Stanisława Lema (10/85 i 11/85), Czesława Chruszczewskiego (12/85), Janusza A. Zajdla (2/86) oraz Macieja Parowskiego (4/86).

Pustynia Gila w Arizonie jest jednym z najbardziej suchych i gorących miejsc w Stanach Zjednoczonych. Brunatno-czerwonawa barwa piasku i sterczące gdzieś daleko w głąb poszarpane skały czynią wrażenie krajobrazu marsjańskiego. No tak, przecież tak właśnie miałyby być krajobrazy marsjańskie! W tym niezwykłym, choć bardzo niegospinnym miejscu pojawiły się kilka miesięcy temu olbrzymie maszyny budowlane i zaczęły ryc gruntem. Dzisiaj widać już zarys gigantycznego, kolistego fundamentu, w pobliżu zaś stoją stalowe konstrukcje o niespotykanym kształcie.

Z tamtej strony lustra

Arka Noego 1988

Maciej Łkowiecki

Przed końcem 1988 r., na arizonskiej pustyni stanie hermetyczna połkula z pancernego szkła, wsparta stalowym łukami. Będzie całkowicie zamkniętym światem o pojemności 550 tysięcy metrów sześciennych – bez żadnych otworów na zewnątrz poza jedną szluzą wysłową ryglowaną starannie stalowymi kłapami. Wewnątrz – w wydrebnionych segmentach – znajdzie się siedem stref ekologicznych jakby oddzielnych mini „podswiatów”. Każda strefa ma być swoistym, typowym typem stref ekologicznych Ziemi – będzie to więc tropikalna dżungla, moczary, sawanna, pustynia, morze, góry i wreszcie część zmierzona przez działania ludzkie: ogrody i pola uprawne. Naturalnie nie są to wszystkie strefy ekologiczne istniejące w ziemskiej biosferze, ale wystarczająco dla zamierzonego doświadczenia. Ich mała powierzchnia zmieszcza najważniejsze gatunki roślin i niektóre wybrane gatunki zwierząt typowe dla danej strefy. „Góry” wewnątrz stalowo-szklanej bariery będą w tej skali zaledwie wzgórkami (sięgną 16 m wysokości), „morze” zaś czymś w rodzaju słonego jeziora (ok. 15 m głębokości), ale w pewnym znaczącym zakresie ekologicznym będą przynajmniej przypominać rzeczywiste góry i morza.

W części uprawnej znajdą się sady, ogrody, pola sławo-rybne. Zmieszcza tam 140 starannie dobranych gatunków drzew, owocowych, warzyw, zbóż, a także farma ze zwierzętami hodowlanymi i oczywiście dom mieszkalny wyposażony we wszystko, czego trzeba ludziom i w jeszcze więcej. Dom pomieszczy nowoczesne laboratoria naukowe i komputery z gigantyczną pamięcią wypełnioną informacjami naukowymi i technicznymi. Będzie to więc supernowoczesny system, do starczający informacji na każdy zadany temat.

Szklana połkula w Arizonie ma być „mikroskopią” (wobec rzeczywistych rozmiarów Ziemi) symulatorem biosfery ziemskiej, nazwano ją więc BIOSFERA II, choć przez założyciela bywa nazywana „Banką Noego”.

Przy dzisiejszych możliwościach zagłady szklana kula w Arizonie nie przetrwałaby wprawdzie połtopu. W jej wnętrzu przynajmniej parę lat będzie istniał kawałek zamkniętej biosfery.

Budowa dziwnej bańki ma służyć jednemu z najkosztowniejszych i wielkich eksperymentów naukowych naszego czasu, nawiasem mówiąc pierwsze 30 mln dolarów wyłożył na to miliard z Teksasu Edward Bass, znany skądinąd działacz ochrony biosfery.

Biosfera II zostanie zamknięta prawdopodobnie w początkach 1989 r. razem z osiemnastu ludźmi, różnego rodzaju specjalistami, wybranymi spośród trzynastu szkolonych i przygotowywanych już dzisiaj w ośrodku naukowym w Arizonie. Tych trzynastu zostało wybranych po pierwszej selekcji – podobno kandydatów do udziału w tak fascynującej przygodzie było wielu.

„Świat wydzielony”, swoistą enklawę w naszym świecie całkowicie samowystarczalny system ekologiczny. W tym zamkniętym środowisku wszystko będzie wykorzystywane w klasycznym obiegu pierwiastków, tak jak w biosferze prawdziwej. Zatem dostawa tlenu zajmą się rośliny zielone, korzystające z dwutlenku węgla, wydzielanego przez zwierzęta i ludzi i powstającego w procesach spalania. Wszystkie wydajności, odpowiednio przetworzone, użyzną glebę. Para wodna, wszelka wydzielana wilgoć, zostanie zużyta jako deszcz – tak daleko i dalej, nie zmarnuje się nic. Specjalna aparatura, opatrzona w superczujniki, będzie w każdym sektorze regulować temperaturę, ciśnienie, wilgotność, skład atmosfery – zależnie od potrzeb i odpowiednio do typu strefy ekologicznej. Energię dostarczą wysokowydajne ogniwa słoneczne i mini elektrownia atomowa.

Eksperyment Biosfery II ma dwa główne cele. Ma więc dostarczyć jak najwięcej informacji o wszelkich zależnościach ekologicznych, o powiązaniach wzajemnych, występujących w rzeczywistości otoczonej „życiowej” Ziemi, czyli w tym, co nazywa się właśnie biosferą. Jest to przecież klasyczny model symulacyjny, uproszczony i niepełny, wprawdzie jak każdy model, ale jednak dający ogromne możliwości – jak również każdy prawidłowo zbudowany model – możliwości poznania działania systemu naturalnego, a przynajmniej pewnych zasadniczych sprzężeń tego systemu. Po tym doświadczeniu wiele spodziewają się zwłaszcza obrońcy środowiska (dzisiaj należałoby zresztą mówić nie tyle o nieco starszowieckiej „ochronie środowiska”, ile raczej o jego naukowym programowaniu w ten sposób, by zachowało wszystkie te cechy, niezbędne dla utrzymania koniecznej ludzkości (i ich życia). Jednak najbardziej bezpośrednim i praktycznym celem Biosfery II jest coś innego: jest mianowicie stworzenie modelu samowystarczalnej kolonii ludzkiej na Marsie lub Księżycu! Chodzi przede wszystkim o sprawdzenie automatycznych systemów oczyszczania powietrza, wody i przetwarzania wydaliny w obiegu zamkniętym oraz o uzyskanie doświadczeń z życia ludzi i przyrody w zamkniętym kawałku ziemskiego świata”. Z tego względu ma też znaczenie (choćby psychologiczne) naturalne otoczenie Biosfery II – smutny, samotny niesamowity świat arizonskiej pustyni, bliski pustyniom Marsa (czy może tylko bliski wyobrażeniom o tych pustyniach).

Założa tej dwudziestowiecznej arki Noego prócz naukowej obserwacji otoczenia, obsługi aparatury i dokonywania pewnych eksperymentów, będzie zajmować się także wszystkimi pracami (w pewnym stopniu zautomatyzowanymi) na farmie dostarczającej żywności. Uprawa ogrodu i pol, hodowla zwierząt, opieka nad rybnymi stawami (bądź co bądź 200 gatunków ryb!), obserwacja zwłaszcza doświadczeń laguny koralowej w ciepłym „wewnętrzny morzu” ma znacze-

nie ludzi zamkniętych w szklanej kokonie; ostatecznie można by wszystko całkowicie zautomatyzować, troskę o wyżywienie powierzyć automatom, względnie co pewien czas dostarczać niezbędne zapasy z zewnątrz – w końcu do kolonii na innych planetach też będą kursowały kiedyś transportowce tam i z powrotem. Ale nie – chodzi o to, by takie zamknięte „małe Ziemi” – kiedyś gigantyczne kolonie Ziemi w przestrzeni zewnętrznej, także na Marsie i Księżycu (po tem – może i na innych planetach?) – otóż by takie „kosmiczne miasta-ogrody” były jak najmniej, podobne do fabryk czy laboratoriów, jak najbardziej podobne do skrawków rodzinnej planety, z żywymi i podtrzymywanych przy życiu ludzką troską i pracą. Chodzi o to, żeby były właśnie biosferami, a nie – „maszynami do życia”.

W projektowaniu kolonii bierze udział ponad 200 uczonych. Na przykład spec od podzwrotnikowych lasów, botanik Gi ean France z Ogrodu Botanicznego w Nowym Jorku, przygotowuje strefę dżungli, biolog morza Walter Adey ze słynnego Instytutu Smithsona (jest to jedna z największych na świecie instytucji naukowych, jego placówki znajdują się w różnych miejscach w USA i gdzie indziej) projektuje „minimorze” i strefę moczarów, znawca ssaków Peter Warschal z Uniwersytetu Arizony przygotowuje strefę sawanny i doбира do niej zwierzęta. entomolog Scott Miller z muzeum przyrodniczego na Hawajach doбира dla całej Biosfery II gatunki owadów. Z owadami jest problem szczególnie – muszą być zachowane odpowiednie proporcje gatunków, głównie zresztą użytecznych, trzeba zapewnić równowagę „łańcuchów pokarmowych”, zapylanie roślin (a jak to zrobić, skoro np. pszczoły kierują się w swych lotach do źródła pyłku położeniem Słońca, wyczuwającym przez odbiór promienia ultrafioletowego, a szklana kopuła promienie te zatrzyma?) itd. Z pewnych względów potrzebne są mszyce – ale żeby nie rozmnożyły się nadmiernie, w „banku Noego” muszą również żyć biedronki (swoją drogą to szczęście, że na przykład w kolonii na Marsie będą mogły znaleźć się także biedronki – dla mnie taka bez biedronek nie byłaby prawdziwą taką). Na sawannie będą nawet kopce termidów, ale trzeba było znaleźć taki ich gatunek, który... nie pozarżałby specjalnych żywic, służących do uszczelniania szklanych płyt kopuły.

Zespół pod kierunkiem Carla Hodgesa (z ośrodka badań nad ekosystemami Uniwersytetu Arizony) ma do dyspozycji 3 tysiące odmian roślin uprawnych – musi z nich wybrać około 140 najbardziej odpowiednich w takiej kolonii (tj. w sposób optymalny zapewniających jej samowystarczalność żywieniową, łatwych do uprawy, odpornych itd.). To samo dotyczy zwierząt na farmie.

Oczywiście, walory wybranych roślin i zwierząt ujawni w pełni dopiero przebieg dwuletniego doświadczenia, na pewno w czasie tych dwóch lat w Biosferze II nastąpią różne nieprzewidywane zakłócenia i powstaną problemy, których dziś nie można się nawet domyślić. No cóż – po to przecież właśnie odbędzie się ten eksperyment! W razie trudności grożących katastrofą (lub np. choroby kogoś z „biosferzan”, nie dająca się wyleczyć na miejscu) zawsze można otworzyć hermetyczną szluzę, mieszkańcy Biosfery II będą zresztą mieli łączność telefoniczną i dalekopisową ze światem zewnętrznym. Kolonia Ziemi na Marsie będą pozbawione tych dodatkowych otuchy możliwości (mimo dalekosiejdnej łączności z Ziemią – to jednak nie to samo, co telefon i możliwość w każdej chwili powrotu do swojego świata!).

Myślę, że za 3 lata dowemy się rewelacyjnych rzeczy o wynikach eksperymentu Biosfery II. Jeśli będzie jeszcze ukazywać się „Fantastyka” – a ja w niej będę pisał (mam nadzieję) – poinformuję o

Sama idea „zamkniętego ekosystemu” nie jest zresztą nowością, nie jest to także pierwsze doświadczenie tego rodzaju. W niektórych laboratoriach działają już od kilkunastu lat zamknięte hodowle na przykład morskich glonów (alg – mogących być dobrą podstawą pożywienia na przykład dla załóg statków kosmicznych). Są to miniekosystemy morskie o bardzo ograniczonym zestawie „współuczestników” systemu, niemniej wyniki są bardzo zachęcające, rzeczywiście glony morskie doskonale sobie radzą, a przygotowana z nich żywność jest nie tylko zdrowa, ale i smaczna. W Krasnojarsku na Syberii, na dalekiej północy, uczeni radzieccy zbudowali doświadczalny ekosystem, sztucznie oświetlony i ogrzewany, w którym bada się możliwości warzyw i odtworzenia wody i powietrza.

Istnieją projekty zamkniętych ekosystemów do badań organizmów transgenicznych, przede wszystkim bakterii o wbudowanych obcych genach. Takie organizmy, swoisty produkt inżynierii genetycznej, mogą być z wielu względów bardzo niebezpieczne. Zamknięcie ich w hermetycznej klatce ułatwia wszelkie obserwacje i eksperymenty bez obawy, że mogą poczynić jakieś szkody w prawdziwej biosferze (choć groźba taka nigdy nie da się wyeliminować całkowicie). Według innych projektów, w zamkniętych ekosystemach można by hodować i przechowywać galunki roślin ginących – wówczas już bez przesady taka konstrukcja mogłaby być nazwana współczesną arką Noego.

Jednakże na razie Biosfera II ma być systemem największym i najbardziej złożonym, przede wszystkim zaś po raz pierwszy mają w niej żyć ludzie.

Jestem u progu podróży w nieznaną, a pod róż tą – jestem przekonana – przyniesie wielkie odkrycia – powiedziała prasie pani Margaret Augustine, kierująca programem Biosfera II.

Myszę, że jednak najciekawszy i może najważniejszy jest wniosek, jaki z tego wszystkiego wypływa: oto ludzkość rzeczywiście przygotowuje się do stworzenia kolonii na innych planetach i w przestrzeni zewnętrznej! Rosjanie, jak wiadomo, uporczywie realizują swój plan „industrializacji przestrzeni zewnętrznej”, to znaczy umieszczenia na orbicie wokół Ziemi stałej, wielkiej stacji kosmicznej, będącej zarazem laboratorium naukowym i rodzajem fabryki. W dalszych planach jest projekt oświetlenia północnych miast ZSRR gigantycznymi lustrami, odbijającymi z Kosmosu promienie słoneczne (nie wiadomo jednak, czy coś takiego nie byłoby trudne do zrealizowania dla mieszkańców – takich lusterek nigdy nie można by wylączyć...), potem transporto-

wanie energii słonecznej z przestrzeni zewnętrznej za pomocą laserów, polem wreszcie całe ogromne elektrownie słoneczne na orbitach. Nie jest pewne, kiedy to wszystko może nastąpić. Wiadomo jednak, że i USA, i ZSRR mają już w szczegółach opracowany projekt bezzałogowej wyprawy na Marsa (Może będzie to wyprawa wspólna?) Próbkę gruntu i powietrza marsjańskiego (i wszystkiego, co się tam znajdzie...) miałyby potem powrócić na Ziemię. Według planów nastąpi to w latach dziewięćdziesiątych i będzie podstawą do przygody największej – wyprawy ludzi na Marsa, gdzie na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia (czyli już niedługo – za 12-15 lat!).

W 1986 r. dr Wendeł Mendell, dyrektor Ośrodka Kosmicznego im. Johnsona w Houston w Teksasie, przedstawił oficjalne plany budowy „miasteczka księżycowego”. Oto etapy tego planu:

Rok 1996 – system satelitów zwiadowczych wybiera na Księżycu odpowiednie miejsce, o wystarczająco twardym podłożu, bogatym jednocześnie w skały dobre do produkcji księżycowego betonu (wiadomo już, że skały takie są na srebrnym globie, a technologia betonu została już opracowana). Z przetwarzanych skał ma być też czerpany tlen dla ludzi na Księżycu. Miejsce dla księżycowej kolonii ma być – według określenia Mendella – *zaczynnym, sympatycznym zakątkiem*. Trudno sobie taki zakątek wyobrazić na martwym, obcym globie, ale określenie jest miłe.

Rok 2000 – pierwsza z czterech kolejnych wypraw z ludźmi, którzy zweryfikują wszystkie dane, uzyskane wcześniej i przygotowują w terenie, na miejscu, dokładny plan budowy bazy.

Rok 2005 – pierwsza wyprawa transportowa. Z kontenerami, „zawierającymi wszystko, co trzeba”, i od tego momentu zaczyna się budowa „zamkniętego ekosystemu” na powierzchni około 1 hektara. Na utwardzonym gruncie rozpocznie się układanie czegoś w rodzaju gigantycznych rur o średnicy 6 m i długości 18 m – połączenie 6 takich rur utworzy podstawę konstrukcji – cylindryczny sześciokąt, zaopatrzony we wszystko, czego do życia potrzeba, i oczywiście w jądrowy generator. Każdy sześciokąt, pokryty półkolistą, wypełnioną powietrzem kopułą, będzie stanowił

„zamknięty ekosystem”, z tym, że pierwszy ma stanowić bazę wyjściową dla 10 osób i laboratorium badawcze, drugi – eksperymentalną farmę roślinno-zwierzęcą, trzeci – normalne już mieszkania i „ośrodki rekreacji i rozwoju”.

Budowa trzech połączonych sześciokątów potrwa około 12 lat. Gdzieś w 2017 roku ten dziwny „plaster miodu” (bo pojedyncze moduły przypominają pszczele komórki) będzie już stałą, samowystarczalną kolonią, zamieszkałą przez około 100 ludzi. Ale kolonia musi być po ukończeniu szybko przykryta „workami z zastalonym piaskiem księżycowym” (tak właśnie proponuje projekt!), żeby chronić ludzi i konstrukcje przed uderzeniami meteoroidów i przede wszystkim osłaniać przed strugami śmiertelniego promieniowania kosmicznego.

W skałach Księżyca jest ok. 40% tlenu, 20% aluminium, 20% krzemu i sporo rzadkich metali – wszystko to zostanie oczywiście wykorzystane. Kilkakrotnie mniejsza grawitacja ułatwi życie i pracę (tak twierdzą eksperci). A nuda nigdy nie zagrozi mieszkańcom Księżyca. Budować się tam przecież będzie olbrzymie rakiety, niemożliwe do zbudowania na Ziemi. Posłużą do dalszych wypraw kosmicznych. Gigantyczne teleskopy pomogą spojrzeć w głąb Kosmosu, bez zakłóceń ziemskich. Warunki do badań naukowych będą nowe i niezwykle. Rzeczywiście – będzie to chyba jedna z najciekawszych przygód, jakie czekają ludzkość!

Jeszcze ciekawoska: budowa kolonii na Księżycu ma kosztować 80 miliardów dolarów (kosztorys pewnie, jak zawsze, zanizony...). Wbrew pozorom, nie jest to jednak tak dużo, projekt „Apollo” kosztował przecież około 73 milionów dolarów. No cóż, zobaczmy, czy nic nie przeszkodzi w tym śmiałym, ale realnym przedsięwzięciu, do którego wstępem jest „Banka Noego” w Arizonie.

Sentymentalnym Amerykanom projekt księżycowego sześciokąta przypomina obozy na Dzikim Zachodzie, otaczane kręgiem pionierskich wozów – wozy te miały chronić osadników przed niespodziewanym atakiem. Natomiast kolonia przykryta workami z piaskiem tworzy piramidę, która także coś przypomina. Co? Oczywiście, przedkolumbijskie, tajemnicze piramidy Inków, odnajdywane dziś w Andach. Porównanie jest nieco naciągane, analogia przypadkowa, ale jest w tym przecież tajemniczość i romantyzm. Może właśnie tego zawsze najbardziej ludziom potrzeba.

PS. W felietonie „Powrót Minotaura” („Fantastyka” 10/87) Kreteńczyk z maszynopisu – w druku stali się Kartaginczykami... W czasach króla Minosa Kartagina (zresztą znajdująca się w Afryce, nie na Krecie) jeszcze chyba nie istniała.



Zmarł Terry Carr

Terry Carr urodził się 19 lutego 1937 r. w Grants Pass w stanie Oregon. Bardzo wcześnie zetknął się z fandomem science fiction. Początkowo rozgłos zdobył przede wszystkim jako wydawca fanzinów „Fanac”, „Veld” i „Lighthouse”; sławne stały się zwłaszcza jego humorystyczne eseje. W 1959 r. otrzymał za przeznaczony dla fanów biuletyn informacyjny „Fanac” nagrodę Hugo, a w 1973 r. kolejną nagrodę Hugo już jako najlepszy pisarz.

Terry Carr napisał wiele opowiadań SF, wśród których najbardziej znane to „The Dance of the Changer and the Three” (1968). Był też autorem powieści „Warlord of Kor” (1963) i „Cirque” (1979). Daleko większą sławę zdobył jako wydawca. Będąc zastępcą Donalda A. Wollheima w „Ace Books” (od 1964) zainicjował serię „Ace Science Fiction Specials”, w ramach której wydane zostały między innymi powieści „The Left Hand of darkness” Ursuli K. Le Guin, „Rite of Passage” Aleksieja Panszina oraz „Picnic on Paradise” Joanny Russ. W latach 1965–1971 wydawał wspólnie z Donaldem Wollheimem „The World's Best SF”. W 1971 r. rozstał się z „Ace” i odtąd sam kontynuował serię antologii SF (istnieje również nadal własny wybór Wollheima), która była uznawana powszechnie za najlepszą. Przez pewien czas Terry Carr był również wydawcą serii „Year's Best Fantasy”. Jego seria antologii „Universe” (wyłączając wydania pierwsze), w której opublikował 15 tomów, zaliczana jest do najlepszych w tym gatunku. Carr wydał również wiele innych popularnych i wysoko ocenianych antologii.

Zmarł 7 kwietnia 1987 r. w Oakland.

Milliony za nowe książki

Arthur C. Clarke napisał zupełnie nieoczekiwanie nową powieść: „2061: Odyseja III”, przedrukując ostatnią książkę „2001: Final Odyssey” do następnej wizyty Galileo. Clarke otrzymał za rękopis honorarium w wysokości 1 miliona dolarów; pozostałą kwotę 1 375 001 dolarów otrzyma po przeprowadzeniu korekty rękopisu. Wydanie amerykańskie miało się ukazać w styczniu 1988 r.

Stephen King otrzymał za dwa zbiory swoich opowiadań: „The Dark Tower: The Gunslinger” i „The Drawing of the Three”, które ukazały się najpierw w niewielkim wydawnictwie, sumę 8 milionów dolarów od New American Library oraz następny milion od angielskiego wydawnictwa „Sphere”.

Carl Sagan, którego pierwsza powieść SF „Contact” zyskała rozgłos już z powodu zaliczki w wysokości dwóch milionów dolarów i w samych tylko Stanach Zjednoczonych rozeszła się w nakładzie 600 000 egzemplarzy, podpisał obecnie na jeszcze korzystniejszych warunkach umowę na kolejną powieść. Nie ma ona jeszcze tytułu, na razie istnieje jedynie pomysł, a wieści głoszą, że Sagan otrzymał już za nią zaliczkę w wysokości co najmniej trzech milionów dolarów.

Nieco mniejszą kwotę dolarową, w każdym razie sześciocyfrową, otrzymał Gene Wolfe za trzy książki wydane przez „Tor” są to „The Urth of the New Sun” (kontynuacja jego popularnego cyklu „The Book of the New Sun”), „There are Doors” (powieść z gatunku fantasy) i następna fantasy o lymczasowym tytule „Soldiers of Arete” (kontynuacja „Soldiers of the Mist”).

Lem na scenie

Wiedeńska trupa teatralna „Narrenkasti”, kierowana przez aktora Justusa Neumanna i dramaturga Josepha Hartmanna przygotowała spektakl, oparty na powieści „Kongres futurologiczny” Stanisława Lema.

Sztuka ma zostać wystawiona w Zurychu w Szwajcarii oraz na scenach wiedeńskich.

Franz Rottensteiner

1979 (ciąg dalszy)

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

1393. HERLINGER J[uliusz] J[erzy]: *Mister Hopkins, wnuk Sherlocka*. Wyd. IV. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 250, nrb. 2. 20 000 egz.

1394. PAGACZEWSKI Stanisław: *Gąbka i latające talerze*. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 222, nrb. 2. 70 000 egz. – CJSF/F.

1395. PETECKI Bohdan: *Królowa Kosmosu*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 289, nrb. 3. 20 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód.

1396. VERNE [Jules]: *[Dwadzieścia tysięcy] 20 000 mil podmorskiej żeglugi*. Tłum. [z franc.] Bolesław Kleński. Wstęp i komentarz. Zdzisław Rytko. Wyd. VIII powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 371, nrb. 5. 80 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.

1397. VERNE [Jules]: *Łowcy meteorów*. Tłum. [z franc.] Wojciech Natanson. Wyd. IV powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 214, nrb. 2. 50 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz. – Brak nazw. tłum. i nr kolej. wyd.

Utopia (U):

1398. (?) ANDERSCH Alfred: *Spisek w Winterspelcie*. Tłum. [z niem.] Adam Kaska. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 444, nrb. 4. 30 000 egz. – Współczesna Proza Światowa. – Elementy fantast.

AYMÉ M.: *Przechodzimur*. – zob. AF.

1399. CORTÁZAR Julio: *Fantomas przeciw wielonarodowym wampirom*. Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 74, nrb. 2. 50 000 egz.

1400. DÉRY Tibor. *Pan A. G. w X. Tłum.* [z węg.] Camilia Mondral. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 446, nrb. 2. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1401. FUKS Ladisław: *Pałac zwłok*. Tłum. [z czes.] Janusz Anderman i Tadeusz Lis. Postowie Bogusław Stawomir Kunda. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 145, nrb. 2. 30 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1402. HUGHES Richard: *Orkan na Jamajce*. Tłum. [z ang.] Ariadna Demkowska-Bohdziewicz. Wstęp Władysław Kopaliński. Wyd. II. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 279, nrb. 1. 185 000 egz. – Koliber. – Elementy fantast.

1403. [IVANOV Miron]: *Żyć jak inni i bądź błogostawiony*. Tłum. [z bułg.] Marzenna Ilieva. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 220, nrb. 3. 20 000 egz. – U/AF.

1404. MORSELLI Guido: *Divertimento 1889*. Tłum. [z wł.] Barbara Sieroszevska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 169, nrb. 3. 10 000 egz.

1405. PRZYBORA Jeremi: *Ciociu, przestrasz wujka. Opowieści Starszego Pana*. Warszawa. Wyd. Radia i Telewizji. 16° ss. 220, nrb. 3 + kaseta magnetofonowa. 30 000 egz. – Większość opowiadań fantast.

1406. PRZYPKOWSKI Andrzej: *Taniec marihuany*. Wyd. II. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 186, nrb. 2. 30 000 egz.

1407. ROUSSEL Raymond: *Locus Solus*. Tłum. [z franc.] Anna Wolicka. Wstęp Cezary Rowiński. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 291, nrb. 1. 10 000 egz. – U/ASF.

1408. SWIFT Jonathan: *Podróże do wielu odległych narodów świata w czterech częściach, przez Lemuela Gullivera, początkowo lekarza okrętowego, a następnie kapitana licznych okrętów*. Tłum. [z ang.] Maciej Stomczyński. Postowie Juliusz Kydryński. Wyd. I pełne. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 324, nrb. 3. 50 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy. – Wyd. popr. pt. „Podróże Guliwera” było nieco skrócone i w innych tłumaczeniach.

1409. TRUCHANOWSKI Kazimierz: *Totenhorn*. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 222, nrb. 2. 15 000 egz. – Polska Proza Współczesna.

Fantazja dla dorosłych (AF):

1410. [AJTMATOV Ćingiz]: *Laciaty pies biegnący brzegiem morza*. Tłum. [z ros.] Maria Okołów-Podhorska. Warszawa. Czytelnik. 32° ss. 141, nrb. 3. 20 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Ćingiz Ajmatow.

1411. AYMÉ Marcel: *Przechodzimur*. Opowiadania. Tłum. [z franc.] Maria Ochab. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 222, nrb. 2. 160 000 egz. – Koliber. – AF/U.

1412. BÉLA Zbigniew: *Przygotowanie do występu*. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 147, nrb. 4. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.

1413. BROSKIEWICZ Jerzy: *Doktor Twardowski*. T. II. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 419, nrb. 1. 30 000 egz. – Stanowi cd. poz. 1214/77.

1414. CAPOTE Truman: *Minam*. Opowiadania. Tłum. z ang. Krzysztof Zarzecki. Wyd. II skr. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 131, nrb. 4. 150 000 egz. – Koliber. – Wyd. pełne poz. 357/60 (pt. „Zatrzaśnij ostatnie drzwi”).

1415. [DOSTOËVSKIJ Fëdor]: *Opowieści fantastyczne*. Wybór, tłum. [z ros.] i postowie Maria Leśniewska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 168, nrb. 2. 20 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Fiodor Dostojewski.

1416. IRZYKOWSKI Karol: *Nowele*. Wyd. I w tym zest. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 397, nrb. 7. 50 000 egz. – Pisma pod red. Andrzeja Lema, t. 5. – Większość opowiadań fantast. IVANOV M.: *Żyć*. – zob. U.

1417. JEMIELITA Bogdan: *Piękna ziemia*. Opowiadania. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 151, nrb. 3. 10 000 egz.

1418. KRUEGER Maria: *Godzina pasowej róży*. Wyd. IX. Warszawa. Iskry. 16° ss. 222, nrb. 2. 50 000 egz. AF/CJF.

1419. LAMPO Hubert: *Powrót Joachima Stillera*. Tłum. [z ang.] Maria Skibniewska. [Oryginał holend.] Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 8° ss. 152, nrb. 2. 10 000 egz.

1420. (?) MARKIEWICZ Jarosław: *Chaos wita w tobie lotra i świętego*. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 145, nrb. 3. 10 000 egz. – Polska Proza Współczesna. – Elementy fantast. właśc. surrealist.

1421. NODIER Charles: *Wróżka Okruchów i inne opowieści*. Wybór, tłum. [z franc.], wstęp i komentarz. Joanna Guze. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 361, nrb. 3. 20 000 egz. – Większość opowiadań fantast. – AF/CJF.

PRZYBORA J.: *Ciociu*. – zob. U.

1422. ROSIŃSKI Kazimierz: *Puszysty ptak wieczoru*. Lublin. Wyd. Lubelskie. 16° ss. 121, nrb. 3. 7 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast., większość surrealistyczna.

1423. TOMASZEWSKA Marta: *Podróż do krainy Om. Opowieść hipotetyczna*. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 271, nrb. 1. 30 000 egz. – AF/ASF.

1424. ŻUKROWSKI Wojciech: *Białe zaproszenie i inne opowiadania*. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 433, nrb. 3. 50 000 egz. – Wybór m.in. z „Piórkiem flaminga” i „Nieśmiałego narzeczonego”.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

C o roku odbywa się na świecie kilka różnych festiwali filmów fantastycznych, między innymi w Paryżu, Brukseli, Avoriaz. Myli się jednak ten, kto sądzi, że pokazywane są na nich filmy w rodzaju „Blade Runnera”, „Terminatora” czy „Obcego”, które oglądają fanowie SF na swoich pokazach.

Fantastyka znaczy tam przede wszystkim – horror. I tak na przykład pierwsze miejsce na festiwalu w Avoriaz zdobył w zeszłym roku „Vamp” Richarda Wenka (o charakterze tego obrazu informuje już sam tytuł), a na festiwalu paryskim „Evil Dead 2” („Diabelski nieboszczyk 2”). Oba oczywiście reprezentują gatunek, od którego wieje grozą. O pierwszym z nich napiszę innym razem, ponieważ obejrzymy go najprawdopodobniej również i w Polsce. Drugi nie został, co prawda, zakupiony, ale niewątpliwie znacznie niedługo krążyć na kasetach wideo, tak jak jego poprzednik i pierwowzór o tym samym tytule.

Pierwszą część „Diabelskiego nieboszczyka” nakręcił w 1981 roku bardzo młody wówczas – dwudziestoletni reżyser, Samuel M. Raimi. Film zaliczono do horrorów nonsensowych, które daleko odchodziły od klasycznych kanonów gatunku, zawdzięczając wiele niezwykle modnym filmom epatującym gwałtem. „Diabelski nieboszczyk” opowiada o piątce przyjaciół spędzających weekend w opuszczonym domku w górach, w którego piwnicy znajdują księgi i magnetofon. Głos z taśmy ostrzega ich, że w pobliżu znajduje się siedlisko demonów. I rzeczywiście, te ostatnie wkraczają bardzo szybko do akcji. Przeżyć uda się tylko jednemu z ludzi, którego uratuje nadchodzący poranek.

W pięć lat po sukcesie (gdyż „Diabelski nieboszczyk” odniósł sukces!) znany włoski producent Dino de Laurentiis zaproponował Samuelowi Raimiemu ekranizację powieści Stephena Kinga „Thinner” („Chudnący”). Miała to być historia o grubym jegomościu, na którego rucono czar sprawiający, że zaczyna chudnąć, chudnąć, chudnąć i... No właśnie. Raimi zainteresował się pomysłem, ale nie mógł wyobrazić sobie, jak pokazać na ekranie zakończenie tego procesu, a nie chciał zmarnować tak ciekawej sytuacji. Wtedy to de Laurentiis zasugerował realizację drugiej części „Diabelskiego nieboszczyka” (czasem wydaje mi się, że niedługo będziemy już tylko oglądać kolejne części jakiegoś starego filmu, którego wcale już nie będziemy pamiętać).

„Diabelski nieboszczyk 2” przenosi nas po bardzo krótkim wstępie, mającym cokolwiek wspólnego ze światem rzeczywistym, w krainę gdzie wszystko (oczywiście wszystko co makabryczne) może się przydarzyć. Scenarzysta bez żenady korzysta z pomysłów, a nawet całych scen, które pojawiały się już w pierwszej części utworu. Znowu więc mamy samotny domek w górach, chociaż przyjeżdża tu tylko dwoje młodych ludzi. Ash (Bruce Campbell) znowu znajduje tajemniczą księgę i magnetofon, z którego popły-



film i fantastyka HORROR znaczy straszyć

ną słowa ostrzeżenia. Jeszcze chwila sielanki, Ash gra na pianinie, jego dziewczyna Annie (Sarah Berry) tańczy i już zjawia się demon, który brutalnie ją morduje. Ale niezwyli nie są tu pozostawieni w spokoju, i nie zostawiają w spokoju innych. Dla Asha nie tyle śmierć przyjaciółki, ile jej późniejsze zachowanie będzie prawdziwym szokiem.

Wydawałoby się, że ratunek przyniesie poranek. Ale prawa natury przestają działać, dzień mija jak mgnienie oka i cała zabawa zaczyna się od nowa.

Przez znaczną część filmu Ash pozostaje w domu sam na sam ze złym, który wciela się w kolejne przedmioty, a nawet opanuje dłoń bohatera. Ta ostatnia staje się też jego wrogiem. Pojedynek między Ashem a jego ręką jest jedną z najbardziej udanych scen filmu. Ale finał ma tragiczny i ponury – wroga trzeba się pozbyć przez odrabianie. Po tym zabiegu ręka żyje jednak nadal własnym życiem...

Przez cały czas domek nawiedzają niszczące, demoniczne siły i choć widzowi zdaje się, że

wszystkie drzwi i okna zostały już wytłamane, zawsze znajdzie się coś nowego do zdemolowania. Krew leje się strugami, demony przybierające postać materialną mają chyba wzbudzać obrzydzenie nie strach. Nonsensowność scen sprawia, że najczęstszą reakcją widza jest śmiech (lecz trzeba tu dodać, że jest to reakcja przez reżysera założona).

W filmie widać parę niezłych pociągnięć – atakujący ludzi las, taniec kościotrupa Annie będący powtórzeniem sceny sprzed śmierci, czy wspomniana już scena z ręką, ale wszystko to ginie w zalewie krwi, bzdury i wreszcie nudy!

Gdy realizatorom wyczerpują się pomysły, sprowadzają na miejsce akcji kolejnych gości. I znowu wszystko może się zacząć od nowa. Bronią przeciwko potworom z zaświatów mają być słowa starożytnej księgi, ale sama magia nie wystarcza. Kiedy Ash szykuje się do końcowego pojedynku – wygląda jak karykatura Sigourney Weaver ruszającej do ostatniego starcia. Tyle tylko, że jego broń jest bardziej zgodna z wymaganiami horroru – głównym narzędziem staje się piła elektryczna, która zresztą była używana już wcześniej.

Z kina wyszłam, jak zresztą i pozostali widzowie, raczej przygnębiona niż przestraszona. Przerażające jest jedynie to, że sądząc z ostatniej sceny realizatorzy szykują się już do kręcenia „Diabelskiego nieboszczyka 3”.

Dorota Malinowska

Rocznice

Rok 1987 obfitował w okrągłe rocznice w kinie SF. „Jamesowi Bondowi” stuknęło 25 lat, „Gwiezdne wojny” szczytują się 10-letnią tradycją, „Śpiąca królewna” ma już 50 lat.

Zyski

Stosowanym niekiedy kryterium oceny filmów (choć na szczęście nie jedynym) jest obliczanie, czy i ile dany obraz zarobił. Oto lista najbardziej kasowych filmów w historii kina SF w kolejności zysków (w nawiasie podajemy rok produkcji): 1. E.T. (1982), 2. Gwiezdne wojny (1977), 3. Powrót Jedi (1983), 4. Imperium kontratakuje (1980), 5.

Bliskie spotkania trzeciego stopnia (1977/80), 6. Superman I (1978), 7. Superman II (1980), 8. Gwiezdna wędrowka I (1979) 9. Obcy – ósmy pasażer Nostromo (1979), 10. Gwiezdna wędrowka II (1982), 11. Gwiezdna wędrowka III (1984), 12. Młody Frankenstein (1974), 13. Gry wojenne (1983), 14. Superman III (1983), 15. Moonraker (1979).

Warto zauważyć, że całą pierwszą piątkę oglądaliśmy na polskich ekranach. „Odyseja kosmiczna 2001” (1968) znajduje się na tej liście na dwudziestej trzeciej pozycji. „Elektroniczny mordca” (1984) na trzydziestej pierwszej, a „Blade Runner” (1982) na trzydziestej siódmej.

D.M.

DIABELSKI NIEBOSZCZYK 2 (Evil Dead 2). Reżyseria Sam Raimi. Scenariusz: Sam Raimi i Scott Spiegel. Zdjęcia: Peter Deming. Obsada: Bruce Campbell, Sarah Berry, Dan Hicks, Kassie Wesley, Theodore Raimi, Denise Bixler. Australia 1987.

Fantastyka



NORMAN SPINRAD

Jezdziec na pochodni

